

Bliźniaczki

STANISŁAW CZERNIK

„Z pałaców sterczących dumnie zniżyć, piękna, do mojej chatki” — takie schillerowsko-mickiewiczowskie zaproszenie zwróciliśmy niegdyś do Kamen-Muz, najpierw Kazimierz Andrzej Jaworski z swej chatki chełmskiej, nieco później piszący te słowa z ostrzeszowskiej sadyby. Pałace sterczące dumnie — to przede wszystkim „Skamander” i „Wiadomości Literackie”. Już wtedy nazwałem „Okolicę Poetów” skromną izbą komornicy, przypominając słowa Karola Huberta Rogutowskiego z „Niespodzianki”: „Bo ten komu domem świata, nie widzi większej różnicy między izbą komornicy a taką olbrzymią salą, gdzie się lamp tysiące palą”.

A jeśli o chatkach i komorniczych izbach mowa, warto przypomnieć, że w tym czasie, a nawet nieco wcześniej, Kameny w wieśniaczych stronach zachodziły do pewnej stodółki wiejskiej, gdzie w porze letniej mieściła się redakcja miesięcznika poetyckiego „Wieś — Jej Pieśń”. Było to w Naprawie, tam gdzie „grypa szaleje”, a założyciel pisma Antoni Oleha skupiał chłopskich poetów najrozmaitszego kalibru. Dość wspomnieć, że na tych samych łamach śpiewał rewolucyjne etiudy istny diabeł rogaty ówczesnej polskiej poezji proletariackiej Marian Czuchnowski, a obok niego Janek z Bugaja, nestor ludowych poetów, na złość młodym czartom pobożnie nauczył: „zaczynajcie wargi moje chwalić Pannę Świętą”.

Po upływie ćwierci wieku pospolite zjawiska „dwudziestolecia” nabierają cech mitologicznych. Bo istotnie są... nie z tego świata. Nazwałem „Kamene” i „Okolicę Poetów” bliźniaczkami. Historyk stwierdzi półtoraroczne starszeństwo „Kamenu”. A jednak w poezji takie bliźniactwo bywa „naturalne”, bo nie ma wielkiej różnicy między minutą a rokiem.

Na bliźniactwie obu czasopism, bardzo w istocie rzeczy pozornym, nawet niektórzy krytycy opierali przedziwne nieraz wygody. Następnym spłątanie faktów, nazw i nazwoisk. W wyniku tego czytelnik mieszając Chełm z Ostrzeszowem, Jaworskiego z Czernikiem, „Kamene” z „Okolicą”, Ostrzeszów z „Kamene”, „Okolicę” z Chełmem itd. Dostrzegli materiał dla miłośników tamtych. Ale też i „dowód” bliźniactwa. Zresztą bardzo częsty błąd, nawet wśród krytyków i poetów z pałaców sterczących dumnie i dziś tak samo jak wczoraj.

Należałem do najwcześniejszych i najbliższych przyjaciół „Kamenu”.

Kiedy dwadzieścia pięć lat temu niewielka grupka ludzi postanowiła założyć i wydawać w Chełmie Lubelskim pismo literackie — przypuszczam, że żaden z nich nie myślał na serio, a może i nie marzył o tym, by „Kamena” przetrwała aż ćwierć wieku. Okoliczności towarzyszące narodzinom „Kamenu” były przecież nadto ciężkie: lata bezpośrednio po kryzysie gospodarczym przynosiły niemal każdą polską inicjatywę kulturalną, wymagającą finansowych fundamentów, w sferę fantastycznej utopii — przyszłość rysowała się jeszcze groźniej: nie na darmo w pierwszym numerze „Kamenu” znalazło się jeszcze memento w związku z inwazją hitlerowską na Niemcy. A do tego za „Kamene” nie stała żadna grupa ideowa, bądź artystyczna, żadna szeroka i pryncypialna inicjatywa społeczna prócz dobrej woli kilku ludzi, którzy na przekór owej przykrej teraźniejszości i groźnej przyszłości, na przekór tym niełatwym dla kultury polskiej dwudziestu pięciu latom postawili na swoim — połączyli numerami „Kamenu” daty 1933—1958.

Owe numery „Kamenu” były różne tak zewnętrznie formą, jak i wpisane na ich kartki treści: niewielkie, szczupłe przedwojenne i tuż powojenne zeszyty miesięcznika zmieniły się w roku 1952 (a właściwie — już w roku 1949) na obszerniejsze i pokażniejsze rozmiarami broszury kwartalne, by od roku 1957 przekształciły się na dwutygodniowe, bardziej „gazetowe” numery. I tak samo odmieniała się treść „Kamenu”: z pisma głównie poetyckiego, którego nazwa wskazywała pamięć antycznych boginek towarzyszących twórczemu natchnieniu, stała się ona periodykiem bardziej uniwersalnym, poświęcającym wiele miejsca różnym problemom i dziedzinom życia literackiego i kulturalnego ze szczególnym uwzględnieniem regionalnego profilu Lubelszczyzny. Wymieniali się wreszcie i współpracownicy: wielu zabrała wojna, inni zapomnieli o piśmie, w którym drukowali nieraz swoje pierwsze utwory, jeszcze inni — wśród nich piszący te słowa — zbliżyli się i zaprzyjaźnili z „Kamene”, pociągnęli jej upartą walkę o pewne zasadnicze — nie tylko w sensie estetycznym — idee i wartości.

Jakież to były idee, których darmo by się doszukiwać w nieobecnych z zasady na pierwszych stronicach „Kamenu” manifestach, rezolucjach, programach twórczych? Obrona rzetelnego humanizmu w kulturze, wielka sympatia dla płodnych tradycji i wartościowego nowatorstwa w literaturze, zwłaszcza — w poezji, roztoczenie w miarę sił i możliwości opieki nad młodymi i dojrzewającymi talentami — to właściwie wszystko, co możemy zna-

Już od pierwszych miesięcy istnienia chełmskiego miesięcznika współpracowałem z K. A. Jaworskim. Właśnie w „Kamienie” ogłosiłem pierwsze tezy autentyzmu, które, rozwijane następnie w „Okolicy Poetów”, stały się podstawą teorii dyskutowanej zausznięcie w latach 1934—1937.

Tak więc w roku 1934 „spadł z nieba”, „wybuchł” autentyzm.

(Dokończenie na str. 2)

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

leż w numerach „Kamenu” z datą 1933 i 1958 roku. Niewiele to i nie nowe — powie ktoś? Zapewne; ale wydawcom „Kamenu”, zwłaszcza zaś Kazimierzowi Andrzejowi Jaworskiemu, chodziło o dokumentowanie owych ogólnikowych idei żywym, świeżym materiałem literackim — nie o powielanie ich w pustych apstrofach i artykułach programowych. Tę dokumentację — lepszą i gorszą, celną i mniej trafną — zbierają właśnie roczniki „Kamenu”.

Wypełnione są one przede wszystkim poezją, która wszechwładnie rządziła zwłaszcza w przedwojennej „Kamienie”. Poezją różną, jak różnymi i często walczącymi ze sobą byli jej twórcy: Stanisław Czernik i Jan Brzękowski, Józef Czechowicz i Stefan Napierkowski, Marian Czuchnowski i Mieczysław Jastrun, Józef Łobodowski i Julian Przybóś, — że wspomnę tylko niektórych umieszczających swoje utwory w zamian za samą przyjemność ujrzenia ich w druku, bo przedwojennej „Kamenu” nie stać było na płacenie honorariów autorskich. Jednakże w doborze wierszy do druku przebiegały raz po raz sympatie dokonującego go redaktora — K. A. Jaworskiego — dla postępowych, raczej lewicujących motywów i treści, dla umiarkowanego nowatorstwa i twórczego tradycjonalizmu. dla — wreszcie — rzetelnego, wypróbowanego rzemiosła poetyckiego. Stąd lektura „Kamenu” jest nieodzowna dla wszystkich, interesujących się przemianami poezji polskiej z ostatniego ćwierćwiecza, zanotowanymi nie w gromkich hasłach i manifestach, ale w codziennej, mrówczej praktyce literackiej.

Myszę, że właśnie dlatego szczególne przywileje na łamach „Kamenu” posiadał i posiada przekład poetycki, ta najbardziej z pozoru uboga w ambicje, pokorna ze sztuki, składających się na bogatą paletę lirycznych wypowiedzi. W publikacji najróżniejszych tłumaczeń nie tylko na łamach „Kamenu”, ale i w ramach wydawanych przez nią serii „małej” i „dużej” Bibliotek wypowiedzi i kult tego pisma zwłaszcza dla poezji słowiańskiej, może trochę w powojennej „Kamienie” niesłusznie zaniedbywanej. Ale i poezja innych krajów w jej dawnych i nowych twórcach znajdowała na stronicach „Kamenu” zawsze poczesne miejsce i przedstawiała polskiemu czytelnikowi artystów niemieckich, włoskich, angielskich, francuskich, znanych mu dotąd tylko co najwyżej z suchych etykietek historyczno-literackich.

I jeszcze jedną sympatię „Kamenu” trzeba wspomnieć: sympatię do młodości i młodzieży literackiej. Cieszy się ona zawsze specjalnymi względami u redaktora „Kamenu”, który dużą część z reguły zbyt szczupłego numeru wydziela dla debiutów, przeznaczając na laboratorium, gdzie młodzi pisarze, poeci, prozaicy próbują swych sił, eksperymentują i zbierają doświadczenia. Jest to w moim przekonaniu bodaj najważniejsza i najpiękniejsza funkcja „Kamenu”: funkcja wychowawcy i pedagoga, przyjaciele i doradcy, czasem — ale nie za często — surowego sędziego i moralizatora w kończących numer „Odpowiedziach Redakcji”. Dziś, kiedy pisma i wydawnictwa literackie zgoła niechętnie używają zycznej uwagi młodym, zabkując talentem, bazując raczej na renomowanych i rentownych, firmowych nazwiskach — troska

„Kamenu” o debiutantów zasługuje szczególnie na podkreślenie i aprobatę.

Zbieram te wszystkie charakterystyczne rysy „Kamenu” do jej jubileuszowego, mocno szkicowego portretu, siedząc przy biurku w odległym od Lublina o wiele setek kilometrów Poznaniu. Otóż to: bodajże najsympatyczniejszą z trwałych cech „Kamenu” jest jej ogólnopolskość, uparte wychylanie się z ram lubelskiego regionu, udane często burzenie murów prowincjonalnego zaciszciska. Niewątpliwie, dzisiejsza „Kamena” jest bardziej lubelska od przedwojennej, gdyż zmieniły się jej obowiązki: z prywatnej inicjatywy K. A. Jaworskiego i Zenona Waśniewskiego zmieniła się po części w inicjatywę społeczną, stała się wyrazicielem trosk i problemów kulturalnej lubelszczyzny. Dlatego więcej dziś niż przed wojną lubliniaków na łamach „Kamenu”, dlatego problemy literackie i poetyckie muszą często ustąpić w niej miejsca bardziej ogólnym a zarazem więcej geograficznie umiejscowionym zagadnieniom społeczno-kulturalnym. Wyznaję, że mnie osobiście marzy się zamiana „Kamenu” właśnie na ogólnopolski periodyk poetycki, którego brak tak dotkliwie odczuwa nasza literatura powojenna, ale — przyznaję — są to marzenia przedwczesne, póki „Kamena” spełnia funkcje jedynego pisma kulturalnego Ziemi Lubelskiej.

Nie wszystko w „Kamenie” było i jest idealne, nobliwe, bezbłędne. Anemiczna wrażliwość publicystyki i krytyki literackiej, zbyt mały udział — nie z wyłącznej winy samej „Kamenu”! — w ogólnopolskich dyskusjach i sporach kulturalnych, może czasem zbyt wielka pobłażliwość redaktora wobec kwalifikowanych do druku materiałów — to raczej niewątpliwie mankamenty jubilatki, które usprawiedliwiają po części różnych nie dostrzegających „Kamenu” redaktorów przeglądów prasy w warszawskich czy krakowskich periodykach. Ale — tylko po części: gdyby bowiem więcej pozalubelskich pisarzy — choćby tych, którzy przed wojną publikowali w „Kamenie” swoje utwory — zainteresowało się szerzej tym pismem, dużo by można usunąć z jego — chwilowych na pewno — niedostatków.

Dlatego pozwalam sobie na koniec tej jubileuszowej mowy na cześć „Kamenu” na bardzo osobiste i zgoła kłócające się z dotychczasowym tonem mej wypowiedzi wyznaczenie: bardzo lubię i cenię „Kamene”. Lubię i cenię to pismo za jego upór, wytrwałość, wręcz przekorę w ukazywaniu się wbrew historycznym przeciwnościom, wbrew urzędniczej małoduszności, wbrew równie małodusznej obojętności („Kamene” bardzo by się przydało zwiększenie liczby współpracowników i... prenumeratorów). Lubię i cenię „Kamene” za jej życzliwość dla poetów, tłumaczy i debiutantów — za jej wzdgardliwą obojętnością dla wszelkich klik, siw i koteryjek literackich i za nieklamną sympatią dla wszystkiego, co naprawdę żywe i twórcze, po prostu — ludzkie w naszej kulturze. I dlatego ów tylko z pozoru skromny, dwudziestopięcioletni jubileusz „Kamenu” świętuję jak najbardziej osobistym, prywatnym toastem wzniesionym na cześć pisma, jego niestrudzonego kierownika Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, jego redakcji i współpracowników — STO LAT!

BLIŹNIACZKI

(Dokończenie ze str. 1)

W eseju „Treść i forma” na zakończenie rozważań napisałem, że liryka „zbliza się chcąc nie chcąc ku tej jedynej drodze, którą można by nazwać autentyzmem, ale to obojętne”. Istotnie, pasjonowała mnie analiza procesu twórczego, która otwierała — przynajmniej dla mnie — nową drogę, nowy kierunek. O samej nazwie nie myślałem, a termin autentyzm wprowadziłem, jak z powyższego tekstu wynika, przypadkiem, w sensie raczej robotniczym, tymczasowym, dla odróżnienia mojej analizy od wielu „izmów”. Dziś nazwałbym ten kierunek jakimś introspekcjonalizmem ze względu na to, że źródłem jego była introspekcja psychologiczna. Może taki termin pozwoliłby na uniknięcie tysięcy nieporozumień, które zagmatwały sprawę w okresie dawniejszym, a i dziś, podobnie jak przed wojną, wynikają z uproszczonej interpretacji wyrazu „autentyzm”. Stało się jednak inaczej. Termin autentyzm przyjął się od razu i zrobił nieprawdopodobną karierę. Owrót, który podałem powyżej, w chełmskiej „Kamieniu” wymieniony, w równie prowincjonalnym Ostrzeszowie powtórzony („Okolica Poetów”), stał się zaczątkiem istnej lawiny artykułów, felietonów, rozpraw i polemik w całej prasie polskiej okresu 1934—1939.

Warto przypomnieć, że dyskusję otworzył również w „Kamieniu” (1934, nr 9) — Julian Przyboś.

„Kamena” stała się bodźcem do powstania „Okolicy Poetów”. Pozażdrościłem K. A. Jaworskiemu. Jeżeli Chełm mógł zdobyć się na czasopismo literackie, czemuż by... W wyniku tej refleksji i sprzyjających warunków w kwietniu 1935 r. zjawiała się „Okolica”. Wkrótce też mogłem w ten sposób chwalić „konkurencyjny” miesięcznik: „Czerwony numer „Kamena” kończy dwuletni okres działania tego pisma, które pierwsze budziło u nas poczucie po długiej śpiączce i halucynacjach w zamkniętych ogródkach wybrańców. „Kamena” pierwsza zerwała w 1933 roku ze sztucznym elitaryzmem grupki poetyckich, które przy pomocy nieodpowiedzialnych krytyków przez długie lata monopolizowały i kompromitowały poezję polską”.

W ten sposób powstał i rozwijał się sojusz między „bliźniaczymi” czasopismami z „dalekiej prowincji”, gdzie — „diabeł mówi dobranoc” — jak twierdzili wileńscy zagaryści. „Okolica Poetów” przestała wychodzić w 1939 roku. Lecz nie umarła, żyje nadal w dziełach i wspomnieniach takich poetów, jak: Ożóg, Frąsk, Janczarski i inni „zawsze wierni”. Żyje też jeżeli nie w dziełach, to w dziejach tych, którzy przestali być „wierni”.

„Kamena” przetrwała wojnę, stała się bogatsza i barwniejsza. Życze jej rozwoju — drugiego, trzeciego i dalszych ćwierćwieczy. Ale większą czułością obdarzam jej dawne, uboższe i trudniejsze dzieje.

Stanisław Czernik



Zenon Waśniewski: Kościół Rozesłania Apostołów w Chełmie Lub. (linoryt) — Nr 12 „Kamena”, r. 1934

LUBLIN: BRAMA KRAKOWSKA WIECZOREM



Fot. E. Hortalcg

WSPOMNIENIE

WACŁAW MROZOWSKI

TAK. To były pierwsze dni po wakacjach, wrzesień, dwadzieścia pięć lat temu, kiedy młodziutki jeszcze entuzjasta literatury, urzeczony poezją awangardową, wziąłem do ręki skromny 16-stronicowy zeszytik z bristolową okładką koloru soczystej zieleni. Treść jego pochłonąłem w ciągu godziny na lekcji matematyki.

Był to pierwszy numer „Kamena”. Redaktorzy, moi profesorowie: Kazimierz Andrzej Jaworski, poeta, tłumacz i znawca literatur słowiańskich oraz Zenon Waśniewski, artysta malarz.

Ten pierwszy numer, który wraz z całym rocznikiem często biorę do rąk, zawierał wiersze pięciu poetów ziemi lubelskiej: Franciszki Arnsztajnowej, nestorki naszej poezji, Józefa Czechowicza, największego liryka polskiego okresu dwudziestolecia, Józefa Łobodowskiego, K. A. Jaworskiego oraz Antoniego Madeja.

Ten pierwszy numer zwiastował nowy okres w życiu kulturalnym 30-tysięcznego Chełma, niestety, tylko pozornie.

Poza garstką ludzi, szczególnie garstką młodzieży literackiej, która była oszobotomiona niespotykaną na owe czasy imprezą, jaką podjęli skromni profesorowie Seminarium Nauczycielskiego, społeczeństwo chełmskie zawiadło.

Zajrzyjmy do 15 strony tego numeru. Przytoczone poniżej wiersze z „Pro urbe sua” zorientują Czytelnika w sytuacji, jaką mieli do pokonania ambitni redaktorzy „Kamena”. Oto co czytamy:

„Pismo literacko-społeczne w Chełmie? Komu i na co potrzebne? W Chełmie, gdzie tygodnik, wyłącznie sprawom regionu poświęcony, z trudnością wychodził. Kto będzie czytał te wiersze?... Wszak wieczory autorskie odbywały się tu zwykle w prawie pustej sali. Wszak recytacji Rychterówny słucha tylko młodzież szkolna. Dla kogo te informacje o ciekawszych książkach, gdy najstarsza w Chełmie księgarnia nie mogła się utrzymać?”

Po co ta robota? A jednak... Na trzydzieści tysięcy mieszkańców choć pięciuset nasze szpalty przejrzy, choć setka uważnie przeczyta, choć pięćdziesięciu nabędzie, choć dziesięciu nas zrozumie.

Więc dla tych dziesięciu...”

Niestety, tylko dla nich. Społeczeństwo chełmskie przyjęło „Kamena” obojętnie, ba, w niektórych kołach podrywano sobie z poezji wypelniającej numer, tudzież z redaktorów.

Przez sześć lat borykania się z trudnościami finansowymi, dokładając z własnej kieszeni do każdego numeru „romantyczni filantropi” nie zrezygnowali z ambitnych zamierzeń kontynuowania miesięcznika. A często bywały chwile niemal tragiczne.

Gdy myślę dziś o „Kamieniu”, widzę dwóch młodych nauczycieli spacerujących codziennie po lekcjach ulicami miasta i żywo z sobą dyskutujących. Wyższy szatyn w okularach, żywo gestykulujący to Jaworski, niższy blondyn o spokojnej twarzy, niebieskich oczach pod krzaczastymi brwiami i rzadkim uśmiechem, to Waśniewski. Dwaj najpopularniejsi ludzie tego tragicznego miasta, których młodzież szkolna kochała i szanowała, i którym niejedną dziś już dojrzały człowiek ma wiele do zawdzięczenia. Wspominam o tym, bo sam jestem wspaniałym uczniem Ich obu.

„Kamena” to szmat historii literatury polskiej a szczególnie poezji w jej najorginalniejszym i samodzielnym wydaniu, poezji w owych czasach jakże osamotnionej, rozumianej przez niewielu a czytanej przeważnie przez samych tylko poetów. Tym większa jej zasługa i pochylony przed nią głowy.

Mало było poetów żyjących w tym okresie, którzy by w „Kamieniu” nie drukowali. Wielu (dziś średniego pokolenia) tu właśnie debiutowało.

Tragedia wrześniowa 39 roku przerwała żywot pisma.

Zenon Waśniewski zginął męczeńską śmiercią w Bergen Belsen, Kazimierz Andrzej Jaworski powędrował za druty Oranienburga i eudem chyba ocalał, aby bezpośrednio po zakończeniu wojny podjąć już samotnie, bez przyjaciela i w innych warunkach, trud wznowienia i dalszego redagowania, po przeszło pięcioletnim milczeniu, „Kamena”. Zmieniła szatę parokrotnie przeszedłszy w ręce Lubelskiego Oddziału ZLP. Dzisiaj jest dwutygodnikiem redagowanym kolegialnie.

Oby dochodziła do rąk Czytelników jak najdłużej.

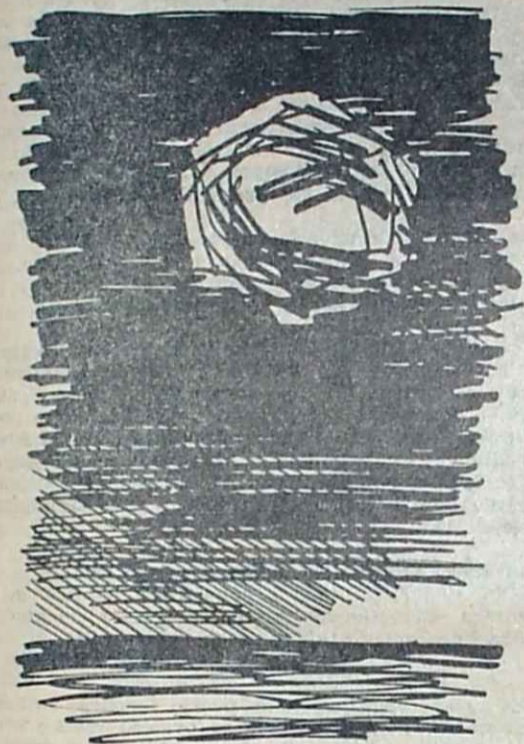
Sąd nieostateczny

Biją dzwony, płomieni cynober
Wśród czterowymiarowej nocy.
Ziemia wybucha powietrznym grobem.
Księżyc — kamień z Dawida procy.
Goliat gorejący nad otchłanią
Krwawi przesyty gardłem.

Z prochu wstawszy mówi Michał Anioł:

W błędzie umarłem.
Com czynił rąbiąc marmur, lejąc z brązu,
Wznosząc błękitną ścianę?
Nie z tego nie widział Pan mój,
Nie potrząsnął
Siwą brodą na znak podziwu.
Zmartwychwstając nie zmartwychwstanę.
Nie ma Sądu Ostatecznego.
Tylko piasek pustynny i jałowa skała.

Ja, Mojżesz, ze zmiądzonym nosem, ja, Jakała,
Ja, z kolanem strzaskanym od własnego ciosu,
Leżę przed nim, Stwórcą oceanu,
Odarty ze swego losu,
Jego wielką stopą przydeptany.



STANISŁAW RYSZARD
DOBROWOLSKI

Mickiewicz

Chmura nad Europą — i pioruny w chmurze.
Czy to listopadowe szwadrony i pułki,
Czy harmaty spod Stoczka tak wciąż dudnią w górze?
Czy tylko gniewem warczą paryskie zaułki?

Milczy arsenał. Cisza — taka, że aż trwoży.
Ze każdy szmer tu gromem. A przecież znów glucho.
Czyliż z chmur nie odezwie się nigdy duch boży?
Nieszczęśni, co swą przyszłość zawierają duchom!

Duch boży?!... Pod bluzami robotników dzisiaj
Jest duch boży na ziemi. Duch — to barykada.
Innych nie ma. Ten tylko, co prostakom śni się.
Gdy barykada stoi — i duch nie upada.

Ojczyzna — stąd daleko. Gdzieś pod sklepieniami
Tłucze się lęk przed klęską pożogi i moru
I lka suplikacjami. Zmiłuj się nad nami!

A on stoi pod chmurą i woła o piorun.

JAN SPIEWAK

Samotność

Do pokoju wchodzą umarli.
Ojciec, matka, kuzyni, stryjowie
I mała córeczka wujka.
Ich wszystkich rozstrzelali faszyści.
Umarli tłoczą się dokoła mnie.
Są niespokojni, samotni i bardzo zmęczeni.
Jeszcze białą ich rezę od kopania dolów.
Jeszcze uginają im się nogi od strachu.
Umarli zadają mi mnóstwo pytań,
Na które żądają natychmiastowej odpowiedzi.
Ojciec poprawia togi, matka nerwowo oczyszcza
[binokle].
A córeczka wujka zanosi się monotonnym śmiechem.
Cóż mogę im powiedzieć, natychmiast powiedzieć.
Powiedzieć rzecz najważniejszą.
Zanurzam się w pamięć, przewrotna jest moja pamięć,

Drepczy mnie strzępem jakiejś melodii,
Strzępem stłamszonej melodii, nikomu niepotrzebnej.
Jarmarczny kłoun, niezdarny iluzjonista, pechowy

Balansuję szeptem na granicy krzyku i milczenia.
Ojciec poprawia fałdy togi, matka oczyszcza binokle
[do przejrzystości].

Stryjowie patrzą pochmurni, gniewają się, są wyraźnie

A córeczka wujka jeździ na hulajnodze dokoła krzesel

Czuje, że sprawiłem im przykrość, sprawiłem

Dlatego uciekam od szeptu do barwy, od barwy do

Do słońca, które zastygło, do gwaru, który się czolga.

Umarli stoją przy mnie, moje źrenice płoną.

A wtedy niespodziewanie pamięć wyrzuca słowo —

Ze słowa skrętnie buduję nędźnie skleconą tratwę.

Odjeżdżam w młodość. Tam razem byliśmy.

Chodzę wśród ludzi, są gniewni i uśmiechnięci.

Rozbijam się lokciami. Spieszę się. Biegę na oślep.

Wędruję od domu do domu, od ulicy do ulicy.

Nikogo nie znam.

Zazdrosne twarze biją we mnie milczeniem.

Umarli żądają natychmiastowej odpowiedzi.

Kim jestem? Co mam czynić?

Jakimi drogami iść, siedząc na krześle,

Siedząc na krześle,

Sledząc na krześle,

Jak na ławie oskarżonych?

JÓZEF ŁOBODOWSKI

Ojczyzna

Kiedy głowa znużona na twardym oprze się stole
jakaś nuta nadleci —
natrętna i czuła...
Znowu szumią topole,
jak szumiąły nad głową co rok,
i wywija się droga,
wiodąca wśród Wisły do Puław.

Wiatr od wschodu nadejga,
włosami porusza,
usta bólem nabrzmiałe z goryczy oczyszcza.
Znów, jak wczoraj, przed wzrokiem
Garbów, Kurów, Markuszów...
Cały świat,
zmieniony w popioły i zgliszcza.

I w tym wieńcu powrotny powtarza się czas:
już się krzyż sławinkowski z jaśminów wynurza...
Jak przez mgłę,
poprzez wrzawę wszystkich obcych miast
widzę stary mój Lublin,
rozrzucony na wzgórzach.

Srebrny szron iskrzy na antenach,
mroźny dzień jest szklisty i wysoki,
wrzeszczą wróble,
o garsikę ziarna toczą bój do ostatka
i w śródmieściu Paryża
co dzień słyszę wciąż te same kroki —
to ulicą Szopena
wolno drepcze moja stara matka..

Dolinami, zielonymi orawami kraina się rozpostarła,
rozlewami torfowisk i łąk podeszła
ku stronom wawozom...
złota woń macierzanki napływa do gardła,
ani wiesz,
skąd i dokąd cię wiozą.

Czy tęsknota daleko,
czy rozpacz i strach,
skurecz pod sereem, gdy słów już zabrakło od
wyznań,

na pastwiskach, na rzekach,
po majdanach i wsiach
wciąż usypia moja Lubelszczyzna.

Kiedyś wrócę do ścieżek wydeptanych i szos,
gdziem się z wiatrem spotykał i ziemi bił czołem,
dość słyszała tych pleśni,
więc pozna mój głos,
kiedy na nią po imieniu zawołam.

Przyjdą zmierzchy fiołkowe, zatoczy się wóz,
furman emoknie na rosie mierzyny — i ruszą...
Ach... i droga wiodąca szpalerami zbóż
między polne jablonie i grusze.

Niby dym, co wieczorem nad jedliną się snuł,
mgła mi oczy
przesłoni, lecz do lez się nie przyznam,
i wśród leśnych uroczysk
śród majdanów i siól
cicho usnie moja Lubelszczyzna.

Do kraju polnych grusz
i złotych sosen,
gdzie miś z siadłym mlekiem nakrywa bochen
chleba,

gdzie płatki bzu poranną piją rosę,
oddawna już
powracać mi potrzeba.

Niech tylko Tanwią spłynie pierwsza kra,
niech w zwierzynieckich lasach zakwitną
krzaki leszczyn,
usłyszę, jak o zmierzchu flet pastuszy gra,
jak mi pod stopą
sucha gałąź trzeszczy.

Lubelski ementarz zarósł gęstwą drzew, —
jak dobrze spocząć przy boku swego dziada —
i niech mi tam jaśminu krzew
o moim kraju opowiada.

(Ze zbioru „Z dymem pożarów”, wydanego
w Nicei u Tyszkiewiczza, 1942)

Poezja

Godzina duchów... W nocnej mazi
jakże stękają ciężko przez sen,
szlochają, że ich los zaczął się
i drżą, że nikt tu nie poradzi...
O, daj, wampirze się w nich wesę —
i wyszę lęk, by przez most westchnięć
do życia jutro weszli radzi.

Są rozkochani w swej goryczy...
A przecież Polska w nas urosła.
Może tam na nas ktoś zbyt krzyczy,
albo już nadto jest słowiczy —
może ktoś z nas już całkiem osłabł...
Ale przypomnij sobie, miły:
nad łódką bałki się złościły...
Gdy cię o świecie Wisła niosła,
nikt nie opisał tej słodyczy,
gdyś płynął, zdany na swe wiosła —
pamiętasz, tylko na swe wiosła...
A dzisiaj?... Dzisiaj ktoś je zliczy!

O tym zapomnieć ci nie wolno:
że już nie lekasz się swych myśli —
i że się kraj prostuje zwolna.
Nie tylko wśród migotu lodów,
lecz także tu masz Janów z Kolna,
odkrywców niewidzialnych łądów,
potomków tego z hemisferą...
Choć stawiasz nam na karku stopę,
ja wierzę w ciebie, moja ero,
nie wodorowo-nuklearna,
lecz pełna szaleństw jak noc parna
gdzieś w guszy, pod gwiazdzistym stropem...
Mknij w górę, jak kurtyna, stora
i nowa dzieje się historia,
po nowe słowa sięga heros —
a sad, co oknie się dopiero,
tryska spod śniegu woni snopem...

Ja wiem, że chodzą wciąż po Chmielnej
takie zbiedzone i bezczelne —
zmęczone, straszne, ludzkie mięso...
I ona chodzi po Warszawie
i w kraj wychodzi, na rozstaje —
a gdy się noc rozjarzy pawiem,
na rogach wszystkich miast wystaje.

Blażeńskim różem upačkana,
z tragiczną czernią nad oczyma,
jak tamte, wólczy się do rana,
choć się na nogach ledwo trzyma,
za tobą, za mną i za krajem.
Namawia, czepia się i bлага,
i kusi ciebie sztuczny rajem
za parę złotych, „na stojaka”.
Jak tamte, w błocie utylłana,
narzucająca siebie gościom,
i tak jak tamte omijana
z odrzą, chłodem lub litością..

Poezjo! Ty, sponiewierana
żalona grą groszowych uciech!
Zaryczysz nagle — lwica, ranna
milionem grotów lilipucich.
Z rozwianym włosiem, oszalata,
popędzisz cwałem ulicami
tam, gdzie się niemaż wznosi skała
kochaneś twój złodowaciały —
gejzer liryzmu, słów dynamit.

Wybuchnie. Dzwonią kry na Wiśle.
Rozdzierasz piersi martwych reguł
szponami marzeń i rozmyślań,
ławą rozłapiasz kopce śniegu.
Odczyniasz nierealny urok,
który demurgów w nas obudził —
trzepoczesz, czarodziejska kuro,
dyszysz, labędziu, technieniem boskim
i ludzi znowu zmieniasz — w ludzi.
Nie pieśnią — dosyć ci piosenki.
I lwy drzemiące na Krakowskim,
(tak często tamtą drogą zsiłście)
wydarte z ośnieżonej drzemki,
strosz w powoju lepkie liście.

Jest luty. W zaspach miasto tonie
i tęskni czarny wieszcz za majem...
Ale tą nocą zorza płonie
nad moją Polską — smutnym krajem.



JALU KUREK
Ballada
murzasichlańska

W drugą rocznicę śmierci Jana Lechonia

WOJCIECH NATANSON

Lechoń miał osiemnaście lat, gdy napisał jeden z najświetniejszych swych wierszy: „Mochneckiego”. Ten utwór, krążący z rąk do rąk, zdobył od razu nagrodę i zapewnił popularność młodemu pisarzowi. Satyry polityczne, zebrane w broszurkach „Królewsko-polski kabaret” i „Facecje republikańskie”, oraz występy w kawiarni poetów „Pod Pikadorem” na Nowym Świecie, ugruntowały sławę, zdobytą brawurą szarżą literacką. Tak, że pierwszy tom poetycki Lechonia „Karmazynowy poemat” (1920) tylko „usankcjonował” pozycję, już osiągniętą przez Lechonia między osiemnastym a dwudziestym pierwszym rokiem życia...

Przypuszczam, że wiele czynników złożyło się na ten oszałamiający nagły tryumf. Należałoby zapewne przytoczyć gorącą atmosferę tych lat w całym kraju, a szczególnie w Warszawie, choć na przykład i w Krakowie grunt zdawał się wtedy ludziom palić pod nogami. Duże znaczenie miała współpraca z całą światnią ze sobą współdziałającą grupą skamandrytów. Po latach, w czasie nowej wojny wspominał Słonimski:

„W kawiarni, w zadymionej sali
Na estradce niewielkiej, codziennie wieczorem,
Jacys młodzi poeci wiersze swe czytali
I uciszał się nagle tłum „Pod Pikadorem”,
I szumiły Muz skrzydła w malej kawiarence,
Gdy Lechoń kartkę z wierszem w drżącej trzymał ręce.

Ale decydujące znaczenie miał fakt, że Lechoń w wierszach takich jak: „Mochnecki”, „Pilsudski”, „Pani Słowacka”, „Herostrates” czy „Sejm” odnowił poetyckie spojrzenie na sprawy narodowe, na zagadnienie patriotyzmu.

Ja nie chcę nic innego, niech jeno mi płacze
jesiennych wiatrów gędźba w północy badyłach,
A latem niech się słońce przegląda w motylach,
A wiosną niechaj wiosnę, nie Polskę zobaczę.

Myślami, co mi w serce wrastają zwątpieniem,
Bo w nocy spać nie mogę i we śnie się trudzę
I chciałbym raz zobaczyć, gdy przeszłość

wyżeniem,
Czy wszystko w pył rozkruszę, czy... Polskę
obudzę?
(„Herostrates”)

Skomplikowany — socjologicznie i psychologizmie — konglomerat poczucia narodowego, świadomości, że sprawa polska rozciąga się aż po granice narodowej diaspory, (bo: „na tysiączne się wiorsty rozsiadła nam Polska”), walka z tradycją i wiarą w bezmierną jej wartość, poczucie siły a zarazem szamotanie się w kompleksach, niedosytach i tęsknotach, oto częśćka zaledwie tego, co ówczesne pokolenie znajdowało w wierszach młodzieńczego (urodzonego w roku 1899), a przedwcześnie dojrzałego poety.

Ile w tym tylko Polski, tyle jest nam prawie,
I mamy ją u siebie, nocą zachłysłnięci:
Będziem mieli ją jutro, omdleli, pośnięci,
Wstuchani w granie świerszczów, leżąc na murawie.
Pod żurawi studziennych skrzywienie miarowe,
Pod brzęczenie kos w trawie i piosnkę skowronczą,
Będzie zwolna szła ku nam, a gdy kosić skończy,
Wonne siano nam lekko podłoży pod głowę.
(„Pani Słowacka”)

Lechoń należał do Skamandra, formalnie tradycjonalistycznej grupy. W obrębie tej grupy może najsilniej podkreślał organiczne swe związki z wielką tradycją liryki (i w ogóle kultury) polskiej, a nawet — szerzej mówiąc — europejskiej. Raz po raz, w każdym niemal jego wierszu powracają jako motyw poetycki echa z Homera, Szekspira, Dantego, Goethego, Byrona, Kochanowskiego, Mickiewicza, Wyspiańskiego, Prousta, Or-Ota, Jacka Malczewskiego, Staffa, a przede wszystkim — Słowackiego. Poetą „Grobu Agamemnona” żyje jak powietrzem twórca „Karmazynowego poematu” i „Lutni po Bekwarku”. Już w młodzieńszym „Duchu na seansie” wywoływał przeciw cień twórcy „Anhellego”!

Obrazowanie poetyckie, choć tak oryginalne i śmiałe, nigdy u Lechonia nie przeobraża tradycyjnego porównania — w metaforę. Rym nie zmienia się u niego w biały wiersz. Gdy Lechoń chce eksperymentować, robi to w obrębie klasycznej regularnej rytmiki. Pozwala sobie czasem na mocno artykułowany „rytm wewnętrzny” (np. w „Kołodzie”). Nowatorstwo Lechonia jest, mimo to, faktem. Polega ono nie tylko na przewartowaniu i nasyceniu nową treścią uczuć takich, jak patriotyzm czy tęsknota za szczęściem.

Wydaje mi się, że nowatorstwa, w głębszym znaczeniu tego słowa, jest stosunek Lechonia do języka: fenomenalnie wirtuozowski. Nie przejmując pojęć awangardowych, pozostając przy estetyce dawnej, Lechoń jak

malo kto w XX-wiecznej poezji polskiej przenikał zakamarki i tajniki polskiej mowy. Jego słownictwo jest zadziwiająco bogate, ucho poetyckie czule na szmery i odcienie tak subtelne, że zdawałoby się — niedosłyszalne. Język Lechonia może służyć jako materiał do studiów nad bogactwem i gibkością polskiej mowy.

Ale ten świetny i efektowny gmach poetycki już co najmniej od drugiego tomu — wydanego w roku 1924 zbioru „Srebrne i czarne” — zaczyna zdradzać jakieś niepokojące pęknięcia. Już w tym tomiku, przenikniętym dantejską myślą o marności wszechrzeczy i dantejską, uporzeczywie powracającą melodią — jest jakaś gryząca i rozstrajająca gorączka.

Coraz częściej w wierszach tego 26-letniego poety powraca sprawa śmierci, traktowana nie jako motyw poetycki, ale jako materia liryczna i źródło myśli o świecie.

Nic nie ma prócz tych liści, co na drzewach zmarły,
Nic nie ma prócz tych wiatrów, którymi przewiał,
Nic prócz śladów świetności, co się już zatary,
Nic stanie się nic więcej. Już wszystko się stało.
(„Toast”)

I nie jest przypadkiem, że w ciągu następnych lat blisko 20, Lechoń, uwieńczony laurem Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek, nie ogłasza nowych tomów. Pisze od czasu do czasu wiersze, ale nie uznaje ich za godne publikacji. „Nic stanie się nic więcej. Już wszystko się stało” — ta poetycka kwintesencja depresji i znużenia zdaje się rozbrajać jego pisarską aktywność. Jeśli Lechoń przerywa milczenie, to najczęściej daje wyraz nastrojowi bolesnego znużenia czy rozczarowania. Tak dzieje się na przykład we wzruszającej „Rozmowie w weteranem”, ogłoszonej w „Skamandrze”, która dopiero w obecnym, Czytelnickim wydaniu, opracowanym przez Mariana Toporowskiego, doczekała się przedruku książkowego.

Zasiądziemy. Stół włóczkową przykryty serwetą,
Raz po raz cyka zegar w nakryciu swym szklanym.
I czuję się: staruszek — prawdziwym ulanem,
Ja, biedny, głupi kłamca — prawdziwym poetą.

I oto w ten nastroj samokrytycyzmu, wszechzwątpienia i stałej depresji wkracza wojenna katastrofa. Wbrew przeczcuciu, że: „nic stanie się nic więcej”, stało się coś nowego, potwornego i wymagającego poetyckiej reakcji. W młodości triumfalny debiut Lechonia odbywał się wśród bicia dzwonów oznaczających koniec XIX-wiecznej niewoli; teraz renesans dojrzałej jego poezji rozbrzmiewa bólem nowego najazdu i męczeństwa:

Ciche domy dzieciństwa, gdzie się błogo śniło,
Książki niegdys czytane z płomieniem na tuarży,
Wszystko, wszystko, co nasze, do kości z cmentarzy,
Wydane na zagładę lub w proch się zmieniło.
(„Skowronek”)

Gdy armia wrażliwych na poezję i dobrze świadomych naszej historii (co się co prawda rzadko zdarza) esseistów zabierze się do rozwiązywania problemu „Poezja polska w latach najstraszliwszego narodowego kataklizmu”, myślę, że kilka rozdziałów najbardziej wrzuszających zostanie poświęconych Janowi Lechoniowi, dawnemu wirtuozowi, późniejszemu piewcy depresji i niemocy — który w obliczu wielkich wydarzeń odnalazł ton nowy, zadziwiający humorem, ściszeniem głosu i przejmującą siłą.

Wszyscy święci z oitarzy, z obrazów, z pomników,
Ze światłami nad głową i z ranami w boku,
Wszystkie święte o cudnym panieńskim uroku
Wychodzą na spotkanie naszych męczenników.
(„Męczennicy”)

Zrozumiał wtedy Lechoń, że „być Polakiem to znaczy cierpieć i nie czekać za to cierpienie odpłaty” (tak napisał w książce o Mickiewiczu). Choć nie był w czasie okupacji w kraju, potrafił jednak stworzyć arcydzieło oddające sprawiedliwość warszawskiej ulicy w dniach wielkich obław, Pawiaka i egzekucji.

Czytelniku wybredny, który śnisz o Troi
I chciałbyś widzieć wszystko na miarę Homera,
Ślepy człowiek w Warszawie na ulicy stoi
I śpiewa „Warszawiankę” i groź w czapkę zbiera.
(„Iliada”)

„Nie znam okoliczności, które towarzyszyły tragicznej śmierci Lechonia” — napisał w pięknym szkicu Ludwik Hieronim Merstin. „Nawet gdybym je znał, jeszcze nie mógłbym sądzić, jaka była istotna przyczyna tego rozpaczliwego skoku z nowojorskiej skały tarpejskiej, która pozbawiła Polskę wielkiego poety”.

Rzy srebrnogrzywy wiatr,
czesze bory Podhala.
Oj nie ciesz ty naszych borów, wietrze,
uciekaj gdzie swity są bledsze,
gdzie kraj się od słońca zapala.
Wyszła sarna murzasichlańska,
kogo szukasz, dziewczyno, po nocy,
kasztanowłosa madonno tatrzańska?
Skrzydlaty koń nad Tatrami
smolnym oddechem wionie,
łamię w galopie drzewa.
Janosikowy koniu!
Porąbane w karczmie głowy,
odrabane we krwi dtonie.

W gwiazdach odległych skrzypi noc cicha.
Spią dzieci murzasichlańskie
na piecach, nalepach, na strychach
trzymając w rączkach lejce z powietrza,
pedząc w obłokach konno do rana.
W las wymykają się dziewczyny,
rozbiegane sarny po polanach,
każda podobna iskrzącej gwiazdzie.
A księżyc! Co księżyc wyprawiał!

Księżyc na koniu
Harnaś na koniu.
Wicher na koniu.
Koł trójjedyny.
Trójjedyny jeździec.

Ej dziewczko, dziewczko z Podhala,
kto ciebie kupi,
sietniak czy znajda,
znachor czy głupi,
dziad albo inny niedorajda,
ale nie ja, śpiewny włóczęga.

Zatrzeszczały drzewa na polanie,
koń pod harnasiem uklęka.
Gdzie jesteś, Murzasichlanko?
Gdzie jesteś, szyjo w koralach?

Przypadli do siebie po ciemku,
księżyc to wszystko widział,
wpływał w siebie pomaleńku,
bliżej miłości, dalej od życia.

Z jaśminu twoje włosy, ramiona w mosiądzu kute,
na złotych sarnach nadszędzą z boru
anieli o długich nogach.
Janosikowa świta.
Dwunastu aniołów.
Dwunastu sokołów.

Dziewka do jody przybita,
smugi zielone z jej żrenic wioną,
całują królewicza.
Królewicz strugą krwi z ust błysnął
i od jej wzroku splonął.

Pali się watra, pali na Królowej Hali,
dwunastu jest sokołów, co ją rozpalali.

Jedziesz lasem na koniu, konia wicher porywa,
niesiesz się nad kurzawą smreków,
sokoły lecą dołem, anioły lecą dołem,
ty płyniesz górą archaniołem
w żorzę zachodu, w złoto młodego księżycza,
zrosnięty z koniem, człowieku.
Od wzgórz Liptowa, od spiskiej równiny
nadciąga mściciel.
Zbój — jaśnie oświecony księżycem,
sam, bez dwunastu aniołów,
ręce ma lepkie od krwi.
Dwunastu sokołów pije w piwnicy,
w piwnicy pije dwunastu sokołów.



Pasterze kozic i niedźwiedzi — pijcie!
Rycerze karczem żydowskich, złodzieje owiec
liptowskich,

mordercy wołów!
Wodę ognistą baba rozlewa,
gorycz piotunu, jad żmii, woń mięty, omdłałość miodu.
Gałęzie trzaskają na drzewach,
księżyc pcha się do izby. Zbójnicy!
Wślizguje się sierp stalowy,
który pościna wam głowy,
na sierpnie plamy od krwi.
Brońcie się, zdrada!

A to białolica
schodzi w odzieniu z księżycza,
powoli z blasku się rozdziewa,

Gdzie jest mój harnaś, dobrzy chłopcy?
Zeni się z wiatrem, z chmurą gradową.
Ej gdzie ty gonisz po nocy?

Widzę go poprzez grań, przepaść i śnieg,
zstępuje nocą fiołkową
w lasów wzburzeniu, w buncie polan
pierzścień wichury, skrzydło orta,
kochanek Murzasichlanki.

A ty stoisz
w srebrze dziewięciornika, w przepychu złotogłowi,
białolica, nie tknięta słońcem wielkiego maja,
jurna, strzelista dziewczko, nie przystępna gazdom,
czekasz na swego szuhaja,
murzasichlańska gwiazdo.

1. wstęp

w pomieszaniu wspomnień jedna druga twarz
a tak równoległe jak wiosenne skiby
jak bierwiona tratw

spód powiek ciepłej konchy
wyluskam zblakłe lata
umiem to ja w gaśnienie uwierzyć skłonny
kochanek triumfalnego świata

2. poznanie

baldur zamykał oczy ciemne
bolalo go
blask ulatywał całą noc z arkusza
heksametr maszyn drukarskich także niemniej
męczył ogłuszał

kończy się rok śnieżycy
srebra w zaulki nawiał
tajemniczo
srebro jak biały safian

późno już hildur szedł korytarzem
on — brzask spędzający cmy gwiazd
po prostu stanął z lewą nogą ugiętą
wszyscy chłopcy tak stoją gdy nie ma powodu do
marzeń

popatrz baldurze
papier jak flaga zatrzepotał w promieniach łask
zaczynając długie święto

3. rok pierwszy

pachole jasnowłose pachnie słodyczą pasiek
szerokie w bark wiązaniu a wiotkie bardzo w pasie
goni od czaru do czaru zawzięcie

mrok ciężkich nocy rudział
kwiaty strzelały na cierniach
obaj zapominając o ludziach
widzieli cień berla
szczęście

styczeń luty miesiące mitów
ciało poznaje dobre uściski
na gołoledzi też ciało ikar tu spadł z zenitu
a choinka ciągle jeszcze śni się błyska
szczęściem

w marcu wino dni kołysało szepejąc
hildur tańczył z cygańskim bębenkiem
w rytmie wtórował sobie chcąc nie chcąc
nucił piosenki
szczęścia

cała wioska kwiciste burze
bzy konwalle narcyzy różę
korowodami wonnymi zbiegają ku temu
który je urzekł
szczęściem

JÓZEF CZECHOWICZ

hildur baldur i czas

czerwiec lipiec i sierpień ciągną słoneczną strunę
przed nagim rozlewają nurt rzeki
więc łodzie świętojańskie upalne muzyki fruną
i wilgotny urok z lozin
późna noc ja wiem na czarne brzegi
szczęście zanosi

wrzesień pogoda stojąca woda
złocista woda stawu
włosów hildura świeci hełm
i w mieście
po kolumnach po liniach architrawów
schodzi radosne spojrzenie szept
szczęście

jesień to dziwna pora bez niebios kobaltu
usmutnia ogrody deszczów bulgot
są mokre a pełne pomarłych lodów
pierwszych cieniów pierścieniem staje się myśli kółko
ale szybko otrząsa się baldur
jest szczęście
szczęście młodych

znów zima zawiesza lampy nad śmiechem
o kóż by tam patrzył na godzin połamanych stos
hildur i baldur na wszystko odpowiadają w głos
szczęście ono zawsze było lotne i lekkie
jak jasny włos

4. skrót innych lat

1932

chwiały się nocne ballady zorzą nakryte modrą
jaśniało zawsze jaśniało u łoża tkanin i kurtyn
nawet wrogowie palili zwycięzcom amburę bursztyn
bo antyk wskrzesił pierś płaska włosy ze złota biodro

1933

już nie ma takich wydarzeń które nie kipią weselem
od srebra rosy porannej do srebra zmierzchu jest
chmielnie

księżycy jazdy zieleni śnieżycy gwiazdy zieleni
orszak wierszy wysławia pełnego szalu pełnię

1934

hildur mężczyźni tańcząc po zimie jesieni wiośnie
niestety w ramion układach ostrzejszy rysuje się
kontur
zabręknął kosą starzec tak przypomina co roślinie
nachyla usta czy liście do ciemnych wód acherontu

5. wszystko przemija

skrzydła w niebie furkoczą glucho
ikar to ikar opuszcza dedala
piorunów starca szkarłatna fala
uderzy w puchar

pozbawiona kulis przepychu
ziemia stromo się piętrzy
już wielkie schody wiodą pod chmur dno
ptaki padają na marmur cicho
szczęście osłabia
ptaki mrą

a starzec za tymi dwoma rok po roku zatapia
jak sine kry
kogut zapiał
kosa się skrzy

baldurze wyżej ty czujesz nie ma powrotu
och idzie kosę odrzucił a ujął śpiewny luk
to znaczy śmierci nie chce tylko go strąci grotem
abyście razem nie doszli do czarnych strug

stopnie z białego kamienia siło przedwieczna pogaś
przecież płonące w słońcu wydają hildura na strzał
groźnego wroga
imię jego nienawiść młodych ciał

przykłęka błyska brodą assyryjską
napina cięciwę
świsnęło

to już to

spada hildur kołuje w otchłani siwej
ugodzony pod serce nisko
a światło pszenicznych włosów jak siostra za nim
szło

6. epilog

baldur otworzył oczy rano
pięć lat już temu arkusz bielil się spod pięści
w taki sam świt
gdy cichły czarne maszyny

za wcześniej cię wieńczonym nazwano
jasny jedyny

nie żałuj wstąpiłeś w mit

(Z książki „nic więcej” — 1936)

I Z R A E L

po raz wtóry

ARTUR SANDAUER

21 lutego 1957

Wizyta w Gazie

Pięć razy na dzień rozmowa, choćby
najwyższa, nagle się urywa. Wszyscy
spoglądają na zegarki: nadeszła pora
komunikatu. Przestrzega się jej tutaj
z taką samą skrupulatnością, co sobot-
niego odpoczynku. Jest to symptom na-
pięcia, jakie od chwili wyprawy na
Synaj — panuje w tym kraju.

Wyprawa ta utwierdziła Izraelczyków,
którzy — jak każdy młody naród — są
niezwykle dumni i przywiązani do swej
armii, w dobrym mniemaniu o własnej
potędze militarnej. W istocie, jeżeli ze-
stawić stan liczebny obu stron (półtora
miliona Żydów wobec 60 milionów
bloku arabskiego), to owo zwycięstwo
wydaje się niewiarygodne. Niewiarygod-
na też — wobec 500 wziętych do nie-
wolności Egipcjan — skromna liczba cze-
tech jeńców izraelskich. Dysproporcja
ta świadczy jednak nie tyle na korzyść
armii żydowskiej, co na niekorzyść
jej przeciwników. Ekspedycja sy-
najska potwierdziła raz jeszcze przewagę
nowoczesnej mentalności, jaką repre-
zentują Żydzi, nad średniowieczem,
w jakim tkwi większość Arabów.

Opornia mnie nieprzeprata chęć, aby
zobaczyć okupowany przez Izraelczy-
ków okręg Gazy. Niewielki ten skra-
pek wybrzeża dostał się Egipcjanom
dopiero w 1948 roku. Przedtem
stanowił część składową obecnego
terytorium izraelskiego. Rolnicza je-
go ludność sprzedawała swe pro-
dukty do Palestyny, co stanowiło za-
sadnicze źródło jej utrzymania. Na sku-
tek przyłączenia do Egiptu utraciła te
rynki zbytu i żyła odtąd wyłącznie z
pomocy UNRRA. Na terenie Gazy
przebywa również od 9 lat ćwierć
miliona palestyńskich uchodźców. Rząd
egipski trzymał ich przez cały czas w
obozach przejściowych i karmił na-

dzięć rychłego powrotu do ojczyzny.
Przydziałami natomiast karmiła ich
UNRRA. Z tych to właśnie ludzi, zde-
moralizowanych wieloletnim bezrobo-
ciem, rekrutują się infiltranci, „fada-
jun”, których zadaniem jest przekradać
się na terytorium Izraela, aby dokony-
wać tam morderstw i aktów sabotażu.

Kiedy jednak — w towarzystwie
przewodnika z Tel-Awiwu i miejsko-
wego tłumacza, Araba — zwiedzam ba-
raki uchodźców i samo miasto, czuję się
w siedlisku — nie tyle bandytyzmu, co
zupełnie niewyobraźalnej nędzy. Trud-
no dać pojęcie o brudzie tych zaułków,
o unoszących się w powietrzu kombi-
nacjach obrzydliwości, które chwilami
— przez antytezę — przerastają w ja-
kiś perwersyjny zapach. Wśród zgni-
łych szmat i nieczystości czoiągają się
dzieci i siedzą rodzice, błądzą zuboże-
niałi, umieszczeni jakby poza czasem,
który nie może im przynieść nic —
prócz 7 kg unrowskiej mąki na mie-
siąc.

Wnętrza, nawet zamożniejsze, do któ-
rych mimochodem zaglądamy, są cał-
kowicie nagie — bez zdjęć i obrazów.
Przypominam sobie, że tu, na tym pół-
wyspie powstał judaizm i islam, dwie
religie, które zakazują portretowania
postaci ludzkich; że tu powstała sekta
obrazoburców, która w VII w. przetr-
wała się do Bizancjum i zniszczyła
większą część piastki starożytnej. Po
dziś dzień ów lęk przed balwochwal-
stwem wyciska piętno na arabskich
mieszkańcach; tylko w jednym z nich,
zajętym przez dwu studentów, uśmie-
chają się ze ścian wycięte z pism ilu-
strowanych gwiazdy filmowe.

Przygodni znajomi, z którymi podczas
tej włóczki nawiązuję rozmowy, za-
chowują w swych wypowiedziach da-
leko idącą ostrożność. Z jednej strony
mają zapewne w pamięci niedawne
salwy wojsk izraelskich do tłumów,

plądrujących bezpańskie magazyny, z
drugiej zaś — nie brak im przyczyn,
aby wątpić o trwałość obecnej władzy.
Jedynie towarzyszący mi tłumacz sta-
wia zdecydowanie na izraelskiego ko-
nia i nie dość, że nie waha się potę-
pić Egipcjan, którzy w ciągu 9 lat nie
dokonali tu żadnej inwestycji, ale co
więcej, zwraca się do mnie, „znakomi-
tego gościa z Bolonii”, abym poparł
u władz izraelskich jego starania
o przeniesienie na wyższe stanowisko
Teraz, kiedy po wyjściu Izraelczyków z
Gazy szaleje tam zapewne pokolabo-
racyjna czystka — ciekaw jestem, jaki
los mógł spotkać mego parugodzinnego
znajomego, Hassana Ali Nasrallah?

2 marca 1957

Wywiad z szejkiem

Po przyjeździe do stolicy Beduinów,
Berszewy, przewodnik nasz, zawodowy
dostawca egzotyki, kieruje nas od razu
w samo jej jądro, na „suk” czyli plac
targowy — dość zresztą tym razem pu-
stawy. Jedynie siedzący w kuczki
przed niezliczoną ilością papierowych
woreczków znachor-aptekarz podsuwa
jakieś klientce szczyptę żółtego prosz-
ku pod sam nos ozdobiony srebrnym
kolczykiem. Zwątpiwszy, aby mógł
nam pokazać coś bardziej egzotycznego,
przewodnik prowadzi nas do restaura-
cji na obiad, gdy nagle — na widok
Beduina, który dozoruje ładownie
worów z mąką na ciężarówkę — wyda-
je radosny okrzyk. Okazuje się, że
szczęśliwy traf zetknął nas z samym
Sulejmanem, owym szejkiem beduiń-
skim, sprzymierzeńcem narodu żydow-
skiego, który w 1948 r. bronil przed
Egipcjanami południowych dostępow
do Jeruzolimy. Teraz stoi oto przed
nam, wspaniały, postawny, w swym
faldzistym burnusie, spod którego wy-
zierają kolby dwu zatkniętych za pas
rewolwerów, i godzi się zdać resztę
ładowania (jest to miesieczny przydział
plemienia) na swego syna, by samemu
pójść z nami na obiad.

Orientuję się niebawem, że zasadni-
czą słabością szejka jest próżność:
wstępny bojem zdobywa jego serce
dziennikarka z naszego towarzystwa,
która opowiada mu, że zna jego na-

zwisko z prasy zagranicznej. Nie bez
znaczenia jest tu zapewne i druga jego
słabość: dla pięci pięknej. Tak czy
owak, wprawiony w dobry humor, Su-
lejman opowiada nam przy jedzeniu
genealogię swoją i swego szczerpu: jako
tłumacz służy mu drugi syn, zrodzony
z najmłodszej spośród jego 39 żon.

„Pochodzimy z plemienia Izraela —
mówi szejk. — Kiedy Mojżesz prowa-
dził Żydów przez pustynię, część ich
oderwała się i zablakła w jednym z
przesmyków, zwanym dotąd „Wqwo-
zem Błędu”, Wadi Taa. To my. Odtąd
szczerp nasz obozował na pograniczu
Synaju i Palestyny, aż (króciutkim tym
słowem obejmuję Sulejman 4000 lat)
aż — po wycofaniu się Turków i prze-
jściu Synaju w ręce egipskie — roz-
padł się on na dwoje. O części, która
pozostała po egipskiej stronie, wszelki
słuch zaginął: nad drugą — tą, która
zamieszkała w Palestynie — sprawuje
po dziś dzień prawowitą władzę ród
El Hazejlch, którego on, Sulejman,
jest ostatnią odroślą”.

Ze pod jednym przymajmniej wzglę-
dem jest on nieodrodnym potomkiem
patriarchów, świadczy zdjęcie, które
puszcza w obieg między nami: za-
żywny jegomość z żoną oraz córka o
równie im korpułencji. Jest to — wy-
jaśnia — rodzinna fotografia ostatniej
narzeczonej, Niemki, która dwa lata
temu zgodziła się korespondencyjnie
zostać jego czterdziestą żoną. W oczekiwaniu na jej przyjazd, który wciąży
jeszcze jakoś się odwieka, przesyła jej
na razie podarunki, za co dostaje w
zamian te oto zdjęcia. Tym razem już
jednak na pewno...

Podczas gdy syn przekłada nam hi-
storię ojcowiskich konkurów na bardzo
rdzenną hebrajszczyznę, na ustach je-
go błąka się niezaczny uśmiešek. Za-
znacza też mimochodem, że jego włas-
ne plany matrymonialne mają zupełnie
odmienny charakter: jest zaręczony
mianowicie z panną w czasie służby
wojskowej żydowską żołnierką. Mimo
to — korzystając z wolnej chwili, w
której ojciec zajęty jest wycieraniem
talerza — pyta mnie półszepem, czy nie
znam przypadkiem w Polsce dziewcząt,
skłonnych do nawiązania koresponden-
cji...



JANINA BRZOSTOWSKA

Wega

Wega gwiazda w konstelacji Lutni. Powiedziałam: to moja gwiazda... Miałam wtedy szesnaście lat.

Wega świeci latem u szczytu nocy. A ja stoję na dnie otchłani. Na dnie smutku. Na dnie zwątpienia.

Dobroć ludzka? — bańka mydlana. Mądrość ludzka? — nie opieraj się na niej.

I być może zawiedzie wszystko — kwiat jedynie, i drzewo, i noc pełna gwiazd zostanie.

CZESŁAW JANCZARSKI

List z Barcelony



Wacławowi Iwaniukowi

Gdy patrzę na wyblakłą kartę z Barcelony,

na której port i okręt i obłok nad portem pochylony powtarzałem tylekroć, myślę o tobie, Wacławie.

Moja twarz jest zmieniona jak dom na Powiślu — a twoja?

Czy niosąc dzbanek wierszy masz w oczach to samo zdziwienie?

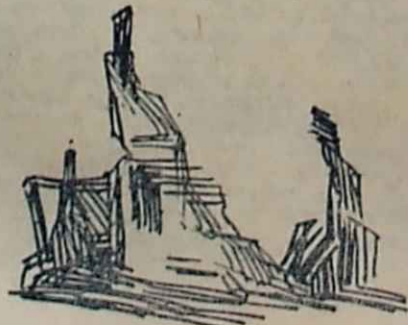
Na ulicy Dobrej dudnią jeszcze kamienie twoich szarych kroków i kolor oczu jest jak obłok zmroku zatopiony w Wiśle.

Wacławie, zanim wiersz ten wyślę, zanim przypomnę ci czarny blask oczu Józefa,

Henryka martwy uśmiech, zamysłony krok Stanisława, albo radość Stefana, co staje przede mną

jak żywa istota, jak dziecko — sprawdzę, czy uścisk pożegnania jeszcze na dłoni nie wystygł.

Idą twoje kroki przez wołyński las, idą wolno Powiślem, uliczką ciemną, schylają się nad wyblakłą kartą z Barcelony, równają się ze mną.



Z LUBELSKICH WSPOMNIENIEM*

EWA SZELBURG-ZAREMBINA

Pamięci Panny Romany

SZUKAM w obfitości słów tego dziesiątka najprostszyc, które są potrzebne, ażebym mówiła o sprawie niepopularnej, ba, kłopotliwej. Nie zaprzęta ona publicznej uwagi, pozostaje w cieniu wielkich przedsięwzięć społecznych, gospodarczych, politycznych. Ale — jest. Okryta ogólnym milczeniem. Skwitowana łagodną znową czynny udział biorącego w życiu społeczeństwa. Istnieje. Nic w niej nie ma z malowniczych efektów, nic z do- rażnych, materialnych zysków, nic nadającego się do rozgłosu, nic z życia, z życia, które może być niekoniecznie bogate, ciekawe, piękne i szczęśliwe, ale na pewno przedstawia istotną wartość — skoro na ogół cenimy je sobie tak bardzo, że walczyliśmy o nie, do tego nie zawsze w najszlachetniejszy sposób i niekoniecznie najuczciwymi środkami. Szukam. Chcę znaleźć słowa proste ale najczulsze, słowa miłości nie miłosierdzia, słowa wdzięczności pełne i szacunku. Także słowa, które wyrazi- łyby wstyd. I ból. A również — strach. Chcę rozporządzać takimi słowami, będę tu mówiła o starości, ściślej — o nam najbliższych istotach, mężczyz- nach i kobietach. Takich samych — tylko, że wyrzucanych lub już wyrzu- conych za burtę, z życia w śmierć, jeszcze przed ostateczną chwilą zgonu, przed końcem drogi.

Krzywdą małego, bezbronno- go dziecka oburza, wstrząsa, pobudza do ob- rony, do zadziałania. Szusznie! Ale dziecka krzywdę można naprawić — przed dzieckiem jest jeszcze całe ży- cie. Całe życie jest już poza starym człowiekiem, a to, co jeszcze mu po- zostało, umyka ze wzmogłą szybko- cią, niepowrotnie. Jak! smutek!

Był człowiek jak sadowe drzewo, ja- łoń, pełen piękności, siły, pożytku. Jabłoń zazieleniła się, kwitła, owoco- wała. I tak przez długie lata. Po la- tach, po długich, gdy owoc przestała rodzić, jeszcze służyła — cieniem roz- rostłej korony. Gdy i korona, i pień obumarły — dały ze siebie dość drewna na ciepły, wesoły ogień. A drzewa in- ne, te oglądane na przykład w Puszczy Białowieskiej, w Świętokrzyskich gó- rach, w tatrzańskich uroczyskach, dzi- kie? Po najdłuższym, w pełni soków żywocie, już niepodobne, jeszcze karmią sobą młode pokolenie zieleni podściel- liwszy się próchnicą pod kielkującą żo- łądz, buczynę, skrzydlate nasienie ja- wora, jodły, sosny.

Stary człowiek jest jak stare drze- wo — służy sobą innym. ...Czy zwróci- ło waszą uwagę, że ptaki najchętniej gnieźdzą się w koronach starych drzew? Że wśród korzeni i w dziup- lach starych drzew zwierzęta zakłada- ją swoje najspokojniejsze legowiska?

Człowiek jest jak drzewo, czujące i myślące drzewo. Czucia i myśli nara- stają latami jak słoje drzewne, jak warstwy kory, jak rozwidlenia kono- rów, gałęzi, gałązki. ...Czucia i myśli. ...Umysł i serce nie obumierają tak szybko, jak się ogólnie sądzi. Czemu odmawiać tych najbardziej ludzkich cech ludziom starym? Czy że stracili dziecięcy wdzięk, młodzięcą żywość, jurność dojrzałości, pewność siebie wie- ku średniego?

Patrzmy na starych ludzi i osądza- my szpetotę i niedoświadczenie. Twarz w zmarszczkach, wyblakłe oczy, nieskład- ne ruchy, powolne słowa.

Młodszym rzadko przyjdzie na myśl, że patrzy bezpośrednio na pięknej wy- razistości dokument, na pismo długie- go życia. Ceni się stare dzieła sztuki, stare papierowe księgi — skarby mu- zealne i bibliofilskie, nie traktuje się ich jako martwych pozycji, skoro wno- szą żywe wartości. Te jednak żywe z ciała i krwi księgi wartości nie przed- stawiają. Szkoda.

Prawda, nie po księdze, gdy brak chętnego, wrażliwego czytelnika. Nie po palimpseście, gdy nie ma odczytwa- cza hieroglifów. Martwe to są pozycje. Stracone dla ogółu.

Ale nim zachwycająca swym czło- wieczeństwem istota zamieni się w isto- tę odczłowieczoną — musiała być na tej istocie popełniona zbrodnia obojęt- ności, zbrodnia wyobcowania jej z oto- czenia.

Ludzie młodzi i ludzie dojrza- li, którzy także się kiedyś zestarzeją sami — starego człowieka skazują na zagładę różnymi sposobami. Najczęściej a sku-

tecznym — jest odebranie skazanemu sensu życia. To bardzo proste — wy- starczy wskazać skazańcowi, że on sam i jego dzieło przestali być potrzebni, obojętnie gdzie: w domu, w rodzinie, w biurze, w warsztacie, w fabryce, w gospodarstwie, w zakładzie nauko- wym, wychowawczym — w którymkol- wiek z miejsc, mniej lub więcej waż- nym, ale tym właśnie, z jakim ten człowiek zrosł się sercem, umysłem, przyzwyczajeniami przez długie lata, w złych i dobrych terminach, czemu oddawał swe żywotne siły, swą troskę, starania, uczciwość, dumę, wyobraź- nię... Dowiedzieć mu, że przestał być po- trebny, — że przeskądza. A wtedy już on sam wyciągnie dalszy wniosek, że nie tylko jest zbędny w tym jednym jakimś miejscu, ale — wszędzie. Wszę- dzie, gdzie rodzi się, trwa, walczy i zwycięża — życie!

Dla starych zarezerwowana jest bo- wiem osobna ziemską kraina — kra- ina unicestwienia. Kraina jeszcze nie pogrzebanych ciał, ale już pogrzeba- nych umysłów i serc. Kraina cieni, które głodne życia, gdy starsze — ni- ką bez protestu, gdy silniejsze stają się upiorami. A upiory istotnie mogą być nieprzyjemne w obcowaniu z żywymi. Odpycha się je więc od tego obcowania przy pomocy niektórych urządzeń spo- łecznych.

Te urządzenia społeczne, jak renty „starców“ i domy „starców“ (nie mówi- my dziś o „taskawym chlebie“ i o „przytułku“, jako że terminologia się zmieniła), w teorii mającej słuszość, w praktyce okazują pożytek nie tak niewątpliwy. Miejsca zbiorów złomu, makulatury zawierają okaleczone resz- ki sprawnych narzędzi i cenne meta- le i dzieła drukarni pomieszczone bezład- nie — domy starców mają z nimi ja- kieś tragiczne podobieństwo, tylko że tam zwala się na kupę bezdusne przed- mioty (zresztą z nadzieją wydobycia z nich jakiegoś choć minimalnego zysku), a tu — gromadzi się niepotrzebnych lu- dzi. Ludzi, z których każdy jest wciąż jeszcze tą Jedyną, niepowtarzalną Is- totą, indywidualną cząstką gatunku stworzeń nie mających sobie równych, przynajmniej na tej znanej nam ziem- skiej planecie.

Nie odmawiajmy starym ludziom cech ludzkich. Na końcu długiej drogi, każdy z nich jest samotny. I każdy obarczony. Jak źle związany, rozlatują- cy się tobolek, niosąc ze sobą całe swo- je nagromadzone dobro, z którego tyle już pogubili i wciąż jeszcze gubią w długiej drodze. No cóż, istotnie, bar- dzo różny to towar. Są tam śmieci na nic nieprzydatne nikomu, nawet ich właścicielom... są wspomnienia i smut- ki bardzo drobiazgu, dziwactwa drażniące, ale są i doświadczenia ca- łych pokoleń, są okruchy wiedzy mędr- ców.

Trzeba wśród nich umieć i chcieć rozróżnić, ocenić, uchronić, spożytko- wać. Jest to swoista umiejętność, nie- łatwa, ale oplacalna na pewno. (Opla- calna, mimo że na przykład i Związek Twórczy Literatów postanowił pozbyć się w możliwie przyzwolony sposób, swych starych kolegów i wysłać ich możliwie najdalej od środowisk twór- czych, od siedzib czynnych członków związku, od ośrodków kultury, hen, na kresy do wspólnego domu rencistów, gdzie gromadnie, w parosobowych izbach będą mogli w przedwczesnym zapomnieniu przygotować się do wie- czystego zapomnienia).

Broniąc praw starości do uczestni- czenia w odpowiedni sposób w nor- malnym życiu, muszę tu powiedzieć o jednej rzeczy, która jest potrzebna bez względu na widoczność z tego korzyść dla ogółu społeczeństwa — tą rzeczą jest poczucie odpowiedzialności wszyst- kich ludzi za ludzkie życie, za każde, do ostatka jego trwania. Bo to jest podstawowy warunek czło- wieczeństwa — solidarność z własnym gatunkiem. I to są świadczenia przez cią- łość pokoleń. Od narodzin czło- wieka do zgonu człowieka. W starcu nie umiera człowiek, to tylko w stosun- ku do starców obumiera człowiecza so- lidarność w ludzkim społeczeństwie.

WIDZIAŁAM Ją pierwszy raz, gdy przywieziono mnie do gubernial- nego wówczas miasta na egza- min do pierwszej klasy. Wszystko dla mnie było nowe, dziw- ne, wciśkające się w pamięć

Łatwo mi dziś wywołać w pamięć taką, jaką była wtedy: młoda, pulchna, białoróżowa, ze złotymi plamkami pie- gów na zgrabnym cienkim nosie, na czole i policzkach. Włosy syplkie, prze- świetlone słońcem, upięte wysoko, z czoła, ówczesną modą... gdzieś na świe- cie nazywaną je „tycjańskimi“ — to były po prostu „rude“. Jednak i tu uderzało ich światło, jakby gorącego metalu: miedzi.

Suknię miała wełnianą zieloną, z wy- sokim kołnierzykiem, zakrywającym peł- ną szyję. Spod długiej spódnicy widać było trzewiki na niskim obcasie — po- ruszała się, mimo żywości całej posta- ci, trochę niepokojnie. Z wiekiem miało to zamienić się w niedowład nóg, ale teraz była po prostu za otyłą, pełną życia dziewczyną, urodzoną dla zajmo- wania się gromadą młodszych od siebie dziewcząt.

Widywałam Ją odtąd raz do roku w ciągu paru dni egzaminów, jakie składałam do coraz wyższych klas. Zdawszy wreszcie do czwartej, zosta- łam w mieście jako stała uczennica.

Była teraz i moją wychowawczynią. Nie myślę dziś, że uczono ją wycho- wawstwa, że miała większe jakiejś pe- dagogiczne wykształcenie. Miała coś innego: intuicję i serce. Była mądra sercem. Zrobiła ze szkoły swój dom, z uczennic rodzinę wciąż odnawianą, wciąż młodą.

Krzyżała dokoła Niej legenda o ja- kiejs nieodwzajemnionej panińskiej miłości... Była często przedmiotem nie- złośliwych pensjonarskich żartów... Nie walczyła z legendą. Zarty przyjmowa- ła pogodnie. Ufała młodzieży. Nawet nie rozumiejąc dziecinnych konspiracji, współdziałała z nimi, będąc pewna, że służą dobrej sprawie dla wyrobienia dzielnego, prawego charakteru w wy- chowankach i dla przybliżenia dnia walki o wyzwolenie Polski.

Dziś myślę, że i w tym była tylko pełną mądrą miłością matką coraz to innego młodego pokolenia, wielu po- koleń.

Życia osobistego w zwykłym znacze- niu nie miała. Żyła za to życiem zwie- lokrotnionym — razem z powierzonymi sobie dziećmi oplakiwała stopnie nie- dostateczne i cieszyła się z celujących. Drżała każdego roku przy egzaminach maturalnych... Współczuła nieszczęśli- wie zakochanym młodym parom i pro- mieniała na wieść o zaręczynach i ślu- bach. Rada widziała mężów i dzieci dawnych uczennic. Nie było dla Niej nic radośniejszego, jak gościć przy swoim stole, nakrytym szydełkową ser- wetą, „staruchy“ zjeżdżające do Niej z różnych stron kraju i gadać z nimi, gadać o ich kłopotach, nieporozumie- niach i sukcesach.

Wcielała się w każdą tak doskonale, że te, które potrzebowały pokrzepienia i umocnienia wychodziły od Niej po- krzepione i umocnione, a te inne od- czuwały jeszcze żywiej i pełniej swoje powodzenie, swoje szczęście.

Żyła nie starzejąc się, grzana otacza- jącą ją wciąż młodocianością, wciąż jakoś tej młodości potrzebna.

Już nie miała miedzianego kasku na głowie. Już nie była białoróżowa, nie nosiła zielonej sukni. Ubierała się sza- ro, na głowie miała szron, poruszała się ciężko oparta na lasce z gumowym końcem, ale uśmiech miała ciągle ten sam i tak samo ciepły mateczyny głos, i te same słowa pełne bezinteresownej dobroci.

Była niestrudzona, jeśli chodziło o wyświadczenie jakiejś przysługi, o dan- nie pomocy. Troskała się ookoło ludzi i ookoło spraw godnych troski. Zawsze jeszcze Jej domem była szkoła, a wy- chowanki rodziną, mimo że tak wiele zmieniło się dokoła Niej.

Widywałam Ją coraz rzadziej, ale każde odwiedziny wypadały tak jak- byśmy przed chwilą rozstały się na głos szkolnego dzwonka.

W interesie innych była wymagająca, żądała wszystkiego i nie można Jej by- ło odmówić, tak bardzo mobilizowała do wysiłku, nie będąc ani na chwilę na- trętna.

Było się Jej za to wdzięcznym. Cza- sami trzeba zmusić do uczynności i Ona to potrafiła.

Ale przyszło, że z dnia na dzień ta nieustannie młoda istota stała się cho- rą, bezsilną Starą kobietą: zrezygno- wano z Niej. Zrezygnowano z Jej us- ług, Jej niezmiennione serce stało się niepotrzebne, a nawet kłopotliwe przy małym elastycznym umyśle. Na Starą kobietę zabrakło zapotrzebowania spo- łecznego.

Tak unicestwiona odchodziła od ży- cia nieodwołalnie.

Zobaczyłam Ją siedzącą przy oknie parteru w głębokim ceratowym fotelu i prawie Jej nie poznałam.

Ale jeszcze jakoś była związana kru- chymi nićmi ze sobą ginącą i ze swoim ginącym w Niej i z Nią światem. Py- tała o dawne uczennice, pamiętając

* Fragment większej całości.

BRUZZA WISIELCZA

STANISŁAW WYGODZKI

OSTATNI opuścili leśniczówkę Teresa i Jan. Dwunasty lipca dobiegał końca. Dzień, który się odznaczał o przedświacie i strącał z siebie zimną rosę, teraz przyoblekał się w czarną, grubą opończę mroku i szedł lasem, drogą, mchem, światłem i cieniem, zapachem dojrzewania i obumierania. Ptaki już spaly, nie przeszkadzały im migot gwiazd dalekich, ani srebrny, suchy blask księżyca, który stanął na obszarze nieba dorodnym, złocistym, jasnym kołem. Gdzieś w oddali zakumkały zaby, śpiewały śniarszkie. Przez mrok i ciszę pomykały jakieś zwierzątka niewielkie, cudaczne, nazwane po tysiącokroć i za każdym razem spostrzegane od nowa. Były zarazem objawiającym się macierzyństwie i drapieżną zaciekłością, były pożerającym i pozeranym, koniecznym i niepotrzebnym dla życia i dla śmierci. W tym mroku, szalała miłość i obracała się w śmierć pod tysiącem znanych i nieznanymi postaci oraz form i kształtów. Obunierał liść, usychała paląca potrawka wiatrem, tym samym, który równocześnie rozwinął szerokim skrzydłem jakieś pyłki i prochy zapowiadające nowe życie, kwitnienie i radość. Krzewy żyjące w cieniu wysokich drzew, wypłyły krople deszczu, który nie był dla nich zezodry, wówczas gdy z nieba szedł potop. Ziemia już obeschła. Tylko trawy w rowach były jeszcze mokre, prężne i soczyste. Pod kołami rowerów skrzypiał piach. Było jasno. Cienie drzew legły krótkim pasmem tuż u pni. Górą szedł księżyc i blaskiem rozczesywał cień na obie strony drogi. Dwa rowery toczyły się początkowo tuż obok siebie, a gdy kierownicy się zachwiały, obie drgnęły i odgięły od siebie gwałtownie. Wreszcie jadący uchwycili rytm, zgodność ruchu, wyczuli uległość szosy, po której sunęły koła. Rzuciły one zniekształcony cień, elipsowaty, przyczajony do ziemi wierznie, nieodstępnie. Jak człowiek — pomyślał Jan — który pada na podłogę i siada, pada i siada, ale podnieść się nie może. Gdzieś z boku mięknęło

* Fragment

światło sączące się z leśniczówki. Po tem ogarnęła ich cisza i noc.

— Dlaczego nic nie mówisz — zapytał Jan. Nie odwracał oczu od kierownicy.

— A ty?

— Ja? Co ja mam jeszcze do powiedzenia?

— A ja mam?

— Powinnaś powiedzieć o wszystkim, zebym... Nie mógł dokończyć zdania.

— Nie mam o czym mówić. — Głos Teresy był oschły. Nie drgnął ani łukiem, ani bólem.

— Oszukałaś mnie.

— Nie...

— Więc dlaczego to zrobił?

— Już ci powiedziałam. Ubiagałam go.

— Ja nie umiałem, tylko ty potrafiłaś?

Teresa milczała. Jan zwrócił ku niej twarz. Jechała pochylona, wpatrzona przed siebie. Widział jej ramiona, nogi obracające pedały.

— Ty go podrapałaś — powiedział znieczeka. Jan nie pytał. Wypowiedział to zdanie tonem nie dopuszczającym sprzeciwu. Chciał być teraz blisko żony, widzieć jej oczy, usłyszeć każde słowo, złowić jej oddech.

Milczenie.

— Wszyscy to zauważyli — podjął łamiącym się głosem. — Wszyscy...

— Ja go podrapałam.

Jan zatrzymał rower, Teresa ujechała jeszcze kilka kroków. Potem wjrzał ją stojącą na drodze.

— Dlaczego zatrzymałaś się? — zapytała z łukiem.

— Pogadamy.

Usłyszała w jego głosie ton, który ją przeraził.

— Nie tu, Janie, nie tu.

— Tu.

— Tu nie ma nikogo.

— Chcesz, żeby więcej ludzi wiedziało?

— Ja niczego nie chcę — odparła cicho. — O co ci chodzi?

— Usiądźmy.

Ruszył pierwszy. Położył rower na skraju lasu i przeskoczył przez rów.

Teresa uczyniła to samo. I nagle znaleźli się w ciemności lasu. Przed nimi spoczywała droga w blasku księżyca: załśniły na niej szprychy kół. Jedno obracało się jeszcze.

— Kiedy go zadrapałaś?

Teresa opuściła głowę. Widziała pod stopami ziemię czarną, spokojną, która

pachniała. Las milczał ogromnym milczeniem osamotnienia. Zdawało jej się, że słyszy jakiś szmer, szum strumyka, który powinien być gdzieś pomykał w pobliżu.

— Pytam kiedy to zrobiłaś?

— Kiedy ciebie nie było.

— Wiem. Gdybym był przy tym, wiedziałbym.

Mówił ze ściśniętym gardłem, czuła, że serce mu łomocze.

— Dlaczego?

— Chciał mnie...

Jan uśmieł wzrok w siedzącą obok kobietę. Widział wyraźnie zarys głowy, pleców, nóg, zwartych mocno kolan.

— Chciał — powtórzył głucho.

— Tak — odparła szeptem.

— I potem podarł protokół?

Teresa milczała.

— Ja od wielu godzin wiem, dlaczego go podarł.

— Janie...

— Ja od pierwszej chwili wiedziałem.

— Dlaczego zostawiłaś mnie samą?

— Gdybym wiedział... Gdybym wiedział...

Milczenie.

— Drogo zapłaciłem.

— Nie chciałam.

— Nie chciałaś i poszłaś z nim?

— Miał oświadczenie Wasiaka, że nie kupowałimy u niego żadnego drzewa.

Milczenie.

— Poszedłbym do więzienia.

— Gdybym ja wiedziała... Tłumiony od wielu godzin płacz rozsadzał jej piersi.

— Co my teraz zrobimy — zapytał głucho.

Teresa nie odpowiedziała.

— Gajowy też już wie — dodał.

— Chyba.

W gałęziach zatrzepotał ptak, trzasnęła gałązka. Jan wstał, przeskoczył rów i zbliżył się do roweru.

— Zostawiasz mnie tutaj?

Teresa uniosła głowę. Widział jej twarz. Występowała z mroku znajoma i dobra. Widział dwie czarne źrenice, a w nich przerażenie. Wrócił i pochylił się nad siedzącą. Wyciągnął ramiona i ujął Teresę pod pachami. Poczł ciepło kobiety, oszłomił go znajomy zapach. Runął na ziemię nie odrywając rąk od piersi.

— Nie! — syknęła. Jej usta były zacięte, twarde. Szukał jej warg. Odwróciła głowę. Miała oczy rozwarte szeroko, przejęte grozą, nienawiścią.

— Nigdy!...

Klasowe oblicze Losu Józefa Conrada

JAN NEPOMUCEN MILLER

Conrad, jak wiadomo, był wrogiem socjalizmu. Bohaterowie jego walczą nie z klasą wyzyskiwaczy, którzy ich ładują w stare pudła okrętowe, przeznaczone na zatopienie, lecz z Podstępny Los, który ich prowokuje do wyładowania z siebie bohaterskiego wysiłku.

Na armatorów okrętowych, którzy po owej „bohaterkiej” i beznadziejnej walce z żywiołem zgarniają premie ubezpieczeniowe, wyrażając „współczucie” dla ofiar katastrofy — patrzy Conrad z przekasem, lecz bez nienawiści.

Obca mu jest jakakolwiek świadomość klasowa: w odstępających barwach kreśli typ „klasowo” uświadomionego kombinatora i lazika Donkina (w „Murzynie z żalugi Naręcza”).

Ideę demokratyczną uważał za piękne marzenie, ale wyznaje, że nie wie, jakim nieszczęściom ma ona przeznaczenie zapobiec.

Utopię socjalistów angielskich uważa za prozaiczną i nudną. Wymienia ją jako „nudny świat doskonałych muncypalności” i kopanie grobu dla indywidualnych temperamentów.

Politycznym wyznaniem jego wiary był „oświecony konserwatyzm” angielski, który zabezpiecza względna wolność polityczną, przede wszystkim zaś kulturalną jednostki — wolność sumienia, myśli i słowa w każdym razie.

Wypowiedzi tego typu, świadczących o krytycznym, niechętnym, nienawistnym prawie stosunku Conrada do socjalizmu, jest bardzo wiele. Pokutują w nich zarówno jakieś gorzkie doświadczenia jak i tradycje „szlachetczyzny” wywiezione jeszcze z domu i ojczyzny.

To stanowisko Conrada dało powód Uptonowi Sinclairowi do przeciwstawienia się wielkiemu pisarzowi walki z żywiołem morskim w dziele pt. „Mamonart”. W sposób ironiczny demaskuje on Conrada jako „kierownika propagandy, który posługiwał się fikcją jako narzędziem”.

W ujęciu Conrada — podstępna Nemezis czai się nad światem i niszczy zarówno dobrych i szlachetnych jak i tchórzy i słabych, wystawiając szlachetnych na próbę bohaterskiego wysiłku.

Sinclair ośmiesza to stanowisko Conrada:

„Jeżeli zaczniemy analizować jego nowele i powieści w świetle ekonomii, to dostrzeżemy, że „Podstępny Los” jest zorganizowaną mafią, która eksploatuje zorganizowaną głupotę”.

„Nauka zapewnia człowiekowi bezpieczeństwo coraz większe i daje mu pełną władzę okiełznaną żywiołów. Okręt mocno zbudowany, kierowany przez człowieka znającego swe rzemiosło i uczciwego, to znaczy omijającego skały, nie obawia się burz. Okręty nie będą tonąć, jeśli się będzie je rozbiierać w porę na szmelc. Powtarzam z całą stanowczością: gdyby nie wysięg linii okrętowych o zyski — niebezpieczeństwo podróży do przeszłości, a „Podstępny Los” Conrada rozsypałby się w gruzy”.

Cytując z upodobaniem te słowa Sinclaira, stwierdzamy zarazem, że socjaliście trudno jest się obronić przed przekonującą siłą tej argumentacji.

Krytyka Sinclaira, odsłaniająca bilans handlowy poezji morza Conrada, rzuca niewątpliwie snop światła na romantyczną Nemezis, której holdy składał tak nielitościwie demaskowany pisarz.

Uwagi Sinclaira są słuszne i wnikliwe, lecz odsłaniają tylko jedną stronę zjawiska.

Mimo pozornej słuszności uwag Sinclaira kryje się w nich ten prymitywizm myślowy, którego powinna się ustrzec głębsza analiza społeczna zjawiska.

Nie wiem, czy „Titanic”, który utonął skutkiem zetknięcia z górą lodową, był starym pudłem, przeznaczonym przez armatorów na zatopienie dla wyciągnięcia premii ubezpieczeniowej;

(Dokończenie na str. 9)

imiona i nazwiska niemal wszystkich. Pierwszy raz widziałam ją wtedy naprawdę smutną, naprawdę samotną.

Obiecała być rozsądną, zostawić niewłasny już kąt, jaki został do jej użytku z całego mieszkania pełnego dawniej gwaru młodych głosów i — nareszcie leczyć się... pierwszy raz leczyć się po tylu, tylu latach pracy.

Minęło zaledwie parę tygodni. Przejżdżając przez to miasto, wstąpiłam na wiadomą ulicę i zadzwoniłam jak zawsze do Jej drzwi.

Obcy ludzie dali mi adres szpitala. Kupiwszy kwiaty i słodycze, poszłam tam. W szpitalnym ogrodzie między pawilonami szukałam długo biura. Znalazłam je, weszłam, spytałam młodą urzędniczkę o chorą taką a taką.

— Na którym oddziale przebywa?

Dziewczyna o jaskrawych wargach nie spojrzawszy na mnie rzuciła przez ramię: — A nie wie pani, gdzie trupa? — Jakoś wyszłam z tego biura.

Wciąż trzymałam głupio w ręku pudełko deserowych czekoladek w celofanie i kwiaty. Czy coś czułam? O tak, miałam wściekłą ochotę sprać tę informatorkę za jej nieludzkie zachowanie. To dominujące uczucie złości pozwoliło mi zachować się mniej więcej normalnie, gdy weszłam do wilgotnej, ciasnej ubikacji, będącej czymś w rodzaju kaplicy. Był tam ołtarzyk z nie palącymi się świecami i stała trumna z czymś, co było tak długo piękną, szlachetną, wielkiego serca istotą ludzkiego gatunku.

Umarła leżała tu w większej samotności, niż gdyby się znalazła na obcej planecie.

Przed trupiarnią, pod drzewem w słońcu siedziało na ławeczce dwóch mężczyzn częstujących się wódką z flaszki. Jeden z nich, trochę pijany, okazał się stróżem tego miejsca.

Spytałam, czemu przy Zmarłej nie palą się świece?... ponieważ pochodzą z rodu ludzi, którzy od pokoleń zwykli światłem czcić zmarłych, zanim oddadzą ciało ziemi.

Pijak wzruszył ramionami: — Jakbym chciał każdemu tu trupowi wypalać te świece, to musiałbym z własnej kieszeni wyłożyć forsz.

Otworzyłam torebkę z pieniędzmi. Zapalił, mrużąc.

Umarłego nie cieszy ani światło, ani pocałunek żyjącego człowieka. Ale jak już powiedziałam, jestem ze starego rodu ludzi szanujących śmierć. Płomyki świec otoczyły trumnę miłym łagodnym blaskiem — znikła przerażająca nagość i pustka ponurego miejsca. W płomykach tańczyły niezliczone serca małych dziewczyn.

Uśmiechnęłam się. Jeśli człowiek pragnie się pocieszyć, pocieszy się.

Już zrobiłam kilka kroków po ogrodowej ścieżce ku bramie, gdy spostrzegłam, że zostawiłam rękawiczki. Zawróciłam. Obaj mężczyźni siedzieli w tej samej pozycji pod tym samym drzewem i oddawali się temu samemu zajęciu: popijali z butelki.

Świece przy trumnie zdążyli zgasić. Na pogrzeb przyszło bardzo wiele osób. Jest we zwyczaju chodzić na pogrzeby.

Zmarła była znana, lubiana, ceniona. Tak. To jest prawda. Pogrzeb był odpowiedni temu.

Ewa Szelburg-Zarembina

TADEUSZ BOCHEŃSKI

Eschatologia

Nie Charon nas powiezie w pamięć narodu. Nie ma przele Charona ni styksowego brodu.

Jest tylko — po śmierć — życie. I próba wagi. Na wadze: głód potomnych i nasz uzątek nagi.

Heleńko się posila, odżyjem, wzdłużęjemy o chwilę ich korzyści, by nawet niemiej.

P. S. (Red.). Z prawdziwym wzruszeniem przeczytałem te wspomnienia. Jak żywa stanęła przed moimi oczyma postać Panny Romany Z. (ujawniła tu początkową literę Jej nazwiska), która była moją pierwszą prywatną nauczycielką w Chelmie, gdzie przebywała, zanim objęła stanowisko w szkole, do której Ewa Szelburg-Zarembina uczęszczała w Lublinie. Dziewięcioletni chłopiec, jedyny przedstawiciel pici brzydkiej wśród Jej przeważnie starszych od niego uczennic, potrafił odebrać dojrzałej Jej serca, dzięki której lekcje z nią były dla niego radosnym przeżyciem. O osamotnieniu Panny Romany przy końcu Jej życia i smutnej Jej śmierci dowiedziałem się dopiero z tych wspomnień. K.A.J.

KIEDY w 1913 roku wróciłem po wakacjach na Studencką z niezapomnianego Brańszczyka, gdzie Bug nauczył mnie tak cennej dla wysportowanego młodzieńca sztuki pływania, coraz szerzej otwierałem oczy. Ważny był dla nas ten ostatni rok przed pierwszą „katastrofą światła”.

Kraków tętnił, pulsował, czuło się w powietrzu poddmuchy i zapowiedzi niezwykłych wydarzeń. Coś ma się spełnić, więc radość rozsada. Trudno sobie zdefiniować tego rodzaju uczucia, gdy ma się dopiero piętnasty rok życia, a wszystko wokół dyszy wigorem, rozwija się przed oczami niby tajemniczy wachlarz o kalibrze co najmniej „Panoramy Raclawickiej”.

I czego w nim nie ma?! Jest więc ów Kraków 1913—1914 roku, a na jego tle i w ścisłym splocie z nim — nasza czwarta klasa szkoły realnej. A w tej klasie — ja, syn Izy Kozłowskiej, której rolę, w zupełnie fantastycznym jeszcze dla mnie wtedy kalejdoskopie sztuk, wiodowały mi w głowie. Pod przymkniętymi powiekami widziałem te wszystkie postacie kobiece, w najprzedziwniejszych strojach: treny, koronki, krynoliny, peruki, pióra strusie, futra, tiule, gazy, musliny. Utrwalone na fotografiach ze sztuk, zawieszaliśmy na ścianach naszego pokoju, a zwłaszcza nad łózkami.

Cały ten wir-war ówczesny, działający na mnie jak pirotechniczne czardziejstwo, był właśnie tym skokiem startowym (który wspominałem na wstępie), jakby wystrzałem z katapulty w świadomość i rzeczywistość, w życie i świat.

Jesienią 1913 roku zacząłem pochłaniać „Popioły”. Połknąłem je za pierwszym razem, nie opuszczając ani jednej literki. To dziwne, że nie rozszadziły mnie... Lecz niewiele brakowało, jak sobie przypominam.

Żeby poznać, co to jest strzał oddany własną ręką, jego walory akustyczne, wstrząs, dynamikę, tak wspaniale opisane przez Zeromskiego w scenach bitwy pod Raszynem, zwłaszcza w boju Sokolnickiego o wieś Falenty, kupiłem kolosalnych rozmiarów rewolwer bębnowy. Z dwoma wtajemniczonymi kolegami maszerowaliśmy na Krzemionki. Tam, celując w biały kłęb gazety na zielonej murawie, naciskało się spust, zwany jeszcze wówczas z niemiecka — cynglem. I oto rozlegał się upragniony grzmot, zaiste potworny, ogłuszający. Szarpało potężnie ręką, a w nosie kręciła ostra woń, przy najmniej tak się nam zdawało.

Przecież w Falentach zapach prochu drapał żołnierskie gardła.

Po pierwszej ekskursji i detonacjach krzemionkowskich czułem się tak, jakby sam Stefan Zeromski pasował mnie na jednego z bohaterów podkomendnych generała Sokolnickiego.

Niedługo potem zjawił się w naszej klasie nowy uczeń. Dla mnie osobiście był to frapujący zbieg okoliczności. Zylem bowiem ciągle jeszcze atmosferą „Popiołów”.

Do dzisiaj mam w oczach tę scenę. Lekcje skończone. Wśród gwarnego tłumy granatowych mundurków, po szerokich kamiennych schodach obszernej klatki schodowej zbiega w dół sześciu czwartoklasistów: Janek Axentowicz, Kacper Pochwalski, „Staszek”

Pochwalski, Karol Daun, Adaś Zeromski i — ja, zaczadzony jeszcze potężnie fascynującymi perypetiami napoleońdów — Rafała i Cedry.

A tym nowym uczniem jest — syn autora „Popiołów”.

Chociaż od tego dnia upłynęło już czterdzieści trzy lata, pozostanie mi on na zawsze w pamięci. Właśnie przed chwilą pożegnaliśmy z ulgą profesora języka niemieckiego — dr. Józefa Flacha. Ten znany na terenie ówczesnego Krakowa publicysta i krytyk teatralny, ujrzawszy w klasie po raz pierwszy młodego Zeromskiego, prawie połowę lekcji poświęcił na rozmowę z nim. Adaś przyjechał wprost ze Szwajcarii, gdzie przebywał zapewne w związku z dolegliwościami płucnymi.

Flach, szorstki zwykle i dokuczliwy dla swych uczniów, tym razem siłą się na pewną uprzejmość. Lecz nie bardzo mu to wychodziło. Mając po lat piętnaście nie rościł sobie pretensji do

podpułkownika artylerii, pełnił zdaje się jakieś wspaniałe reprezentacyjne funkcje w gabinecie wojskowego Prezydenta Rzeczypospolitej.

Podziwiałem go na lekcjach rysunków. W krakowskich szkołach realnych stały one na dość wysokim poziomie. Prowadził je u nas profesor Ludwik Misky, uczeń sławnego Jana Stanisławskiego. Ten znakomity pejzażysta stworzył, jak wiadomo — w Krakowie własną szkołę z sześćdziesięciu adeptów w swej klasie pejzażu Akademii Sztuk Pięknych, gdzie wykładał.

Nasz profesor, pachnący pierwszorzędną wodą kolońską, był chyba najwytworniejszym nauczycielem gimnazjalnym w Krakowie. Sam doskonale malował, późniejszy przyjaciel Emila Zagadłowicza, letnią porą z nieodczynnym kwiatem w butonierce zawsze eleganckiego garnituru muskając końcami wymanicurowanych zawsze palców króciutko przystrzyżony wąsik, bardzo

stwień bzdów i jaśminów. O Karolu, jego synu, wiem tylko, że do wybuchu pierwszej wojny światowej uczęszczał z nami do szkoły na Studenckiej.

ZAWIÓDŁ natomiast wszystkich i wszystko — Adaś Zeromski, który w 1918 roku wymknął się podobno któregoś dnia z domu i w nieznanym mi już okolicznościach urządził sobie forsowną przejażdżkę konną, po której dostał gwałtownego krwotoku płucnego, co go zabiło. Zmarł 31 lipca tegoż roku w Nałęczowie. Tymczasem miał jeszcze przed sobą cztery lata życia. Właśnie przed chwilą pożegnaliśmy tamtą czwórkę i teraz dopiero, a dała od tumultu szkolnego, wędrując z nim cichą ulicą, wzdłuż dawnych wałów kolejowych, mogłem przyjrzeć mu się spokojnie i pogadać do rzeczy.

Podobał mi się ten ciemnowłosy Adam, o cerze białej, delikatnej, leciutko zaorlonym, kształtnym nosie. Bardzo piękną musiała być jego matka, gdyż nie miał w rysach nic ze szpetoty ojca. Całą więc urodę odziedziczył po niej.

Nareszcie nadarzyła się okazja, aby zwierzyć mi się z tego, co od rana leżało mi na sercu, gdy dowiedziałem się, że mamy w klasie nowego koleżę, syna Stefana Zeromskiego.

Szliśmy chwilę w milczeniu. Adam nie był skory do słów. Lecz mnie korciło tak, że wyrzuciłem z siebie wreszcie owo niezwykle aktualne, jak sądziłem wtedy, zwierzenie: — Wiesz, przeczytałem właśnie „Popioły”...

— A ja, nie czytałem — rzeki spokojnie, lecz z lekkim naciskiem, patrząc przed siebie z jakimś chłodem i jakby sztuczną trochę obojętnością.

Po kilkunastu krokach przystanął mi obaj.

— Nie czytałem... powtórzył. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu: ciemnowłosy, błąd chłopak spoglądał na rumianego blondyna ze złoto-blond grzywą.

Pamiętam, że uderzyło mnie wtedy jego zachowanie. Ten spokój krył w sobie dużo treści, wówczas dla mnie zagadkowy.

Bo przecież był to fakt zaskakujący, że nie przeczytał jeszcze „Popiołów” i mówił o tym jakby trochę niechętnie. Dzisiaj, gdy wiemy, że wkrótce po tragicznej śmierci swego jedynaka Zeromscy rozeszli się, ówczesne jego zachowanie daje wiele do myślenia.

Można przypuszczać, że w utraconej harmonii małżeńskiej tych dwojga ludzi to ich urodziwe dziecko stanowiło jedyny łącznik między nimi. Z drugiej strony niechętnie odezwanie się Adasia o najgłośniejszym utworze ojca wskazywałoby, iż przemawia przez niego sugeta matki.

Czyżby ci rodzice wygrywali przeciwko sobie stany uczuciowe swego syna? Pora do takich posunąć była odpowiednia, gdyż piętnasty rok życia u inteligentnego chłopca, to właśnie okres bardzo wzmożonej chłonności.

Lecz wiemy również, że pierwsza pani Zeromska oddała duże usługi autorowi „Popiołów”, kompletując cały materiał historyczny, potrzebny mu do napisania powieści.

Było to już po „Dziejach grzechu”. Nie obeszło się również i w „Popiołach”, utworze historycznym, bez tejj dawki drażliwego erotyzmu. Owa obsesyjność erotyczna w utworach Zeromskiego można traktować jako pewną wskazówkę w analizowaniu ówczesnej

(Dokończenie na str. 14)

W ZACZAROWANYM KRĘGU*

JERZY MIECZYŚLAW RYTARD

wytrawnej wiedzy psychologicznej. Rzuciło się nam jednak w oczy, że rozmawiając po raz pierwszy z synem Stefana Zeromskiego, chłopcem delikatnym i wrażliwym, przyzwyczajonym do kulturalnej atmosfery, panującej w w szkołach szwajcarskich jak zdążyliśmy się już zorientować, gawędząc z nowym kolegą od rana i biorąc go na spytki — powinien był naszym zdaniem opryskliwy Flach opanować całkowicie swoje niezbyt przyjemne maniery. Tym bardziej, że ten inteligentny chłopiec, w elegancko skrojonym mundurku, udzielał mu odpowiedzi tonem uprzejmym, z godnością. Nie zdetonowała go zupełnie skrzekliwość Flacha i niezbyt pociągająca mimika jego fizjonomii, słusznie zwanej „trupią główką”. Przecież dzisiaj zjawił się po raz pierwszy w tej szkole, nie było więc najmniejszego powodu do nałogowych tonów flachowskich. Jedynym właściwie przewinieniem obciążającym równomiernie całą klasę była solidarna niechęć do „trupiej główki”.

Wymieniona tu przed chwilą szóstka uczniów stanowiła bezsprzecznie przodującą grupę. Należy zaliczyć jeszcze do niej Stasia Wisłockiego. Ten syn obywateli ziemskich z kielecczyny, niezwykle zdolny i przodujący w nauce, był jednym z najinteligentniejszych moich kolegów, z którymi się przyjaźniłem. Po wojnie, jako inżynier-mechanik, z dyplomem ukończonego Wydziału Budowy Maszyn, zajmował odpowiedzialne stanowiska w ciężkim przemyśle śląskim.

Lecz wróćmy do naszej szóstki, która z ulgą straciła właśnie przed chwilą z oczu kościotrupią sylwetkę Flacha, znikającą w drzwiach kancelarii.

Janek Axentowicz, syn sławnego już wówczas pastelisty Młodej Polski, grał wśród nas klasyczną rolę złotego młodzieńca. Zawsze pewny siebie, grający, pełen nonszalancji, śniady brunet o krzaczastych kruczych brwiach, bardzo przystojny, nie zmarł w swych walorów fizycznych. W okresie międzywojennym, jako zabójczo szykowny sztabowiec, w randze

grzecznie i pobłażliwie traktował palcówki plastyczne swych wychowanków.

Zauważę, że nie miałem okazji obejrzeć jego obrazów, które jakoby ozdabiały ściany zagadłowiczowskiej siedziby w Gorzeniu Górnym. Należy przypuszczać, że były równie dystygowane jak ich twórca.

Elegancki profesor, późniejszy kurator Ministerstwa Oświaty w okresie dwudziestolecia, lubił naszą klasę, uważał bowiem, że ma w niej pięciu naprawdę zdolnych uczniów. I co dziwniejsze, że do tej piątki „naprawdę zdolnych” zaliczał również i mnie: dwóch Pochwalskich, Axentowicza, Dauna, syna znanego rzeźbiarza i... przysłego autora tych oto wspomnień.

Właściwie powinienem się rumienić, pisząc te słowa. Zawiodłem przecież nadzieje sympatycznego profesora-malarza, zamieniwszy węgiel, ołów i akwarelę, na... pióro. Któż jednak może przewidzieć niespodzianki ewolucyjne tak zwanych po witkacowsku „napieć kierunkowych”. Dziwnie skore są one do platania zaskakujących figlów. Zawiódł go również pod tym względem Janek Axentowicz, który ze swobodą rutynowanego malarza rozwijał wszystkie zadania rysunkowe.

Nie sprawili jednak zawodu obaj Pochwalscy, synowie głośnego w owych czasach portrecisty Habsburgów — Kazimierza Pochwalskiego, wielkiego przyjaciela Sienkiewicza. Wykierowali się później na znanych w Krakowie malarzy z prawdziwego zdarzenia i świetnych konserwatorów dzieł sztuki, zwłaszcza obrazów.

Karol Daun, jak wspominałem, był synem rzeźbiarza krakowskiego Dauna.

Liczne pamiętki o tematyce alegorycznej, legendarne „Wandy”, rusalki, z mitologią słowiańskiej, nimfy o ponętnych kształtach, zdobiące planty i skwery Krakowa, mają na swych cokółkach wyrzeźbione to nazwisko. Na przełomie XIX i XX wieku pełnił on funkcje głównego ozdobiacza różnych parkowych zakątków, tonących w gę-

* Fragment wspomnień, które ukazały się w r. 1959 nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.

STANISŁAW PIĘTAK

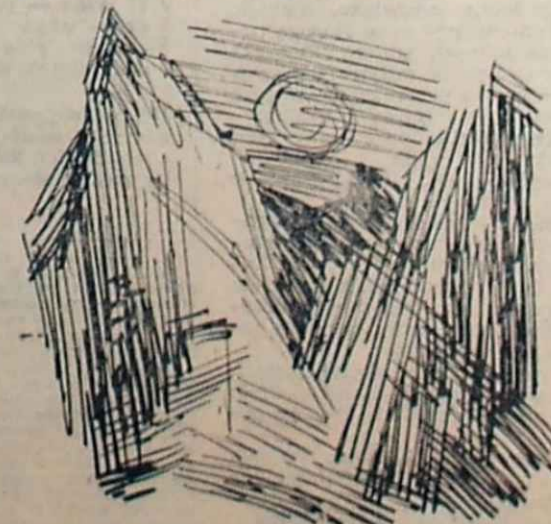
Nad Kaukazem

Samolot wzbił się skokiem nad ostatnie góry i naraz jakby ugrzązł w słońcu, jakby nie czuł wiatrów, na chmurze usiadł jak ptak złotopióry. Lecz od tej niespodzianej chwili jakież zmiany. Góry, kry i drzewa, to błękitne przepaści. Obłok złoty śpi, lecz gna czarny i gna szklany i błędzi becząc Jagniatko czerwonej maści.

Przeorały koła pędzące kry jak plugi — i wiedy dopiero spostrzegłem błyskawicę zastępną w mgie — i masyw chmur czarny i długi — i jodła uniesiona przez gromy iglic... Samolot runął aż w lej błękitnej przestrzeni, ale ciągle jeszcze nie widać było ziemi. Pętały mgły jak stali elekacje strumienie ogarnięte raz parą, raz ogniem płomieni. Ile radości niesła już następna chwila. Pod niebem czystym co raz jawiły się wzgórza, domki muskające czas jak skrzydło motyla, morze łagodne, przejryste u wsi podnóża.

Zieleń po schodach światła pięła się ku niebu, lecz nagle cofały, rozpadaly się góry, i splamione próchnicą i zerwaną glebą pędziły rzeki w morze, splątane jak sznury.

Dotknąłem nieznaną ziemi zdobywczą stopą, by upaść na twarz przed wciąż żywą Europą.



GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Don Kichot

Kopyt tętentem Szlak niekończący się drży. Twarz kryje półmrok albo przytłocza. Lecz postać? Poznaję cię, Ty.

Serce wykute z żaru! A we mnie gotuje się płacz parzący krtań. Czyż to jest bohaterstwo? Iśó zardzewiałym śladem z La Manecy? Don Kichocie, zatrzymaj się, stań!

Drży kopia schylona napięta jak nerw. Otwarty się rany. Nie świta. Sny, duszne sny. W pętlach wichrów drętwiejąc okolica rzezi. Widzisz. A ty?

Walka, walka! Szalony, dokąd pędzisz w galopie? To wiatraków śnów i urojeń.

Postać rozwiewa się. Noc trątuje mnie niepokojem.

MOJE DZIWNE SPOTKANIE*

JOANNA ŻWIRSKA

Idąc okupacyjnymi ulicami Warszawy, przystanął przy zwałonym murze, obok którego stary człowiek rozłożył na płachcie stare książki i stare pisma. Uratował je zapewne z pożaru lub wyciągnął z własnej biblioteki, by je teraz zamienić na chleb. Pytając o cenę „Zwierciadła morza” Conrada, uświadomiłam sobie, że zadna cena nie będzie za wysoka, bowiem ta książka wydatka jakimś cudem z popiołów — przedstawia dla mnie wartość niezwykłą. Zdziwiłem się: stary człowiek powiedział, że ile dam, tyle weźmie. Mówił to cichym głosem, jakby wstydził się, że musi brać pieniądze za te leżące przed nim książki.

Poszperałam jeszcze wśród ruïn kultury i natrafiłam na wyblakłe niebieskie okładki miesięcznika literackiego. Tytuł był mi znajomy, lecz dokładnie nie mogłam sobie przypomnieć, skąd go znam i czy kiedykolwiek miałam takie pismo w ręku. Zbyt odległe było wszystko to, co zdarzyło się przed wojną, zbyt już nieprawdziwe było i pismo sprzed wojny. Tymczasem stary człowiek podsunął mi jeszcze dwa numery — jak mówił — jedyne i ostatnie, i żebym koniecznie wzięła, bo to unikat.

Zapłaciłam za „Zwierciadło morza” i trzy unikaty, poniosłam to wszystko dalej okupacyjną ulicą. Spieszyłam się na wykład. Musiałam uważać, by nie wpaść w łapankę, gdyż wieczorem — jako kurierka — wybierałam się w daleką podróż. Jakoś udało mi się uskoczyć w ostatniej chwili do bramy, przeczekać wrzaski żandarmerii i warkot samochodów-bud, po czym poszłam na ul. Królewską 27, gdzie już zebrali się koledzy. Profesora jeszcze nie było. Któryś z moich przyjaciół wyciągnął mi z rąk niedawno kupione „unikaty” i wrzasnął na cały głos:

— Dziewczyno, gdzieś to zdobyła?!

Powiedziałam, że pod zwałonym murem, od starego człowieka. Teraz zdałam sobie sprawę, że moja „zdobycz” była rzeczywiście niezwykle cenna. Kolega zaczął szybko przerzucać kartki jednego „unikatu”. Po dłużym formacie przypominał raczej książkę — broszurę, składał się z 10 kartek, plus wkładka linorytowa Zenona Waśniewskiego „Motyw z Chełma”.

— Marek, nie mamrocz tak pod nosem, lepiej przeczytaj głośno coś tam znalazł — odezwała się jedna z koleżanek. Więc Marek przeczytał to, na co akurat w tej chwili natrafił oczyma:

„Rzędy topól,
które drogę do Oświęcimia objęły w ramiona
spalyły jesienne złoto.
Po pól przegonach
wzrok błędził dziko i nieswojo.
Trzeba było to wreszcie pojąć,

co szło jak lawina i zgroza,
co czała się w dali skrycie i zdradziecko:
śmierć i pożar.

Rosły zmierzchy zapachów i przeczucie,
Kołysał się każdy wieczór
długi, szeroko
wojną i mrokiem...

Przyznając, że zdumiały nas bardzo te słowa. W naszej „auli uniwersyteckiej” — małym klasnym pokoiku — zapadło milczenie. Wreszcie Marek wyjaśnił, że cały wiersz noszący tytuł „Rok 1914” jest fragmentem z poematu „Zwykła droga” Antoniego Madeja, napisany prawdopodobnie wcześniej a wydrukowany w 1935 roku. Jakże odległa wydała nam się ta data! A jakże bliskie słowa. Zdawało się, że poeta napisał je dzisiaj — właśnie w roku 1941, gdy nazwa „Oświęcim” była tak dobrze wszystkim znana.

Profesor spóźnił się, patrzyliśmy niecierpliwie na zegarki. Marek nie pozwolił nam jednak na tę niecierpliwą — kazał słuchać: czytał teraz po kolei przekłady z poezji rosyjskiej, białoruskiej, serbołużycyjskiej, czytał wiersz „O tamtej wiosnie” K. A. Jaworskiego, „Sosnom z północy” Włodzimierza Pietrzaka i natrafił na wiersz Henryka Do-

mińskiego — „Miłość”. Wiedziałam już, że autor tego wiersza został rozstrzelany w Palmirach wraz z moimi kolegami i przyjaciółką Ireną Salingerówną. A oto był z nami, został tu w swoich słowach:

„stacje bezradne wśród szyn czeplają się
swoiatel ram
za nimi jest twoja miłość szept ust u dalekiej
metry
nie dojdiesz wśród pustych pól zostaniesz ślepy
i sam
Nie wiem jak długo zle losy będziesz za sobą
włócił..

Takie było wówczas moje dziwne spotkanie z „Kamieną” — miesięcznikiem literackim, wydawanym już dawno — przed wojną, w Chełmie Lubelskim.

Nie myślałam wówczas, że dane mi będzie przeżyć wojnę i — nawet drukować w „Kamieniu”. Może to wtedy narodziła się we mnie ta jakaś chęć utrwalania własnych myśli w słowie pisanym? — ta jakaś wielka wiara w piękno słowa pisanego, które ma wartość nieprzemijającą.

*) Z „Pamiętnika”.

**) Były to numery 2, 7, 10, z 1935 roku.

Zenon Waśniewski: Fragment z Górki Katedralnej w Chełmie Lubelskim (linoryt) — „Kamena” nr 21, 1935



OPAWLE HULCE LASKOWSKIM

EDWARD KOZIKOWSKI

Z Pawłem Hulka-Laskowskim, zanim go poznałem osobiście, utrzymywałem od szeregu lat ożywioną korespondencję. Listy jego, pisane do mnie, które szczęśliwym zbiegiem okoliczności ocalały od zagłady, stanowią interesujące dokumenty z okresu przedwojennego i z kilkunastu pierwszych miesięcy po wojnie, nie tylko ze względu na osobę pisarza, ale i ze względu na tematykę, którą porusza. Był to typ pisarza, któremu samo życie dostarczało materiału do rozważań i którego zainteresowania były tak nierozdzielnie związane z życiem, jak u niewielu pisarzy. Hulka-Laskowski był też przede wszystkim publicystą i to publicystą wysokiej rangi, umiejącym spośród zagadnień, które podsuwała mu chwila bieżąca, brać na warsztat pisarski zagadnienia najbardziej istotne i palące i rozważać ich poświęcając czas i talent. Czytało się to wypowiedzi z nie słabnącą zawsze uwagą, wiedząc niejako z góry, że jeśli Hulka-Laskowski głos zabiera, to sprawa na pewno nie jest błaża i nie można przejść obok niej obojętnie.

Po raz pierwszy zetknąłem się z Hulka-Laskowskim w lipcu 1934 roku na półwyspie helskim. Mieszkał w samym Helu na kolonii rybackiej, o czym nie wiedziałem w czasie swego kilkudniowego pobytu i dopiero na pół godziny przed odjazdem spotkałem go na stacji w Helu w osobliwych okolicznościach. Oddawszy walizkę pod opiekę bagażowemu, przechadzałem się po peronie, rozglądając się w nadziei, że ujrzę kogoś znajomego. W pewnej

chwili zauważyłem stojącego z boku pana w wieku statecznym, nie spuszcjącego ze mnie wzroku. Głowę miał nakrytą okazałą panamą, nasuniętą na czoło, tak że trudno było rozpoznać się w rysach nieznanego. Podszedłem bliżej i wówczas wydało mi się, że twarz tę już kiedyś oglądałem. Nieznajomy też postąpił parę kroków w moją stronę, a z nim towarzysząca mu pani, i nagle usłyszałem pytanie: — Czy pan Kozikowski? Gdy potwierdziłem skinieniem głowy, wyciągnął do mnie rękę, a z ust spłynęło ledwie dosłyszalne szeptem krótkie zdanie prezentacyjne: — Jestem Hulka-Laskowski! Uściskaliśmy się wzajemnie, wypowiadając przy tej okazji wiele serdeczności, bo chociaż nie znaliśmy się osobiście, to jednak stosunek przyjacielski, jaki zadziergał się między nami dzięki wieloletniej wymianie listów, był tak silny, że przesłonił z miejsca etykietę konwensansu. Okazało się, że Hulka-Laskowski zauważył mnie, jak wchodziłem z bagażowym na peron. Ponieważ znał mnie trochę z fotografii, zainteresował się moją osobą, a później zbliżył się do bagażowego i przy walizce odczytał nazwisko moje umieszczone na bilecie wizytowym. W dwa-nastu lat potem napisze do mnie: „Ścisłkam Cię serdecznie, wspominam w tej chwili Twoją walizkę na Helu, która nas z sobą zapoznała. Boże, jakie to były czasy! Jacy ludzie! Jakie dobre serdeczne koleżeństwo! Kiedy się to zrepatriuje?” Owa towarzysząca pani była żoną pisarza. Ona pomagała nam porozumiewać się ze sobą, bo — jak się okazało — Hulka-Laskowski miał przytępiony słuch i trzeba było pisać palcem na jego dłońi wszystko o czym chciał się powiedzieć. Chwytał w lot, ale bywało, że do rozmowy musiała włączyć się żona, bo słowa rwały się, a z tych strzępów trudno było pisarzkowi wyłowić myśl, która się przemysłkała. Wtedy to uświadomiłem sobie, że nie dochodzi do jego świadomości wszystko to, co rodzi się w pogwarkach osobistych i że element intymności, przejawiający się w zwierzaniach bezpośrednich, jest dla niego nieosiągalny. Stąd to w listach jego tyle urzekającego ciepła i tkliwości, która do niego za pośrednictwem słuchu od ludzi mu

bliskich nie docierała, a za którą na pewno tęsknił nieodparcie. Przeglądając listy Hulki-Laskowskiego, jestem pełen podziwu dla niego. Była to natura wrażliwa i czuła jak mimosa, ograniczona w możliwościach odbioru bezpośredniego przejawów serdeczności, jaką niewątpliwie darzyli go ludzie bliscy. Oczywiście, można ją wypowiedzieć i na piśmie, ale w tej formie nie jest ona tak pełna, jak przy odbiorze drogą słuchową. Zresztą sama świadomość, że coś w aparacie odbiorczym nie domaga, wpływa onieśmielająco i hamująco na psychikę, a uświadomienie sobie ubóstwa w zakresie czynności funkcjonalnych aparatu zmysłów nie przyczynia się na pewno do utrzymania równowagi wewnętrznej.

Od owego pamiętnego spotkania na stacji w Helu nie widziałem Hulki-Laskowskiego jak obczył dziesięć lat. Korespondencja mniej lub więcej ożywiona wypełnia ten okres. Wymienialiśmy między sobą książki nasze, które w tym czasie wychodziły spod prasy,

i dzieliłmi się wrażeniami i uwagami na ich temat. Nawijając do otrzymanej książki mojej, pisze Hulka-Laskowski, że „obiektywnej miary dla oceny poezji nie ma. Czytamy w nich samych siebie, swoje własne radości i smutki, nadzieje i rozpacz, nie mówiąc o chwilowych nastrojach. Toteż i w Pańskich miłych wierszach te odczuwam najgłębiej, które najwyraźniej mówią mi o mnie samym. Smutne to, że nie możemy wyjść z siebie. W literaturze polskiej jest jeszcze coś, czego nie spotyka się gdzie indziej. Literaci polscy to (pomimo bojów i klótni rodzinnych) zakon ludzi chcących piękna i dobra, zakon dobrowolnej biedy i daremnej często miłości. I to nas tak serdecznie, mocno łączy z sobą, chociaż często stoimy w przeciwnych obozach. Ten zakon łączy nas z sobą ściślej, niż sobie z tego zdajemy sprawę. I tak dobrze myśleć, że mamy tylu miłych braci, miłszych i bliższych, niż bracia krwi!”

(Dokończenie na str. 15)

Klasowe oblicze Losu Józefa Conrada

(Dokończenie ze str. 7)

czy sterowiec Noblego rozbił się i splonął nad niezmiernym obszarem ruchomej kry Północy zgodnie z życzeniem inicjatorów i organizatorów lotu; czy lotnicy amerykańscy gubią umyślnie bomby atomowe, przelatując nad kwitnącymi stanami własnego kraju?

W tej świętej, entuzjastycznej niby, lecz dość naiwnej wierze Sinclaira w pełnię władzy człowieka nad przyrodą jest nie mniej prymitywizm myślowy, niż w wyszydzonej przez niego chłopięcym romantyzmie „Podstępny Losu” Conrada.

Ze w analizie rzekomej złośliwości Losu trzeba by przede wszystkim patrzeć na ręce kapitanów Marynarki Handlowej, ma Sinclair najoczywistszą słuszność, nie należałoby się jednak zakłamywać tą formą zracjonalizowa-

nia rzeczywistości jako jedyną, wystarczającą i bezapelacyjną, jak to czyni wielu uświadomionych na wyrost społeczników, starających się wyjaśnić nawet zmiany atmosferyczne kanonem walki klas.

Cieszyć się należy, że wśród niezliczonych głosów adoracji o Conradzie, znalazł się również głos trzeźwej refleksji, próbującej ustalić związek i zależności, pominięte przez innych. Lecz wyrządziłoby się Conradowi niewątpliwie krzywdę, gdyby spojrzeć na jego dorobek, tak jak to czyni Sinclair, tylko z tego punktu widzenia. Dlatego podkreślając z uznaniem wypowiedź Sinclaira, uważamy za konieczne przeciwstawić się krańcowym jego wnioskom, które, wychodząc poza analizę zjawiska literackiego, stają się grą jego fantastycznych przeświadczeń i agorzkim zadumy.

Jan Nepomucen Miller

JUŻ dzień! — wymamrotał Kulesza, nie odrywając zaspianych oczu od brudnych szyb, powleczonej bielejącym ołowiem światła. Przez chwilę wsłuchiwał się w odgłosy kłótni za ścianą, w stukot przyspieszonych kroków i trzask otwieranych drzwi, prowadzących z korytarza na schody. Ale zmęczony tym wszystkim, zaczął marzyć o leżącej przed nim karierze, której symbolem był ostatnio otrzymany list, zawierający zapowiedź wydania jego pierwszego dzieła. Teraz już nie miał najmniejszej wątpliwości, że „Młodość” zdobędzie sobie na rynku duże powodzenie. Stanie się bestsellerem. Naturalnie w niedługim czasie książka osiągnie fantastyczny nakład, a prasa zacznie prześcigać się w pochwałach, akcentując „niebывалą dojrzałość artystyczną powieści, napisanej z rzetelnym talentem”.

Na biurku leżą recenzje, zdjęcia i listy „wdzięcznych czytelników”. Sława jego zatacza coraz szersze kręgi, jest już uznanym i modnym pisarzem. Zarząd Miejski proponuje mu samorzutnie wspaniałe mieszkanie, składające się z dwu pokoi i kuchni, bo „taki brylant, panie dziejku, nie może się zmarnować!”, mówi przewodniczący Rady Narodowej. „Jest władza ludowa, czy nie?”. W „Kulturze” pojawia się pewnego dnia wywiad, opatrzonej fotografią znakomitego autora, a na górze grubymi czcionkami wydrukowano: „Rozmowa ze Stanisławem Kuleszą”. W tygodnikach literackich wciąż spotyka się z własnym nazwiskiem. Kulesza, Kulesza i jeszcze raz Kulesza. A co robi, co pisze, co zamierza? Jakiś reporter zapytał go zniecierpliwionym głosem, czy uprawia boks, inny, czy chodzi na koncerty? Jeden dziennikarz przyciska go do muru, chcąc dowiedzieć się, jakie lubi potrawy? A Spółdzielnia Wydawnicza „Akropolis” żąda nowych rękopisów. Wtedy sięga do szuflady i upłynnia rewanż. Wywala na stół cały swój dorobek. Niech biorą, niech drukują, niech nasycą się jego bogactwem talentem.

W sieni znów wybuchła wrzawa. Jakiś męski głos pieniał się i ciskał wyzwiska. Kulesza poderwał się z nagrzanego posłania, wyrwał przez zapotniałą szybę, a stwierdziwszy, że dachy sąsiednich kamienic są zupełnie srebrne od szronu, ucieszył się tym tak, jak najprzyjemniejszą wiadomością. W nocy był więc pierwszy mróz. Nie drażniło go nawet to, że kłótnia stawała się coraz bardziej zawzięta i że baby miotały się w podrygach rosnącej wściekłości.

Pogwizdując umył się w zimnej jak lód wodzie, a następnie starannie przeprzył swoją mocno nadwątloną garderobę. Wyglądził fałdy marynarki, wyprasował spodnie i dopiero wtedy zabrał się do mizernego śniadania, złożonego z gorącej, dobrze ocukrzanej herbaty i suchego chleba. Jadł powoli, w zamyśleniu. A zaspokoiwszy już pierwszy głód, rozsiadł się mocniej, szerzej w skrzypiącym krześle i nagle uśmiechnął się do siebie. „Tak, tak”, powiedział z dumą „wkrótce wyprowadzimy się, panie Kulesza, z tej przekłdej dziury, wygodnej dla kurew i oprychów. Bo już czeka na nas mieszkanie, pokoje przeznaczone przez pana przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej dla „autora „Młodości”. Zaczyna się dla nas nowa era, era dobrobytu i sławy. Naturalnie od razu pomyśleliśmy też o Krzysztofie. Uratujemy jego talent, zapewniając mu znośną egzystencję. Nigdy nie pozwolę, żeby ten święty artysta malował na komendę biurokratyzowanych półgłówek gęby odętych dygnitarzy i ich zbliżowanych utrzymanek. Niech lepiej chłapie swoje fantastyczne pejzaże, martwe natury, a przede wszystkim owe monumentalne dekoracje, o których marzył, tułając się w latach wojny na obczyźnie”.

W samo południe wyruszył na miasto i skierował się w stronę śródmieścia. Po drodze wyminął stary, renesansowy ratusz, zakończony koronkową attyką, przeciął zaniedbany bulwar Kościuszki i idąc opustoszałym parkiem, ozdobionym oślepłą sadzawką, po której niegdyś pływał samotny łabędź, stanął przed dużą, niedawno wzniesioną kamienicą, zajmowaną przez Spółdzielnię Wydawniczą „Akropolis”. Teraz wyjął z kieszeni grzebień, raz i drugi zaczął swoje rude jak płomień włosy i odsapnąwszy pełną pierś, powoli wdrapał się na piętro, odszukał pokój Nr 7 i nagle stracił zwykłą pewność siebie. Zrobiło mu się dziwnie nieswojo. Przez chwilę spoglądał na końce wytłanych butów i myślał, że od decyzji, jaka miała tu zapaść, było w dużym stopniu uzależnione jego dalsze życie. Od dawna borykał się z biedą, chodził w powycieranym garniturze, okropnie

jadł i nie wiadomo po co podtrzymywał tę nędzną egzystencję. Budząc się co rano, wyczekiwał mających nastąpić wydarzeń, jakiegoś cudu. A to wszystko miało właśnie dokonać się za tymi drzwiami, pod 7. Wierzył w cudowną moc siódmki. I teraz na pewno przyniesie mu szczęście. Jak kiedyś przy maturze. A potem w partyzantce, gdy siódmego lutego oddział „Rudego” przerwał pierścien i wyostał się z okrajania. Już zupełnie spokojny, zapukał.

W małym, kremowym pokoju siedział tylko jeden człowiek. Na widok wchodzącego, podniósł się zza biurka, a wtenczas Kulesza spostrzegł, że był młody i sympatyczny. Miał krótko ostrzyżone włosy i nad lewym okiem różową bliznę. Usłyszawszy nazwisko przybysza, ożywił się. Zamknął teczkę i wyciągnął papierosa.

— Chcemy wydać pańską książkę — zaczął, zajmując miejsce za biurkiem. — Naturalnie. Tym bardziej, że „Młodość” uzyskała pozytywną ocenę naszych recenzentów i zdradza rzetelny talent. Jest w niej coś z pamiętnika i coś z powieści. Fikcja miesza się tam z autentycznymi przeżyciami autora, stwarzając w sumie uroczą całość. Ja na przykład, czytając ten utwór, odniosłem wrażenie, że mam przed sobą pamiętnik. Tyle na tych kartach szcze-

rzyły i przytulił do siebie. „Jakiś ty biedny, mój mały! — szepnął”. Postać księdza prefekta jest przedstawiona niezgodnie z prawdą. Trzeba to jakoś zmienić.

— Dlaczego? — obruszył się Kulesza.

— Bo po prostu ksiądz to pasożyt. Nie słyszałem, żeby klecha naprawdę „tulił” do piersi syna socjalisty i jeszcze mu współczuł. Ja narysowałbym prawdziwego księdza. Bezlitosnego dla ubogiego dziecka socjalisty. Drania i sadystę. Taki był mój prefekt.

Kuleszy wyszło w gardle. Poruszył się niespokojnie, jakby zamierzał odejść. Po jego pogodnej, otwartej twarzy przemknął cień zawstydzienia.

— Albo to miejsce — ciągnął redaktor: — „Zdychałem już z głodu. Chcąc utrzymać się przy życiu, zająłem się stręceniem gości do burdelu”. Czy nie uważa pan, że jest to zbyt trywialne? Jak i cała scena w domu publicznym. Pan orientuje się, że to wcale nie socrealizm, lecz obskurwny naturalizm. Jakie jest pana zdanie w tej kwestii?

— Ja przynajmniej uważam ten rozdział za najciekawszy w powieści. Ale może się mylę? Bo autor nigdy nie potrafi obiektywnie ocenić własnego dzieła. Tak jest i ze mną.

— Nie ma pan racji.

— Nie przeczę.

Pogaduszka*

JÓZEF NIKODEM KŁOSOWSKI

rości, tyle bezpośredniości i zarazem świeżości, że sprawy i dramaty, jakie napotykałyśmy w tej książce, stają się nam w miarę lektury bardzo, a bardzo bliskie. Zupełnie jak własne i to jest pańskie największe zwycięstwo. Weźmy choćby sam rozdział drugi. Wyrzuty do końca. Znakomity. Albo opis lekcji historii. Czy zajście w cyrku. Czy jest to pańska pierwsza książka?

— Tak.

— A teraz dlaczego pytam?

— Nie. Nie wiem.

— Bo uderzyła mnie ogromna dojrzałość tej prozy. Opanowanie samego warsztatu. Książka na pewno „chwyci”. Co do tego nie mam żadnej wątpliwości. A pański debiut zamieni się w tryumf. Tylko musimy jeszcze nad tą powieścią popracować. Usunąć drobniaki, które obniżają jej wartość, wprowadzić pewne zmiany. Będą to subtelne retusze. Proszę się nie obawiać o całość „Młodości”. Jeżeli w ogóle proponujemy panu coś podobnego, to mamy na celu dobro pańskiego dzieła. Pan mnie rozumie?

— Rozumiem.

— A teraz przystąpmy do rzeczy — pochylił się nad leżącym na biurku maszynopisem, zakreślił coś ołówkiem i znów podniósł wzrok na milczącego Kuleszę. — Zaczynam od początku. Pisze pan: „mój ojciec był socjalistą”. Jakim?

— Nie rozumiem...

— Socjalistą, ale jakiego skrzydła? Bo prawica PPS szła razem z burżuazją. Zdradziła proletariata. A pański ojciec? Czy też był zdrajcą, jak tamci?

— Ależ nie! — Kulesza gorąco zaprotestował.

— Więc nie trzymał z prawicą?

— Nie.

— A może był komunistą?

— No, nie!

— Radziłbym panu, by był właśnie komunistą. Dla dobra książki. To będzie brzmiało najlepiej i nie urazi cenzora. Chyba przystanie pan na tę drobnitką poprawkę. Co?

— Naturalnie.

— Opisuje pan dzień 1 maja w gimnazjum: „Chłopcy podnieśli się z ławek i nagle z kilkadziesiątu piersi buchnęła pieśń: „Na barykady, ludu robotczy, czerwony sztandar do góry wzniesi!” I na tym koniec. A czy nie lepiej by było, gdyby pan pokazał tajne zebranie komórki KZM-u, na którym by uchwalono wyżej ukazaną manifestację? Takie jest zresztą zdanie recenzentów pańskiej powieści. Niech pan o tym pomyśli. A teraz na stronicy 37 czytamy: „ksiądz przyjął mnie nadzwyczaj łaskawie. Posadził obok siebie, zapytał o naukę i dom, a kiedy mu powiedziałem, że ojciec został aresztowany, matka poszła do szpitala, nie pozwolił mi skończyć. Objął mnie za

— Dlatego radzę to miejsce gruntownie przerobić. Bo scena w burdelu ma ci klarowną atmosferę tej pięknej książki. No, ale idźmy dalej. Na str. 63 napisał pan: „Szlę oboje przez las. W pewnej chwili przegiął jej głowę i pocałował w rozchylone usta”. No, no! Ile lat miał wtedy pański bohater?

— Siedemnaście.

— I już umiał całować?

— Chyba.

— Czy to nie za wcześnie? Trochę pan przeszarżował. A pan w tym wieku całował? Przepraszam za to pytanie.

— Naturalnie.

— I tak obcesowo? Bo pomyślemy. Chłopiec spotkał dziewczynę w lesie. Przez jakiś czas przedzierali się przez podszycie leszczyny. Potem wzięli się za ręce i nagle: „przegiął jej głowę i pocałował w rozchylone usta”. Czy to nie za prędko?

— To już kwestia temperamentu. Różnie postępują różni. Zależy od człowieka. Mój bohater był właśnie taki, jak w powieści.

— Tak pan sądzi? — zapytał z przekąsem.

— Tak.

— W tym wypadku przyznaję panu rację, ale to jeszcze nie koniec. Proszę, niech pan posłucha, bo to rzecz zasadnicza!

— Słucham.

— Na 71 stronie mówi pan tak: „Matka gościła jak dopalająca się gromnica”. Doskonale, znakomicie. „Ale się nigdy nie skarżyła. Siedząc pod piecem, odmawiała różaniec. Rankiem nuciła goździki”. I to jeszcze ujdzie. A jakże. „Towarzyszylem jej, pośpiewując z cicha”. Daruje pan, ale przecież to typowe religianctwo! No i brak wszelkiej konsekwencji. Bo bohater „Młodości” jest dzieckiem socjalisty, nieraz kłócącym się z Bogiem. Ileż w nim buntu, ile gorzkiego sceptycyzmu! Jeden z naszych recenzentów proponuje, by autor stanowczo usunął ten „kawalek”. I ja zgadzam się z tym zdaniem. A pan?

— Zobacze.

— Co to jest „czeramszyna”?

— Drzewo.

— Pierwszy raz słyszę o takim „drzewie”. Przepuszczam, że to wyrażenie gwarowe?

— Nie, panie redaktorze...

— W każdym bądź razie ja nie mam do niego zaufania. Wolałbym tam widzieć na przykład dąb!

— Dąb przy młynie?

— Cóż w tym dziwnego? Dąb to nie jakaś tam „czeramszyna”. Jedno małe, niewinne słówko, a taki wielki dysonans. Trzeba się nad tym poważnie zastanowić. Co? — badawczo spojrzął na zaszpełonego Kuleszę i jednocześnie pomyślał, że jest taki sam jak wszyscy

uparcie broniący swoich bredni i wy-pocin.

— Tam, nad wodą musi być czeramszyna. Jest to obraz, który widziałem w czasach dzieciństwa. Dąb popsułby całość. Ale czy to tak ważne, istotne, panie redaktorze?

— W książce najmniejsze nawet słowo ma swoją rolę. Niestety, autorzy bywają zaślepieni i nigdy nie chcą posłuchać dobrej rady. W rezultacie tracą. Dostają w skórę z własnej winy. Krytycy wydziewają i nieraz zupełnie niesłusznie odsadzają ich od talentu. A dzieło leży w magazynie. Szybko staje się „cegiłą”. Tak, tak, panie Kulesza! Ale przejdźmy teraz do spraw naprawdę ważniejszych. „Młodość” kończy się bardzo nieciekawie. Pański bohater po miesiącach okrutnego głodu i poniewierki wyrusza w świat, by tam szukać pracy i ratunku. Czy nie lepiej byłoby, gdyby po drodze przyłączył się do demonstracji bezrobotnych i wziął udział w starciu z policją? To dopiero dałoby właściwy efekt. Recenzenci, którzy głęboko analizowali pańską powieść, jednogłośnie doszli do wniosku, że zabieg ten jest po prostu konieczny. Konieczny! — powtórzyl z naciskiem i zajął się wertowaniem wymiętego maszynopisu.

Kulesza posmutniał. Zrozumiał bowiem, że „przyjazna” rozmowa wydawcy z autorem zamienia się powoli w okrutną i bezmyślną inkwizycję. Zaciął zęby, opuścił głowę i już zupełnie zrezygnowany słuchał dalszych „propozycji” redaktora. Z budowy, jaką wniósł z takim samozaparciem i wysiłkiem, wyjmowano na jego oczach cegiełkę po cegiełce i to tak długo, dopóki nie pozostał sam szkielet. Dławiła go gorycz, plekł ból, ale milczał, bo chodziło mu przede wszystkim o zaliczkę, bez której dalej by nie pociągnął. A więc niechaj robią z jego książką co chcą. Zmieniają, poprawiają, sadzą na miejsce czeramszyny dęby i sosny, byle mu jeszcze dzisiaj wypłacili gotówkę. W tej chwili było to bodaj najważniejsze. Z niepokojem chwytal każde słowo rozprawiającego. Wyczuwał w tym, co ten mówił, dobrze ukrytą groźbę. Ten młody, pewny siebie gołowąs trzymał w swoich rękach jego życie. Igrał z nim, jak z zabawką. Od niego zależał los powieści. On był tutaj czynnikiem decydującym.

— Sądzę, że pan jako autor jest tego samego zdania? — odezwał się, odrywając wzrok od maszynopisu. Zapalił papierosa i ukrył się w obłoku dymu. — Wtedy, gdy pan uwzględni tę poprawkę, powieść będzie miała właściwe oblicze. Nie będzie tak anemiczna. Stanie się naprawdę bojąca, mobilizująca. Czy nie prawda?

— Naturalnie.

— To byczo. W ciągu niecałej godziny doszliśmy obaj do całkowitego porozumienia. Teraz już będą tylko same drobniaki. Niech się pan nimi zbytnio nie przejmujecie. Są one mniej ważne dla całości książki. A zresztą dla ułatwienia poprawek podałem panu swoje uwagi na marginesie maszynopisu. Są tam projekty dwu nowych rozdziałów. Tylko sięgnąć i po prostu przepisać. Chciałem panu pomóc. Jeśli się już czegoś podejmie, to muszę sumiennie wywiązać się z przyjętego zadania. Pan mnie rozumie?

— Tak.

— A teraz niech pan powie, czy nie przyjemna była nasza koleżeńska pogaduszka?

— Bardzo.

Kuleszę już zalewała gorycz. W dółku go gniołło. Już prawie nie słyszał, co do niego mówił jego inkwizytor.

(Dokończenie na str. 20)

MARIAN PIECHAL

Budowali

Budowali dom, budowali wzruszenie, rosły mury w słońcu pod murami cienie.

Od cegły do cegły radość rosła, od piętra do piętra nadzieja rosła.

Budowali dzień i noc, wyprowadzili mury pod dach: żelbetonowy stanął gmach!

Czyż to nie radość? — powiedział — sięgnął wreszcie do nieba, stanął wreszcie jak trzeba: biurowiec!

* Fragment powieści pt. „Drewniane światełki”

Trumny

Nawet wierszy pisać już nie umiem,
nawet krzyknąć nie potrafię głośniej.
W niespokojnie zapatrzonych oczach rośnie
wizja prostych i milczących trumien.

Wiem, że śmierć jeszcze bardzo daleko
czeka na mnie łagodna i dobra,
ale już mi serce w śniady mosiądz się obleka
jak szerniały bizantyjski obraz.

Z dnia na dzień liczę chwile nadchodzące
może nawet piękne i szczęśliwe,
o zdarzenia blahe potrafię
jak o strunę napiętej cięciwy.

I doprawdy nie wiem i nie myślę
o tym końcu, który z mgły wyplynie,
tylko widzę trumny, trumny
jak lodzie na wezbranej głębinie.

„Kamena” nr 6, 1934



Zenon Waśniewski — Autoportret
Linoryt — Nr 28/29 „Kamena”, 1936

FRANCISZKA ARNSZTAJNOWA

Bystrzyco młodości rzeko

Księżyc na Wisły nurt pomost rzucił,
głosem jak pieśń rzeki szklanym
srebrnie, kusząco nuci:

„Patrz, to nie Wisła jest, to Bystrzyca,
czas wiąże, by nie uciekał,
łak twoich młodych rzeka”.

Krok jeden — pomost w srebrze kowany,
wstecz chodzi zegar księżycy,
chwila spętana czeka.

Jak pocisk w szum się wdiera szuwarów
łódka, powiek drgnieniem parta,
łaki odwraca karty.

O, przedziej, przedziej! Tam za zakrętem
jest jedno miejsce pamiętne,
ławka pod wierzbą starą.

Rumak szarpnięty nagie wędzidłem,
kajak zatrzymał się w biegu.
Wierzbo! On ją porzucił...

Rzeko! Bystrzyco! Zwodnicze sidła!
Noc srebrna nad Wisły brzegiem,
księżyc pieśń szklaną nuci.

„Kamena” nr 53—54, 1938

TADEUSZ HOLLENDER

Z wczesnego dzieciństwa

Front przeszedł od miasteczka
na północ — bokiem...
Skakało prężne powietrze
do ocemniałych okien
na pierwszym piętrze.
(Wyższych domów w miasteczku nie było).

A pociski pękały daleko,
a pociski pękały z siłą...
— Ileż to lat liczyło dziecko,
liczące głośno wybuchy za sztreką,
którego matka z nieprzytomną twarzą
przy czarnym oknie gramot chłoneła głuchy.

W ruinach domów zliczało miasteczko
nieśmiałym rankiem wyrwy i wybuchy.

I rankiem okno otworzył na przestrzał
krzyk w ciemnym jarze zburzonego rynku:
— żołdat pędzony przez patrol niemiecki
podnosił ręce i z rykiem uciekał,
i długo, długo w ciemnym rynku wrzeszczał...
Na długi bagnet człowiek brał człowieka,
poły szynela jak skrzydeł motyle...
— Motyl na szpilce...

...tak się było dzieckiem,
miało się w rękach kolby karabinów
z gontu i drutu, kiedym „wartę” trzymał...
— A zawsze strasznie stałe przed oczyma
żołdat na rynku przeszyty... na wylot.

„Kamena” nr 16, 1935

ANTONI BOGUSŁAWSKI

Tulipan

Pokoik na kawalerce,
wysoko — jakby na wieży...
Drzwi, jeśli nie są zamknięte,
otwarte są na ścieżaj.

Otwarte tym, co przychodzą,
otwarte byle komu;
jak który — to bywa grzeczny,
co trzeci się ukloni.

Na oknie, jeszcze nie w wodzie,
leżą dwa tulipany:
tylko co przyniósł dziewczynie
te kwiaty jej kochanek.

Nie napomstował, nie krzywdził,
pieniędzy nie zabierał
(gadał, że forsistego
nabrali dziś frajera).

Dziewczyna patrzy w tulipan:
okropnie lubi to ziele!
Dobrze by za Marymont
w niedzielę pójść z przyjacielem!

Wtem — gość...

— Czy można?... — Pan kogo uważa?...

— Bardzo proszę...
W dęciaku wszedł. O tulipan
zagasił papierosa.

„Kamena” nr 41, 1937

STEFAN NAPIERSKI

In memoriam

Taratajka dywanem okryta zajeżdża
kolo murawy krągłej poprzód dwór szlachecki;
tam ganek jest z podsieniem i dwa narożniki,
dach gontem staroświeckim kryty, rosochała
lipa, świerki się smukła, topola wygląda.
Zaprząg w bramę otwartą! Siwek oraz deresz,
poważnie klusujące przy dyszlu, a klaczka
spłoszona w bok skoczyła; już bat poświśtuje,
czapka czerwona chwije się, szyta z baranków,
oko gniewne zwrócone i prawica wzniosła!
Jak odbija chomało od lśniącego karku,
całego w białych płatach piany, karej maści.
Tedy bryczka, z modrzewiu dwór, lipa i brama,
topolą nadwiślańską wysadzana droga,
i niebo zamyśłone, i mile powietrze.
Nic więcej, akwarela, jaki czar śmiertelny!
Którędy stamtąd wyrwać się, dobić ojczyzny?
Samotny wyruszyłeś rankiem. Park pamiętam,
ławkę z głazu wkopaną w ziemię, mchem zarosłą,
z bruzdami czasu; smugi krwawące jesieni,
w babie lato wplątane, kratkowały czoło,
kiedy zasiadłeś bladej, wargę ściągawszy, Piotrze.
Szła wzdłuż brzegu Tatiana, za nią welon włókił się
na powietrzu tak pełnym szczęśliwości, smując
plamą białą w jezioru. O, tonąć w rozpacz!
Na te błonia zasnuje wyjąć, gdzie jeszcze błądzi,
dłonią nieśmiertelniki muskając w szeleście,
Joasia; wędnie łąka, ona lamie ręce.
Jak się wydrzeć miłości i nie skonać? Widmo
wspaniałe, bezlitosny, straszna miarą serca
mierzący, znów otwartą źrenicą nas sądzisz,
że cofamy się w lęku przed śpiącym sumieniem,
Gorycz ziemi podźwignąć jak? i sprostać szczęściu?
wolność pokonać? wielkość pojąć? i nie umrzeć?
podeptać cześć? i zbawić, i zbawić człowieka?
Na wozie, w skrytej słonie, jeszcze ciągle brzęczy
powstańców broń, a ona, najmiłsza Xenusia,
przechadza się niedbale! Zdławić ją, o, Nike!
Ty mnie wiedz, karku naginaj pod jarzmo pokory,
ze skroni wawrzyn zedrzyj, bym nie dyszał pęchą,
i młotaj słów lachmany w twarze zbladłe; niechaj
nasłuchują muzyki machin, jako tłoki
naoliwione dyszą spokojem; czas odejść
gościńcem wygladzonym przez ten trud nieładzki;
pozwólcie, niechaj ziemia spoczywa na piersi,
która kłątwa mi była, a ryć ją musiałem
do krwi palców, szponami żądy i zagłady.
Wreszcie odpoczne, prosty, na Zamku w Warszawie,
w szyby gwiazdy naciekną, i podmuch znad Wisły
w czystym przestworzu szepnie o łęgach ojczystych.

„Kamena” nr 24, 1935

CZYTAJĄC przysłane do jubileuszowego
numeru „Kamena” utwory jej sympaty-
ków, wśród których znajdują się nazwiska
autorów współpracujących z pismem od naj-
dawniejszych czasów, autorów, o których myślę
z wdzięcznością i wzruszeniem, gdyż każdy
z nich w większym lub mniejszym stopniu
przyczynił się do tego, że „Kamena” święci dziś
swoje 25-lecie, — ze smutkiem wspominam tych,
których w tym numerze zabrakło, którzy nigdy
już nie stworzą. Przesuwają się przed moi-
mi oczyma twarze ludzi bliskich, którym ścis-
kałem dłoń, i bezcielesne dla mnie postaci
tych, których nigdy nie widziałem, a którzy
z daleka wyciągali do mnie ręce zasilaając „Ka-
menę” owocami swej pracy.

Zenon Waśniewski. Współzałożyciel pisma,
przyjaciel i wierny towarzysz sześćdziesięciu
lat, bez którego linorytów, z każdym numerem
lepszych, trudno sobie przedwojenną „Kamenę”
wyobrazić. Nie doczekał wyzwolenia ginąc
w obozie koncentracyjnym tuż przed wkroczeniem
do Bergen Belsen wojsk alianckich. Zamknął
łańcuch strat wojennych wśród współpracow-
ników „Kamena”, zapoczątkowany tragiczną
śmiercią Józefa Czechowicza. A wśród ogniw
tego łańcucha — Franciszka Arnsztajnowa, sę-
dziwa poetka lubelska, swą twórczością wiążą-
ca Młodą Polskę z dwudziestoleciami, obok po-
czątkujących a tegich już piór — Henryka
Domińskiego i Władysława Podstawki. Wszyscy
— ofiary hitleryzmu. I nieznanymi mi osobiciście
poeci spoza Lublina: Swiatopek Karpiński,
Teodor Bujnicki, Julia Dickstein-Wieleżyńska,
Włodzimierz Pietrzak, Ignacy Fik i najbliższy
stojący „Kamena” Stefan Napierki, który, za-
nim zaczął wydawać „Ateneum”, nosił się
z myślą powiększenia jej objętości o jeden ar-
kuszy i gotów był go finansować. I poeci, którzy
w pamiętnym wrześniu znaleźli chwilowy azyl
w mym chełmskim mieszkaniu — Tadeusz Hol-
lender i Jerzy Kamil Weintraub. Zegnałem ich
już na zawsze, nie wiedząc o tym w chwili, gdy
opuszczali Chełm wraz z wojskami radzieckimi,
bo linia demarkacyjna niemiecko-radziecka
zgodnie z nową umową została przesunięta do
Bugu. I Bruno Schulz, który w najśmiel-
szych fantasmagoriach nie przeczuł fantastycz-
nej swej śmierci. I Bronisław Krystyn Wierzej-
ski, który przysyłał mi wiersze i prozę ze sło-
necznej Italii. I Wit, i Rzeczyca, jak się o tym
niedawno dowiedziałem. I może inni jeszcze,
mało znani debiutanci „Kamena”, o których
stuch zaginął.

A żalobna lista nie kończy się na tym i po
wznawieniu „Kamena” lata powojenne dopisu-
ją na niej nowe nazwiska. Nieodżałowany Ser-
giusz Kulakowski. Najserdeczniejszy i naofiar-
niejszy spoza lubelskich przyjaciół pisma,
który współpracował z nim, począwszy od
pierwszego rocznika, a po raz ostatni w r. 1946
zamieścił w numerze blokowskim esej „Trzy
miłości Aleksandra Błoka”, pochwalony nawet
przez surowo oceniającego go zazwyczaj K. W.
Zawodzińskiego. Ten krytyk i rusycysta po
wojnie dopiero drukował w „Kamena”. Nie
zatknąłem się z nim osobiciście. Po obu została
mi obfita korespondencja, od Siergieja Juliano-
wicza półtorej setki listów.

A potem „proboszcz parafii poetyckiej” Lub-
lina — ks. Ludwik Zalewski. Wchodził w skład
kolegium redakcyjnego pierwszego n-ru „Ka-
meny” jako organu Lubelskiego Oddziału ZLP
i żywo interesował się pracą nad układaniem
tego zeszytu. Ukazania się jego nie doczekał.
I jeszcze poeta i świetny tłumacz — Tadeusz
Stępniewski. I luźnie związani z „Kamena” —
Julian Tuwim i Juliusz Kleiner. I Adam Szczer-
bowski. I na emigracji Antoni Bogusławski.
Tyle grobów! Nawet na 25 lat istnienia pisma
— nazbyt wiele. Ale ileż przymnożyła wojna!
O nich teraz myślę. O tych, którzy już nigdy
pióra do ręki nie wezmą... Którzy nie mogli
nim uświetnić jubileuszu „Kamena”...

K.A.J.

Tatry

Posłuchaj — jak echo szumią nagie góry.

Wiatr w zadymkę mgłę lekką śniegu skręca,
bije o turnie — ślepy, tonący w chmurach.

Śluchaj. Serce drży jak storeczyk krwią splamiony.
Wszystko jest trudem, dobywasz się z nędzy
i strachu: wysoki, dumny, z koroną
Tatr nad głową, oddaną wicherom.

W dole śpi białe jezioro. W nizinach
drzemiących drżą wątle strugi zimnych deszczów.

To jest samotność! Czas dawny się ścina
w ostre kształty cieniów, zastęga — i czeka.
Aż pęd nagły wichru o oddal uderzy
jękiem i — ścichły nagły — runie w daleką
przepaść, otwartą błyskiem.

Zasypany jesienią, żółknący jak liście
starych buków — nie pamiętam zapachu
opuszczonych siedlisk i domu. Święcie przyjsię
grozy. Niebo walczące niosę jak wroga,
zdlawionego w uścisku: — ja, wicher.

„Kamena” nr 35—36, 1937

ADAM SZCZERBOWSKI

Róże na śniegu

Piersi kobiece strome, czerwonych warg łakome,
białe jak woń zaświata, krągłe jak serce brata.
Bujne jak górskie łąki w porannych mgieł białiznie,
jak chwile dwie rozłąki odmienne, ale bliźnie.
Czy to na śnieżnej bieli zakwitły krwawe róże?
Świat się na bezświat dzieli, w niepamięć się zanurzę.
O, z niepamięci bezdna wyłowić uśmiech dziecka!
Wokół zawiewa gwiazdka i czasu sieć zdradziecka.
Wśnić się przez złote schody w ten czas, gdy ze mną Ono
łączyło się w urody jedną pełną i skończoną!
I dotknąć warg złączeniem ponad odwieczne kładki
nadzmysłem, nadpragnieniem dziewiczych piersi Matki.

„Kamena” nr 56, 1939

MODLITWA

HENRYK DOMIŃSKI

JAKIE są twoje oczy, Emilio? Pochylna
nad balią rzucasz na mnie od czasu do
czasu szybkie spojrzenie i znów ciemne
żrenice topisz w białym obłoku piany. Ten
krótki moment, gdy wzrok nasz na drżącej linii
promienia lampy naftowej znajduje punkt
styczny, wystarcza zupełnie, abym pojął ohydę
swych grzechów.

Ach! Emilio, odkąd ty panujesz w tej izbie
podłej, przypominającej nikczemność naszego
istnienia, zapomnieliśmy o Bogu.

To do ciebie płyną moje modlitwy, na twoich
starych rękach wieszam słowa gorące. W tej
samej chwili ty rozwieszając białiznę myślisz
tkliwie: jakież on podły, ten mój wnuk!

Nie znam twoich oczu, Emilio! Mimo swych
lat siedemdziesięciu w żrenicach zachowałaś
ogrody wiosenne.

Trzeba długo żyć, trzeba mieć w sercu wiele
pogardy dla świata i sporo miłości dla ludzi,
aby takie światła zachować pod chmurną brwią.

Emilio, która jesteś zwykłą praczką, której
dłonie zre mydło, która zwątpiłaś o gwiazdach
i zwierzętach, za tobą idę, za wysokim szumem
twojej krwi biegnę, aby odnaleźć w sobie przeszły
i przyszły czas.

Emilio otoczona zielonym wawrzynem, Emilio
napęczniona rozmową straganów, Emilio schyła-
na śpiewem nieszpornym, Emilio z kościanym
rózaniem w dłoni, daj mi srebrny liść miłości,
obwieść mnie jak latarnią swą ciemną żrenicą,
o Emilio oczyść mnie, odkup mnie żarem swych
oczu, doświadczeniem pokoleń, które w tobie
swoją początek i kres znajdują, które przez
ciebie płyną jak nieujarzmiona rzeka.

Emilio moja nie pokochana, Emilio, zakonie
mojej wiary.

„Kamena” nr 53—54, 1933



Zenon Waśniewski — Linoryt
Ilustracja do „Belladonna” M. Grońskiego

ŚWIATOPEŁK KAPIŃSKI

Dno

Zatopione fregaty o masztach szraskanych
leżą w kwaśnym kwitnieniu roślinności płynnej.
Lecz omijamy owe nastrojów altany
i mkniemy miękim gąszczem — dna nas chłoną inne.

Przez pokolenia zwierząt, co karło się drzewią,
niby przez krzewy wzrosłe na lysym piaskowcu,
wyjdziemy na równiny przeciwne zasiewom —
wyjdziemy na podmorskie zamarte manowce,
na te skalne sklepienia bez gwiazd ponad domem,
co w rozkolebach ciszy mają morskie leże.

A potem słone łąki, pochmurnie ruchome,
ostrą chłostą traw bliskie wskażą nam podbrzeże.
I teraz kraj odpadków pogrążonych łem,
drew wysłużonych trupio, butelek i beczek.
...Oto stęchłą zieli portowej się spillem
i rozbryzgiem butelki stopy pokaleczę.

Złym alkoholem dymi gęste legowisko.
Rośliny fermentują rybem jadem: śnicą.
Śliskie spody okrętów płyną tędy nisko,
jak na kleiste tarło leniwa ławica.
...Oddech zapuchły w płucach pęka i rozbłyska,
niby nad kłębem wiosny obłok rwący w nicość.

Na dnie przedmieścia leżą jak kepa na stawie.
Już nie ma gwiazd na niebie ni wiatru w kurzawie...
Jak latarnia zaulków zapłonęła zorza.
Ze świtu płyną domy niby barki z morza —
Stają szare nade mną — arki i fregaty —
niosą śpiący ładunek i zamarte kwiaty.

Budzi się ludzkie ptactwo. Wstaje błotne życie.
Nie odkrzyknę z moczarów — w trupim gardle grząsko.
...Pod ścianą, zanurzona w wilgoci rozkwickie,
idzie ślepa dziewczyna z kwitnącą gałązką...

„Kamena” nr 2, 1933

WŁADYSŁAW PODSTAWKA

Przedśpiew

Tu nie oddechy wiatru. Nie borów granie,
ani me czolo żar słońca białego rozpala.
Usta spokane i martwe. W kielichach małow
pełniej, obficiej rosy!... Lecz dobiegnie z dala
trudny, chropawy mój śpiew — gorzkie wyzwanie
dzieciństwu, wiosnie i mece idących lat.

Pełne jest serce moje, żar w nim i moc głucha.
Ustom nadażyć niesposób. — Burza nadciąga!...
Dudni bębmem weselnym podniebny grom.
— Czasu onego przystawam, milczę i słucham:
trzeszczą bierwiona błyskawic w niebieskich sągach,
chwije się, rzezi domu zrab.

Wtedy muzyką wspaniałą — groźnie i hucznie
wychodź, poeto — minstreliu prosty śpiewem!...
Świat twój, ziemia jest twoja — posłuszny czas.
— Huczy spieniony wicher i pierzchają ucznię...
W pustce — z piersią odkrytą — tracisz pieśni jak
drzewo,
jak dąb ronący kwiaty w pustynie miast.

„Kamena” nr 53—54, 1933

SPRAWY ELEMENTARNE

IGNACY FIK

NI stąd ni zowąd zjawiające się na łamach pisma
pytania typu: po co jest sztuka? co jest
elementem poezji? itp., jak w ogóle wszel-
kie pytania zbyt zasadnicze i merytoryczne,
nie cieszą się u nas zrozumieniem i poważaniem.
Przypisuje się je mentalności abstrakcyjnej, pedan-
tycznej czy scholastycznej, a wywody i wnioski z gó-
ry osądza się jako nudne i niecelowe. Po co znowu
zaczynać od Adama i Ewy? Życie i tak zdecydowało
mimo czy wbrew teoriom. Zagadnienia zostawia się
pobieżliwie specjalistom od poetyki, profesorom uni-
wersytetu, z których równocześnie sztydzi się po cichu,
że dali się nabrać na kawał i zapędzać w ciasną ulicz-
kę — formalistykę. Jeśli zaś takie pytania zaczęły sta-
wiać poeci, nigdy nie podejmuje się dyskusji, bo —
szkoda się kłócić o słowa i prywatnie widzi mi się.

A jednak co pewien czas pytania takie zadawać
trzeba publicznie, co więcej, pilnować, aby były roz-
strzygane. Nieodzwonne to jest zwłaszcza w momen-
tach, kiedy obowiązujące formuły zbyt już stały
truizmami, albo w momentach, kiedy relatywizm i to-
lerancja wobec każdej opinii przekroczyły swą natu-
ralną granicę. Pytanie o elementy poezji na pozór
wydaje się łatwe, a nawet banalne. Niemniej nie ma
przecie jednoznacznych odpowiedzi. Pośrednio dowo-
dzi tego praktyka poszczególnych kierunków poetycz-
kich czy indywidualnych poetów. Można zaryzykować
twierdzenie, że każda nowa poetyka zależna jest
w swym typie od zasadniczej decyzji, co należy uwa-
żać za element poezji. I dzisiaj bodaj czy nie od ta-
kiego rozstrzygnięcia (dokonane może być ono intu-
icyjnie i nieświadomie) zależy przyszłość nowej poezji.

To powinno skłonić do dyskusji nad tymi naprawdę
elementarnymi sprawami.

Zdaje mi się, że pod tym względem wyróżnić by się
dało pięć głównych opinii. Według nich elementami
poezji są: 1) artykułowane dźwięki, 2) miary ryt-
miczne, 3) słowa, 4) wyobrażenia czy pojęcia, 5) zda-
nia. Rozpatrzmy się w tych sugestiach.

Jesteśmy nieraz świadkami zasluchania się publicz-
ności w wiersze w języku obcym (lub zbyt „czystym”),
których nikt ze słuchaczy nie rozumie. Wystarczy wi-
docznie sama strona dźwiękowa. Tuwim, opierając się
na tych założeniach, tworzył swoje słopiewnie. Kiedy
indziej byłym świadkiem, jak doskonały recytator Ro-
nard-Bujański przez kwadrans powtarzał słowo: *chlap*,
chlap w różnych tonacjach tworząc przejmujący dra-
mat beznadziejnego marszu żołnierzy na wojnie. Na
analogicznych przesłankach opierał swe niektóre ma-
nifesty futuryści, u nas swe „żabie ballady” Młodożeń-
iec. Równoległe do tej poezji akustycznej poezja
optyczna kombinowała graficzne układy wiersza
w druku. Rozpoczął je bodaj Apollinaire (dyskretnie),
a do absurdu doprowadził Strzebiński w tomiku
Przybosa: „Z ponad”. Cóż sądzić o takiej inter-
pretacji „poezji”? Przede wszystkim jest tu pewne po-
mieszanie pojęć. Nawet najbardziej muzyczna czy gra-
ficzna poezja, jeśli działa, to dzięki rozlicznym sko-
jarzeniom pojęciowym, które pojawiają się momen-
talnie, wypukane niejako dźwiękiem, tonem głosu,
jego siłą itd. Ważniejsze nieporozumienie wynika
z nierozróżniania takich odrębnych rodzajów sztuki,
jak muzyka, śpiew, recytacja, poezja. Kiedyś rzeczy
te stanowiły dość jednolity stop. Strona wydzwiękowa
jest ciągle sprawą zasadniczą przy utworach śpiewa-
nych czy deklamowanych. Ale dziś domenę Muzy-
ki czasów Homera rozdzielił wypadek przynajmniej
między 3—4 wnuczki Apollina. Obecnie kulturowana
troška o muzyczną (onomatopeiczną), strofkową czy
malarską stronę utworu wynika z tradycji dawnego
stanu rzeczy, gdy możliwości takiego rozdziału nie
uświadamiano sobie. Równa ilość zgłosek, regularny
rytm, refren, aliteracja, rym i wszystko to, co tak
strasznie dużo miejsca zajmuje w podręcznikach
poetyki — było to bardzo istotne i nieodzowne, gdy
wiersz trzeba było wyśpiewać przy wtórze liry czy
geśli. Dziś czynniki te muszą być mocno zredukowane
ilościowo i sprowadzone do roli środków specjalnych,
podporządkowanych i całkowicie uzależnionych od
ważniejszych dominant integralnie poetyckich.

Klasyści i estetyści sądzą, że poezja jest w słow-
wach. Z tego powodu dzielą słowa na poetyckie i nie-
poetyckie. Poetyckie dzielą — na patetyczne, dziwne,
wzruszające, groteskowe itp. Zespół słów danej kate-
gorii działa magicznie i daje automatycznie wymagane
przeżycie estetyczne. Poszczególne słowa są zrozumia-
łe, ale nie jest nieodzowne zrozumienie sensu struk-
turalnego całego tego zespołu werbalnego. Wystarczy
czarodziejstwo słów: *gwiazdy, srebro, księżyc, miłość*,
czar, łasknota — a dusza się otwiera. Inny zespół bu-
dzi u nas uczucie zdenerwowania, inny — wzniosłość,
inny — grozy, groteski itd. Na takim mechanizmie
wygrywa agitka wiecowa, czy piosenka kabaretowa.
We wszystkich tych wypadkach wystarczy niekiedy
mechaniczne zestawienie obok siebie wyrazów nie-
zdeteminowanych nawet formą logiczno-gramatycz-
ną. Marinetti odrzucał wszystkie znaki pisarskie
i składnię, żądając np. gołych rzeczowników. Po tej
linii idą surrealiści, którzy łączą słowa ruchem sa-
mego prądu asocjacyjnego. Tu również można by wy-
mienić Przybosiową koncepcję zgęszczeń przez wielo-
znaczność (np. rozplaszczyc: a) rozebrać z płaszczka,
b) zrobić płaskim) i jego pseudorodowodowe kalam-
bury (*łaka — łączyć, woła — wywołuje, pelza —
spelił*) czy wreszcie aliteracyjne pomysły Brzękow-
skiego (*amo — amoniak, barci — bar*).

Przeciw tym stanowiskom występował Peiper, któ-
ry sądzi, że samo słowo nie jest elementem poezji.
Poezja zaczyna się dopiero od zdania. Samo słowo

ma charakter neutralny, pozaartystyczny, stąd może być elementem nauki. Poezja leży w zetknięciu się dwu słów. Stąd dla Peipera metafora odgrywa tak dużą rolę. Dlatego też nawołuje do tworzenia pięknych zdań, miejsc nowych metafor. Twierdzenia Peipera są rewolucją w dotychczasowej tradycji poetyce, nie zostały jednak odpowiednio wykorzystane i rozprowadzone. W sformułowaniu Peipera nie zawierają poza tym całej prawdy, względnie nie wyrażają jej jasno. Postulat „pięknych zdań” jest wyrażeniem pojmowania „elementu” jako najmniejszego elementu utworu poetyckiego. Wymaga on, aby element sam był dziełem sztuki. Stąd u Peipera może poemat składać się z jednego zdania. W „Pionie” czytaliśmy podobne poematy Ungarettiego. Również w utach chińskich można by wysledzić niekiedy pokrewieństwo z tymi koncepcjami.

Trzeba by rozstrzygnąć zasadnicze pytanie, co nazywamy elementem w ogóle? Najpierw chodzi o to, czy w charakterze elementu musi się zawierać istota struktury całości, do której element należy? Następnie jak on należy: czy element poetycki jest produktem podziału logicznego (jako gatunek), czy metafizycznego (jako cecha), czy fizycznego (jako kawałek)? Jeśli zgodzimy się, że jest to podział fizyczny, to stosunek elementu do całości będzie taki, jak stosunek cegieł do budowli. Cegła nie jest małym domem, dom zawiera się właściwie między murami cegieł, sama cegła (jej kształt, materiał, waga) zdefiniowana jest jednak decydująco właściwością i sensem domu. Nie przeszkadza to równocześnie, aby cegła nie mogła być elementem innej struktury (np. za pomocą niej można rozbijać szyby w sklepach lub głowy wrogom). W każdym razie nie można żądać, aby tzw. element miał swój sens absolutny, wynikający z jakichś immanentnych przeznaczeń w duchu fenomenalizmu husserlowego.

Oczywiście nie przeszkadza (przejdźmy do poezji) tworzyć poematy z jednego zdania. Mogą one mieć nawet dużą i oryginalną dynamikę estetyczną. Ale wartość ta nie jest stała. W każdej chwili takie początkowo autarkiczne zdanie potraktować możemy jako element wyższej syntezy poetyckiej. I wtedy z wartością artystyczną zdania może być rozmaicie: może się nasilić, zmniejszyć, zneutralizować. Z tego wynikają dwa wnioski: a) pojęcie elementu jest względne, b) nie istnieje jeden tylko (współrzędny) stosunek zdań w naturze. Zdania są różnej rangi hierarchicznej, stąd wiersz nie może być „równo gęsty”. Wiersz to nie wyrównany bukiet kwiatów, ale raczej rozgałęzione drzewo. Jest tak jak w matematyce. Trójkąt, powstały z dwumianu podniesionego do kwadratu, funkcją swą nie jest równy trzem mechanicznie zestawionym jednomianom.

W znaczeniu socjalnym człowiek jest nierozkładalnym elementem, ale z punktu widzenia anatomii da się go podzielić na organy. Z punktu widzenia biologa człowiek jest zbiorem komórek, dla fizyka czy chemika jest zbiorem związków chemicznych czy atomów. Nie ma więc jasnego znaczenia pytanie, z jakich elementów składa się człowiek. Także przy utworze poetyckim można stosować różne punkty widzenia: fonetyczny (muzyczny), gramatyczny, logiczny itp. Jest wreszcie punkt widzenia poetycki. Otóż to — jest! Jak się ma więc rzecz z tego punktu widzenia? Jeśli dla gramatyki elementami są: głoski — zgłoski — wyrazy — zdania, jeżeli dla psychologii są: wrażenia — spostrzeżenia — wyobrażenia itp., jeżeli dla logiki są: pojęcia — sądy — syllogizmy, to dla poezji? Sądzę, że muszą to być jakieś inne pierwiastki. Nie definiując ich bliżej, zgódźmy się na razie, że analiza elementów musi być robiona z punktu widzenia ich

funkcji w danym, indywidualnym zespole strukturalnym. Może okazać się, że elementem może być zarówno głoska, jak słowo, jak pojęcie czy całe zdanie, że te rzeczy są równorzędne poetycko.

Żeby wyjaśnić sprawę zdań, trzeba zdać sobie sprawę, że co innego są tzw. zdania gramatyczne, logiczne, a poetyckie. Zdanie gramatyczne może być zwykłą nazwą pojęcia. Nie każde bowiem pojęcie ma swój termin, niektóre pojęcia (a zwłaszcza w poezji okazji do tego jest dużo) oznaczyć się dają tylko przez omówienie. Niekiedy trzeba do tego kilku zdań. Czy Peiper przewiduje takie zdania w poezji? Bo czy chodzi w nich o to, żeby były piękne?

Niezależnie od odpowiedzi ważniejszą rzeczą jest stwierdzić, że rozważając takie zdanie izolatum (poza kontekstem) absolutnie powiedzieć nie można, czy jest ono gramatyczne czy „piękne”. Weźmy przykład: czy zdanie — „Miasto, które maluje najjaśniejsze swe płoty” — jest zdaniem poetyckim? A priori zdecydować się nie da. Może ono być oryginalnym widzeniem poetyckim, ale mogło być wyjęte z przemówienia Pana Premiera, gdy zastanawiał się komu dać medal.

Właśnie byłoby w duch Peipera powiedzieć, że poezja powstaje przy zetknięciu się dwu zdań. Zdania mogą być najbanalniejsze, a odpowiednie ich zestawienie wskrzesi błyskawicę poezji. Możemy uniknąć wtedy metafor w stylistycznym tego słowa znaczeniu, mimo że żywioł metaforyczny wypełniać będzie cały utwór. Jeszcze się raz okazuje, że dopiero kontekst decyduje, czy co jest elementem poezji, czy nie. I czy w ogóle jest poezja.

Z naszych rozważań wynika, że terminologia dzisiejszej poetyki jest nieczystym konglomeratem zapożyczeń z dziedzin pokrewnych. Zdecydowało o tym pomieszanie elementów poezji z elementami języka, gramatyki, psychologii, muzyki i logiki. Utwór poetycki przynależy co prawda do tych układów językowych, ale zasady konstrukcyjne wyprowadzone być muszą z integralnego języka poetyckiego.

Otóż rozdziłby się postulat wyzwolenia tego języka z sugestii i kategorii języków ubocznych i stworzenia dla niego własnego systemu terminologicznego. Potrzebę taką odczuwa się od dawna, o czym świadczą różne próby (nieporadne i nieskoordynowane dotychczas) wprowadzania integralnych wyrazów nowej poetyki, typu takich powiedzeń jak: „Widzenie poetyckie”, zdanie metaforyczne, „układ rozkwitania” itp. Niestety terminy te są używane bardzo kapryśnie i niejednoznacznie. Największe zamieszanie sprawia tu nierozróżnianie samego tworu artystycznego od procesu twórczego i przeżycia estetycznego. Rozważania Brzękowskiego, Peipera mogłyby być użytkowane po dokładniejszym ich sprecyzowaniu. Pożyteczne bardzo są również rozważania Chwistka między sprawami estetycznymi a artystycznymi.

Czas największy zerwać z bezcelowym (abstrakcyjnym) opisywaniem różnych metrów i tropów, z całą topografią rymów, ze statystykami efektów stylistycznych samych w sobie, z zachwykami nad różnymi: sz-cz-cz-sz (pada deszcz), z goniwami za wpływami i zapożyczeniami, z liczeniem głosek itd., bo cóż to ma wspólnego z żywą poezją? Nowa poetyka nie przekreśli oczywiście dotychczasowej poezji, ale przestanie ją traktować jako teksty gramatyczne, nuty marszowe, testy psychologiczne czy libretta kabaretowe. Okaże się, że i rym, i aliteracja, i refren, i onomatopeja także dziś nie są bez celu, ale ocena i uzasadnienie ich musi być inne. Musimy patrzeć poprzez sens poetycki całości, by ujrzeć prawdziwy walor i charakter elementu.

Ignacy Fik

„Kamena” nr 57, 1939

BRONISŁAW LUDWIK MICHAŁSKI

Wędrowiec

Głowa, sparta spojrzeniem o czterocian cizy,
odmuka senną różę sufitu bez szmeru.
Z izby, skąd zleń jesieni i deszczu plusk słyszę,
kamiennej doli więzień, w podróż się wybieram.

Dłoń bezmiłosną któż zamknie ciepłym uściskiem?
Ni ciebie, ni ciebie — dłoń ma z zimnego srebra:
tylko mroczna samotność ócz nostalgii, błyskiem,
tylko żywioł — żywiołem serca w giętkich żebrach.

Ide: — kłęski powichnięć cedzą potu gorzyc.
Jedno: — miłość, nienawiść na cięciwie chuci
strzałą włosny bezśmiertnej drżą i dzwonią borem
sily, przed którą tobie ani mnie nie uciec.

Bazalt żalobnych dróg ze stóp zwiewa wicher tęsknot.
W wichrze rosnę dążeniem nad szczęście szczęśliwy.
Żeby jaśnieć, — to wierszy fioletowe przęśla
rzucam, światów mych boskich nieugięty chciwiec.

Gdy mi z drzew, próchnięjących na bezdrożach, węże
syczą śmierć: — w śmierci legniesz lachmanem
bezczynu!

Ale ja nie ustane, lęk zmrozę, zwyciężę,
aż nad tobą, nad sobą świat jasnoskrzydły rozwinę.

„Kamena” nr 23, 1935

JERZY KAMIL WEINTRAUB

Groteska zimowa

Szorstkie lapy mrozu zawarły najbielszą z zim.
Za oknem śniegiem się spiętrzył miniaturowy balkon.
Grubasek o białych włosach palił brązową fajkę,
wykwitał chwiejną lodygą siwy jak jego włosy dym.

Wpłynęły przez szklane drzwi cztery fajki i cztery
głowy,

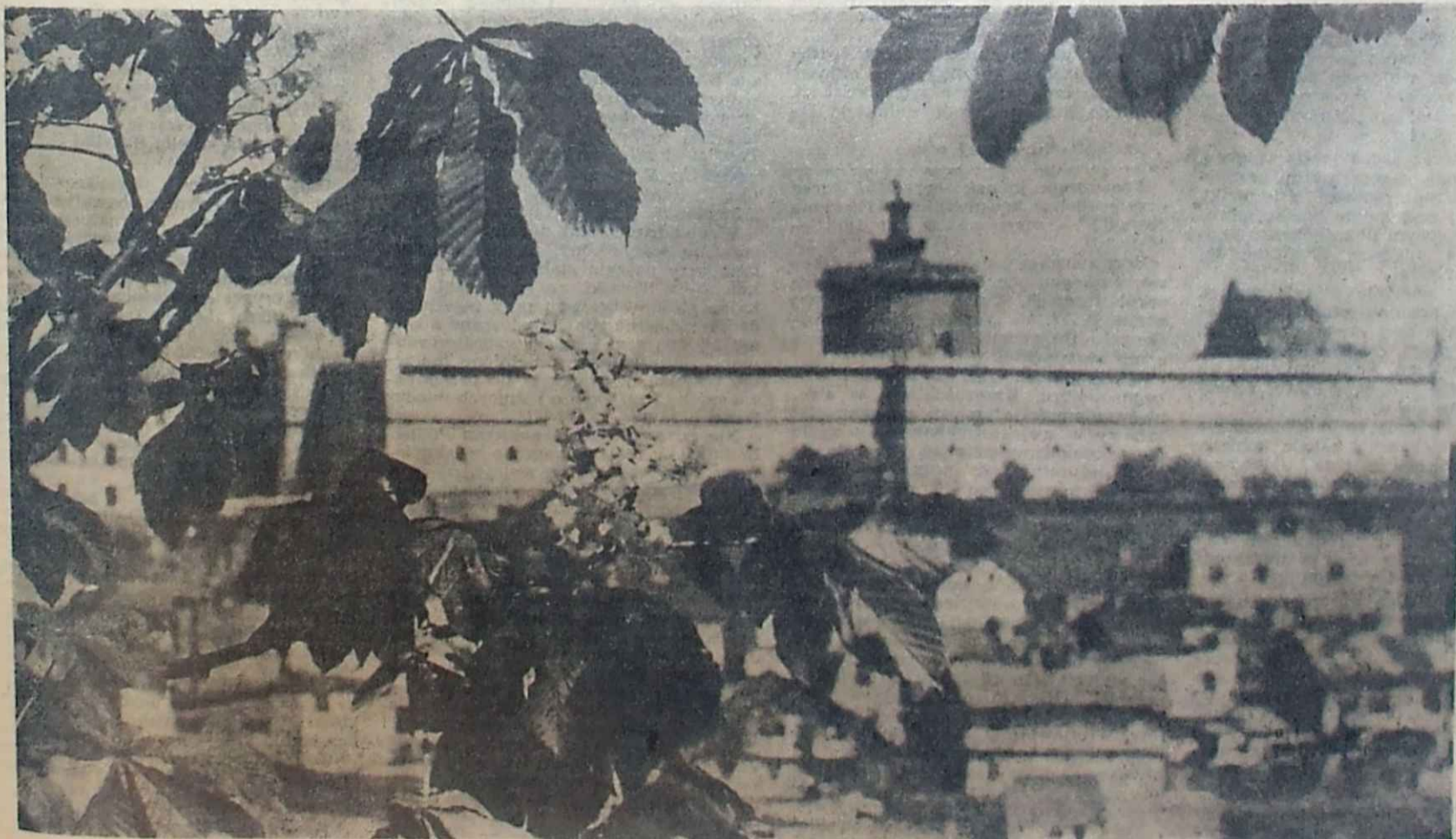
oczy niebiesko wyblakłe zasnuł siwy dym.
Ręce utkwily w rękach. Gesty starczyły za słowa.
Cisza wyrosła tak białą, że zegar za ścianą zmilkł.

Z ust białego grubaska spłynął cichutki śmiech.
Patrzcie — powiedział — na fajkę, którą tak smacznie
pale,

myśle, że to nie popiół, ale po prostu śnieg,
najoczywistszy śnieg w mych ustach się zapalił.

Nikt się nie śmiał. Pocerwieniwały cztery głowy.
Zadrżały cztery fajki. Zbiegły się w linię brwi.
Ręce cofnęły się wrogo. Gesty starczyły za słowa.
Grubasek nagle posmutniał... (Trzasnęły głucho drzwi...)

„Kamena” nr 34, 1936



Zamek lubelski — obecnie Dom Kultury i Muzeum
(Fot. E. Hartwig)

atmosfera małżeńskiej pisarza i jego pięknej żony.

Gromadząc dla męża całe dossier na polońskiej epoki, nie przypuszczała być może, iż znowu tyle chuci powieje z kart tej epopei...

Gdybym nie był artystą, lecz (o zazdrości...) — zwykłym śmiertelnikiem, a żona moja — pisarka zapewniłaby stronie swych książek nieustanną pozogą zmysłów, przyznając, że w duszy mojej spokój gościłby dość rzadko.

Stojący oto przede mną — jedyny owoc miłości Zeromskich w postaci tego piętnastolatka, który jak to opisuje, był pod każdym względem ogromnie frapujący, wyrażał w tej chwili bardzo wiele sumą swego osobowości. Powiało na mnie od niego, gdy tak patrzyliśmy sobie w oczy, stojąc w cichej uliczce, fluidem ciągle tajemniczej sprawy człowieka.

W tym sensie widzę tę scenę dzisiaj. Lecz wtenczas, pamiętam, byłem tylko zaskoczony intuicyjnie „czymś”, co na mnie wionęło tak nagle i niespodziewanie, że zniecieruchiałem z szeroko rozwartymi oczami, wciągając w płuca powietrze — głęboko, bardzo głęboko.

I oto, całkiem niespodziewanie, w których majowy dzień przyjechała do Krakowa nasza niebieskooka Goplana. Ostatnim krzykiem mody była wówczas sylwetka elegantki, która dzisiaj wydawałaby się bardzo cudacznisza.

Maszerowałem z matką po zalanych słońcem ulicach i cienistych plantach. Obok mnie dreptała drobnym kroczkiem wysoka, smukła dama w jasno-popielatym kostumie, o spódnicy do kostek, zwężonej u dołu do rozmiarów istnej pułapki na biedne łydki kobiece. Na nogach jej błyszczały czarne, lakierowane pantofelki. Na głowie miała kapeluszek o sporym rondzie, a na nim wianuszek drobniotkich, barwnych kwiatusków. W jednej ręce, opiętej śnieżno-białą rękawiczką trzymała torbę woniącą ślicznie wyprawioną skórą. Istny sezam wypełniony aromatem kobiecych drobiazgów toaletowych. W drugiej rękę — cieniutką jak różen, lśniąca popielatym jedwabiem — parasolkę, którą podparła się z gracją.

Jej lekki, wytworny rytm, wtórował krokom tak drobnym, że przywodziły na myśl owe słynne lilipucie stąpnięcia krępowanych od kotłyski chińskich stópek.

I tak szliśmy we dwójkę: elegantka, współczesna rusalka z baśniowego Gopla w warszawskim Teatrze Polskim — i przyrumieniony już mocno majowym słońcem piętnastoletni entuzjasta „Popiołów”, z rozwianą grzywą, zażenowany trochę tym towarzystwem „ascytującej zjawy nie z kręgów jego skautowsko-uczniońskiej rzeczywistości.

Poszliśmy do Teatru Słowackiego. Po raz pierwszy w życiu znalazłem się wtedy w tym przybytku, o tej porze niezwyklej i w dodatku od strony kulis, skąd całkiem niespodziewanie wkroczyłem na wielką scenę. Zostałem tam przedstawiony Arkawinównie, znanej już wówczas i cenionej aktorce dramatycznej.

Wróciła właśnie z Paryża, gdzie zoperowano jej zbytnio po semicku zakurwiony nos, z którego nie była dotychczas zadowolona. Francuscy mistrze chirurgii kosmetycznej zrobili to znakomicie, bez śladu.

Mieliśmy teraz przed sobą piękną, śniadą szatynkę, o prościutkim kształtnym nosie. Uroda ognistej Hilszpanki, zwłaszcza jej oczy pełne blasku, gorące jakby czarnym płomieniem, stanowiły świetną aparycję sceniczną tej doskonalej artystki.

Ołbrzymie wierzeje w tyle sceny, przez które wnoszono właśnie z magazynu dekoracje, były otwarte na oścież, rozjaśniając nieco, dziennym światłem, rozległą przestrzeń. Po środku, jakby na dnie kolosalnej piecary, której ściany i strop gubiły się w mroku, stały naprzeciw siebie dwie smukłe, urodziwe i niezwykle eleganckie młode kobiety, prowadząc rozmowę pełną salonowej galanterii. Wspaniałe dźwięczny timbre ich głosów, idealna wprost dykcja, wszystko to razem urzało mnie w tym otoczeniu, owianym tajemniczym nastrojem, wśród usypionych w tej chwili elementów magii scenicznego.

Jeszcze nie zdążyłem się ocknąć z tych wrażeń, gdy znalazłem się w gabinecie Solskiego, ówczesnego dyrektora teatru, któremu zostałem przedstawiony, usłyszawszy miły dla siebie komplement o podobieństwie syna do pięknej matki, by wreszcie lyknać chwilę samotności w foyer i odetchnąć trochę, kontemplując przed marmurowymi popiersiami sław, zdobionych wnętrza teatru.

Nawiasem mówiąc, to podobieństwo do urodziwej matki dziwiło mnie zawse, gdyż nie byłem wcale zachwycony

swoimi rysami, a zwłaszcza kolorytem rumianej zwykle twarzy.

Rumiany poeta, nie... to się klóci jedno z drugim, rozmawiałem w parę lat później, hypnotyzując wzrokiem pierwsze stronicie mych utworów poetyckich.

W dyrektorskim gabinecie tymczasem roztrząsane były możliwości jakichś gościnnych występów, czy też letnich imprez teatralnych w naszych „badach” galicyjskich.

Dopiero w kilkanaście lat później, gdy byłem już autorem paru wydanych książek, dowiedziałem się, że na zakończenie owej wizyty, miał miejsce krótki, lecz jakże wzruszający dialog, w gabinecie dyrektora:

— Ach, pani Izo — rzekł Solski, rozrzuconym głosem — jak ja się do szaleństwa kochałem w pani, we Lwowie, gdy pracowaliśmy razem u Pawlikowskiego.

Nasza wytworna Goplana splonęła podobno rumieńcami jak młoda dziewczyna i zakrywając oczy rękami z zażenowania, odparła:

— Wspaniale się pan konspirował, dyrektorze, najlepszy dowód, że dopiero dzisiaj, po dziesięciu latach dowiaduję się o tym. Muszę panu pogratulować dyscypliny i panowania nad sobą, rzeczywiście mistrzowskiego.

W ZACZAROWANYM kręgu

Tegoż dnia, wieczorem, byliśmy na „Bogu wojny” z Solskim w roli Napoleona. Każda wypowiedziana przez niego kwestia była prawdziwą perłą ekspresji aktorskiej, co jest tym bardziej do dzisiejszego dnia godne podziwu, że nie miał absolutnie żadnych warunków fizycznych do tej roli.

Nazajutrz podziwialiśmy Stanisławskiego jako Wojewodę w „Księdzu Marku” oraz Arkawin w roli Judyty.

Wraz z lekturą „Popiołów” przeżywałem więc pierwsze moje olśnienia artystyczne, trzeba przyznać — czystej próby. Po obydwóch przedstawieniach opuściłem teatr z głową potężnie rozpaloną.

Dzisiaj jest to zupełnie jasne i zrozumiałe, iż były to znamienne objawy i bezsprzeczne wyrażne zapowiedzi, że niedługo już... pociągnie wilka do lasu...

Nastąpiło to w 1917 roku.

Tymczasem jednak wracała przed oczy realistów krakowskich (od „szkoła realna”) — rzeczywistość lat 1913 — 14-tych.

Rozpoczęły się ćwiczenia wojskowe, wprowadzone w wyższych klasach szkół średnich. Tak dobrze później znane P. W. — „przysposobienie wojskowe”. Prowadzili je podoficerowie armii austriackiej.

Wtedy jednak była to sensacja grubego kalibru. Zazdrościliśmy w swej nieświadomości starszym kolegom tej zabawy w wojsko, niewesołej, o czym nie wiedzieliśmy przecież. Zdawało się nam naturalnie, że poza urokiem, o sportowym posmaku i ewentualnym bohaterstwie w stylu „Kościszki pod Racławicami”, nic okropnego nie czai się poza tym wszystkim.

Wytwarzał się nastrojów ekscytujący serca młodzików, o buziach raczej pażów, niż herosów termopilskich. W atmosferze zapowiadających się zmian panowało radosne uskrzydlenie, boć przecież od piorunującego wrażenia, jakie wywołała prapremiera „Wesela”, w polskiej literaturze Sienkiewiczów, Wyspiańskich, Zeromskich, Tetmajerów, Witkiewiczów, Micelińskich itd. dymiły się już nie wygasające ogniska biwakowe, dokoła których skupiali się w coraz liczniejszym towarzystwie amatorzy autentycznej niepodległości.

Tej wiosny właśnie w czasie wielkanocnej wizyty naszej Goplany, któregoś

dnia znaleźliśmy się popołudniową porą w Jamie Michalikowej, na Floriańskiej.

Ostawiona siedziba „Zielonego Balonika” była wtedy jeszcze w pełnej krasie. Ściany mrocznej kawiarni ozdabiała liczne karykatury, oprawione za szkłem facettej i wierszdyła. Pod niskim sklepieniem, które wybrzuszało się ciężko nad głową, wisiały kukły ze słynnej szopki. Każda z nich straszyla maskarowatą podobizną jakiejś głónej w tych czasach osobistości, jak Feliks Mangha Jasiński, Rudolf Starzewski — redaktor „Czasu”, krytyk hrabia Tarnowski, Zapolska, Solska, Wysocka.

Pamiętam ten arcysłodki podwieczorek, jakby to było wczoraj: ptyście z kremem, zapijane czekoladą i to jak! Przyrzadzano ją w ówczesnym Krakowie według recepty najlepszych cukierni wiedeńskich.

Nasza pachnąca Paryżem matka, ze ślicznym uśmiechem i macierzyńską czułością obserwowała apetyty swej trójki.

I choć kilka dni temu, z dżikiem wprost zapałem uczestniczyłem na Skalach Panieńskich w manewrach „Strzelca”, nie przeszkadzało mi to w pożeraniu owych ptyśi, popijanych słynną czekoladą.

W seans rodzinnego łakomstwa wtargnął niespodziewanie wysoki, szczupły blondyn ze szpiczastą bródką, ogromnie wtedy modną. Był to młody inżynier, Andrzej Galica, rodem z Podhala. Debiutował niedawno jakąś modernistyczną sztuką, jako że „moderna” od czasów Przybyszewskiego ciągle jeszcze obowiązywała.

Do matki naszej, która przyjechała właśnie w Warszawie w aureoli wybijającej się artystyki dramatycznej głónej już Teatru Polskiego, odnosił się młody inżynier-dramaturg z wielką atencją.

Lecz atmosfera tamtego czasu przed 1914-ym rokiem naładowana była również i nie teatralnymi emocjami. Toteż wytrzeszczyłem oczy i czułem gorąco w uszach, gdy inżynier Galica w przystępie egzaltacji, wicherząc energicznie swą bródkę i wspierając potok ognistych słów zamaszystą gestykulacją, ciskał na nasz marmurowy stół jakiejś oszalałymi cyfry i zapowiedzi. Dowiadaliśmy się z nich, że na pierwsze hasło komendy „Strzelca” — sto tysięcy chłopów w cyfrowanych portkach z samego tylko Podhala stanie jak jeden mąż pod bronią.

— To są ci nasi legedarni! „Śpiący rycerze” w Tatrach! — zapewniał z emfazą, ośniewając swym historiozoficznym romantyzmem — śliczną matkę trojga blondasów.

Niejedna dramatyczna opowieść o czasach „stycznowych” pulsowała jeszcze żywą krwią we wspomnieniach rodzinnych naszego klanu. Jeden z Buczyńskich, wuj Waclaw, przechowywał odręczne pismo Księcia Józefa Poniatowskiego, zawierające jakiś rozkaz czy też dyspozycje kwatremistrzowskie dla prapradziadka — porucznika Buczyńskiego.

Byliśmy przecież Polakami z krwi i kości, z tradycji, kultury i obyczaju, toteż autorytet takiego inżyniera z bródką, dramaturga i członka „Strzelca” w jednej osobie, imponował objęzionej ptyśiami i czekoladą czwórce łakomczuchów. Zwłaszcza w atmosferze Krakowa Młodej Polski, który przy różnych okazjach deklarował sugestywne porzekadła z „Wesela”, nucił piosenki z Tetmajerowskiej „Legendy Tatr” i „Skalnego Podhala”, recytował urywki z „Zaczarowanego koła” — Rydla, z „Warszawianki”, „Dziadów”, „Kordiana” i „Nocy Listopadowej”.

W dwadzieścia lat później, gdy było już „po wszystkim”, usiadł któregoś dnia przy naszym stole zakopiańczyków — u Trzaski, rosy generał, stukając głośno obcasami przy powitaniu. Jedno rubaszne zdanie usłyszałem z tych ust i jeden rzut oka na wyorderowaną pierś, reprezentującą spełnione marzenia pokoleń, wystarczyły do przełknięcia smętnej refleksji o różnicach między wizją a jawą...

Nie poszczęśliło się naszemu Podhalaninowi w teatrze, pomimo wystawionego, zdaje się już po wojnie, na krakowskiej scenie — „Janosika”, pseudo-dramatycznych dialogów i żywych obrazów z kolejnego szablonu licznej epigońskiej czeredy papierowych bohaterów tej literackiej fikcji, rozpetanej nieopatrznie przez Tetmajera.

Natomiast druga połowa osobowości naszego inżyniera z Jami Michalikowej prześcignęła swój sen o rycerskiej szpadzie — bezapelacyjnie.

Ogromnie mi jednak brakowało w tej fizjonomii — szpiczastej, targanej niecierpliwie bródką i romantycznego ognia w oczach, a w panoramie owej chwili — legendarnych „Śpiących rycerzy w Tatrach”, odkrytych całunem granatowego cienia, co tak efektownie, po malaraku sływa ze strzelistych krzesanie Giewontu...

Krótkie ferie wielkanocne minęły szybko i w któreś popołudnie pozedłem z Kacprem Pochwałskim na Wawel.

Odczytywaliśmy po drodze „cegiełki” z nazwiskami ofiarodawców. Właśnie zaczęto nimi inkrustować mur obronny od strony katedry. Sumy ofiarowane na odbudowę tego pomnika nieistniejącej Rzeczypospolitej przez niektóre instytucje i osoby prywatne były wcale okazałe, jak na tamte czasy przysłowiowej biedry galicyjskiej.

Rekonstrukcja i odnowienie Wawelu wkraczało dopiero w stadium początkowe. Toteż wstrząsające wrażenie robiło wszystko, na co się tutaj spojrzano. Gozdzinami wędrowaliśmy po straszliwie zniszczonych komnatach zamku królewskiego. Pieliśmy się wytrwale po rozwalonych klatkach schodowych i krążankach, które kiedyś tam tak wspaniale się podobno prezentowały.

Wszystko było ohydnie, wprost abominacyjnie dewastowane przez jęgrów austriackich. Wawel zamieniono przecież na koszary. Dziesiątki lat chamsstwa rozszekanych tu wielojęzycznie knechtów habsburskich zrobiły swoje. Podkute kamazse komiśne szczękały po marmurowych schodach i zdobionych stylowymi taflami posadzkach, szczerbiąc je niemilosiernie.

Patrzyliśmy z Kacprem ponuro na poobijane tyńki, pogruchotane odrzwia, odlupane rzeźby kominków, na renesansowe okna z wymyślnymi kolumnkami, jakby wygryzione przez kły dzikich bestii.

Wszystko w ruinie... pełno kloacznych napisów na oplutych ścianach, tu i ówdzie guanem umazanych. Brnąc, miejscami nie bez trudu, po tej wawelskiej Golgocie, wspinaliśmy się na rozległe poddasza i strychy, żeby obejrzeć konstrukcje wiązań dachowych. Właśnie kończono ich montaż. Pewne partie były już gotowe, lecz duże fragmenty stalowych elewacji zamiast miedzianej blachy pokrywał błękit wiośennego nieba. W bardziej eksponowanych miejscach przerażał wprost swoją perspektywą. Otwierała się nagle poprzez kraty spiętrzonych szyn na nieskończoną przestrzeń, z której, zdawało się, mógłby zabrznieć każdej chwili głos Wielkiego Matematyka, strufującego śmiałków za to pokratkowanie Jego niebiosów.

Pamiętam do dzisiaj, że po tamtym widoku kompletnej dewastacji wszystkich pięter początek odrodzenia zamku królewskiego właśnie od strzelistych dachów zrobił na nas porwijące wrażenie. Jakby rozpoczynała się odbudowa wielkiej strzuchy nad krajem rodzinnym. Było w tym coś z symbolu, gdyż czuło się wtedy w Krakowie na każdym kroku rozmach przeżmy przemiany duchowej, która z trójzaborczego marazmu i zaślepienia dzielnicowego wiodła nas już ku nieokreślonej jeszcze wolności.

Bywają epoki, pełne fluidu zbiorowych uświadomień, nasycających wprost powietrze, z którym ludzka masa wciąga do płuc aure swych przerażeń. Równocześnie na każdym kroku widzi się potwierdzenie tego zjawiska. I wszystko spłata się w przedziwną logiczną całość: uczniowie wyższych klas ćwiczą broń, duży „Strzelca” odbywają manewry, rozpoczęta odbudowa Wawelu i... równocześnie Solski zapowiada w Teatrze Słowackiego prapremierę „Legionu” w niebywałej oprawie dekoracyjnej, kosztem 20 tysięcy koron! Mamy ujrzeć na scenie w kształt plastyczny ujętą kopułę Bazyliki Sw. Piotra.

Czytając sporych rozmiarów afisz, informujący o tym niebywałym spektaklu, spóźniłem się naturalnie na pierwszą lekcję. Lecz inwencja zaczynała już kwilić we mnie najwyraźniej... gdyż podszepnęła mi, aby wytlumaczyć się po prostu — właśnie zaskoczeniem przez afisze „Legionu”. Spotkałem się w klasie z pełną pobłażliwością. Nasz kochany, elegancki Misky, gładząc swój wąsik dla zamaskowania uśmiešku pełnego zyczliwości, przyznał mi rację, że to rzeczywiście niebywała sensacja artystyczna. I będąc nią zaskoczonym, można istotnie przepięć godzinę rozpoczęcia nauki. Nie darmo był uczniem Jana Stanisławskiego...

„Wesela”, „Achilleis” — luk napinający, Wawel — „Akropolis” w odbudowie, „Popioły”, „Legion” wystawiony w Teatrze Słowackiego, początki nowoczesnego wychowania fizycznego, zainicjowane przez Jordana, „Na przelęcz” i „Z Tatr” — St. Witkiewicza (wspomnę o tym jeszcze później), skauting, duży rozmach tatarnictwa, zaszczone świeżo narciarstwo. Związek Strzelecki, pierwsze kroki stawiane przez sport, a nie boyowskie „plotki, plotki...” owiane mieszczańskimi zapaszkami, które nie interesowały zupełnie, dochodzące do głosu młode pokolenia — to wszystko ewoluowało na jednej linii.

Zasady

MARIA SZCZEPOWSKA

KOLEGOWALIŚMY ze Zbyszkiem i Wackiem od klasy czwartej starego typu aż do maturalnej. Wacek w ogóle się nie liczył. Cały dzień kopał piłkę, miał szkolne mistrzostwo w pływaniu, a w ósmej klasie okazało się, że nie zna reguły trzech.

My intelektualści, to znaczy Zbyszek i ja, patrzyliśmy na niego z góry.

— Łydki to ty, bracie, masz — mówiliśmy — ale twoja głowa stoi pod wielkim znakiem zapytania.

— Mam zmartwienie — odpowiadał.

— Łydki mi nie zidiociejają.

— Trzymaliśmy się razem. My ze Zbyszkiem siedzieliśmy w jednej ławce, a Wacek tuż przed nami, bo tak najwygodniej było podpowiadać. Kasę mieliśmy wspólną, ubrania też.

W ósmej klasie ten triumwirat przysł. Zbyszek zakochał się. Obaj z Wackiem patrzyliśmy na tę jego dziewczynę złym okiem.

— Przypatrz się, — mówił Wacek — ona ma krzywe nogi. — A poza tym dziewczyna to w ogóle nie to, co chłopak.

Na ulicy nigdy jej się nie kłaniał, chociaż poznał ją kiedyś na zabawie i mimo wszystko musiał przyznać, że nieźle tańczy. Nieźle! Tańczyła świetnie, ale nie ma to nic do rzeczy.

Ja posunąłem się dalej.

— Czy wiesz, — zapytałem kiedyś Zbyszka — że widziałem twoją Karolinkę z Tadzikiem. I tobie i jej wiesz, że in-te-lek-tu-a-liz-mu. Wobec Tadzika nasz Wacek to orzeł.

— Zostaw Karolinkę w spokoju — odpowiadał. — Ona czytała Prousta w oryginale i Joyce'a w tłumaczeniu.

— Chcesz przez to powiedzieć, że ja nie czytałem. Dziękuję. W każdym razie nie jestem gęsia snobująca się na nowoczesność.

— Nie jesteś, — odpowiedział — bo po prostu jesteś idiotą i możesz się do mnie nie odzywać.

Wyciągnął swoje książki spod ławki i przerzucił je na miejsce Wacka.

Tak wyglądało nasze zerwanie. Ja zostałem sam ze swoim intelektualizmem i z Wackiem, który nie nadawał się do żadnej ludzkiej rozmowy, a on ze swoją Karolinką.

Tymczasem zaczęły się dziać rzeczy niedobre. Zbyszek, drugi po mnie uczeń w klasie, zaczął obrywać dwóję za dwóję. Aż kiedyś przyszedł do mnie Wacek i powiedział.

— Ta świnią, Karolinką, zrobiła sobie skrobanek.

Chciałem z nim z naukowego punktu widzenia omówić zagadnienie świadomego macierzyństwa, ale tak ordynarnie wyrażał się o kobietach, że dałem spokój. Zbyszek w klasie siedział bład i posepny. Część kolegów uważała go za lajdaka, część za bohatera. My w dalszym ciągu nie rozmawialiśmy ze sobą, ani ja z nim, ani on ze mną. Co się działo w szkole Karolinki to trudno opisać. Żadna z dziewcząt nie pokazała się z nią na ulicy, a podobno małe z drugiej gimnazjalnej nowego typu próbowały obmacywać jej brzuch.

Po maturze jakby piorun z nieba trzasł. Zbyszek ożenił się z Karolinką. Jego rodzice zerwali z nim. Młode małżeństwo nie miało z czego żyć. Na szczęście wuj Zbyszka wystarał mu się w magistracie o posadę za sześćdziesiąt złotych miesięcznie. I znów całe miasteczko wałkowało otwarty problem: miłość czy zdrowy rozsądek. Jedni uważali Zbyszka za bohatera, drudzy za wariata. Był bardzo zdolny, a teraz o studiach oczywiście nie było mowy. Mnie on zaimponował. Kiedyś spotkałem go na ulicy i pierwszy podszedłem do niego.

— Wtedy, w szkole postąpiłem jak smarkacz — powiedziałem. — Dziś uważam cię za człowieka z zasadami. Jeśli chcesz, daj grabę.

Podał mi rękę, ale patrzył gdzieś w bok i rozmowa nam się nie kleiła. Misko pochylił dużą głowę o kwadratowej, zaciętej twarzy. Powiedział:

— Nie wytrzymuje się zasad. Każdy musi coś zdradzić. Jedną zasadę dla drugiej — siebie dla zasady.

Odnażyliśmy się dopiero w czasie okupacji. Oczywiście byli teraz zwrócone na Wacka. A ten robił tajem-

nicze miny i dawał nam do zrozumienia, że tkwi w samym sercu spraw, do których nie dorastamy. Niemcy zdążyli już rozstrzelać czterech naszych kolegów, a ja zakopując rewolwer zgubiłem okulary.

Zbyszek pracował u Niemców. Brał łapówki za mieszkanie, pił z esesmanami. Otworzył knajpę. Szpicłował. To on sygnął dwunastu naszych z ulicy Zielonej. Jego żona ufarbowała sobie włosy na rudo, nosiła krety i pantofelki z krokodylej skóry.

Jakoś wiosną, zupełnie niespodziewanie przyszedł do mnie Wacek. Miał na sobie długie buty i krótką kurtkę wojskowego kroju. Jego zwykły fason gdzieś się zapodział. W milczeniu wypalił trzy papierosy i wreszcie powiedział.

— Czy wiesz, że wolałbym zostać w swoim mieszkaniu?

— Myślę — odpowiedziałem.

— Chcą mnie przesiedlić.

— Ooo! — odpowiedziałem.

Potem obaj w milczeniu wypailiśmy każdy po trzy papierosy. O to właśnie chodziło. Mieszkanie Wacka było cholernie wygodne.

— Co myślisz o Zbyszku? — spytał po chwili.

— Ze świnią.

— Nie o to mi chodził. Wtedy, wiesz, myśmy wobec niego zawinili.

— Czym? — spytałem.

— Wydaliliśmy go na łup tej wszawej opinii. Chłopak włił się jak piskorz, a my nic. Woda w ustach i szłus.

— Jeżeli nawet, — powiedziałem — jeżeli nawet, to go jeszcze nie tłumaczy.

Wacek milczał.

— Myślałem, żeby pójść do Zbyszka w sprawie tego mieszkania — powiedział.

— Idź — odpowiedziałem — i daj mu łapówkę. A jeżeli nie chcesz, to ja pójde.

— Nie — zdecydował. — Boję się, że ty coś naknoczisz.

Wstał. Jego buty od razu nabrały wojskowego wyglądu. Na twarzy zastąpił ten charakterystyczny grymas nerwowej czujności i naprężonej uwagi, po której my od pierwszego rzutu oka, od razu na ulicy poznawaliśmy wszystkich konspiratorów. Cud boski, że go dotąd Niemcy nie złapali. Przecież widać było, kto idzie.

Nazajutrz spotkałem go na mieście. Dzień był nareszcie wiosenny. Wacek szedł bez czapki i gęste złoto-rude włosy podskakiwały mu na czubku głowy. Gdybym go nie zatrzymał, byłby mnie nie zauważył.

— No i co? — spytałem.

— W porządku.

— Mów! — rozłożyłem się.

— No nic — odpowiedział. — Zostałem w starym mieszkaniu. Byłem u Zbyszka w domu, obiecał, że załatwi. — I po chwili dodał: — Wiesz, że on ma jednak swoje zasady. Nic nie chciał wziąć ode mnie. Miałem taki fajny kupon. Świetny gatunek, powiedział, bielski, ale nie wygłupiaj się. Ostatecznie kolegowaliśmy kiedyś.

— Cóż stąd za wniosek? — spytałem. Popatrzył na mnie tak, jakbym nie wiadomo skąd się tu wziął.

— Ja nie wyciągam żadnych wniosków — powiedział. — Liczę tylko. Wyobraź sobie na przykład, że tu w ogóle nie chodzi o moje mieszkanie. A Zbyszek mi powiada: pamiętasz, jak łacinnikowi wsadziliśmy żabę do szuflady? ale heca!

— A ty od razu w bek: łacinnik! żaba, stara, kochana buda! Zle liczysz, Wacek. Nic już nie można cofnąć. Wypadki nabrały rozpędu.

— Stanał. Nie bez powodu przeżywałimy go w szkole półbogiem. Jego biała twarz była aż nazbyt gładka, prosty nos

inleńko zarysowane usta zbyt proporcjonalne. Przez tę twarz przebiegł skurek.

— Idioty, — krzyknął — ja wiem, że niczego już nie można cofnąć.

W parę dni potem nasi rozwalili Zbyszka. To Wacek ich do niego za-



prowadził. A potem w partyzantce wykończył się w jakiejś idiotycznej, pijackiej awanturze. Tak. A mnie ciągle w uszach brzmiało: pamiętasz jak łacinnikowi wsadziliśmy żabę do szuflady? ale heca!

O PAWLE HULCE-LASKOWSKIM

(Dokończenie ze str. 9)

Innym razem, gdy Związek Literatów wspomógł go jakąś niewielką pożyczką, by ulżyć w chwilowych tarapatkach, nie omieszkał w liście do mnie opowiedzieć, jak go to wzruszyło. „Zawsze marzyłem — zwierzał się — o tym, aby mieć jakiegoś wujaszka amerykańskiego z milionami i móc zapisać duży majątek Związkowi, który w osobie Drogiego Pana okazał mi tyle niezastudzonej życzliwości, ale to jest, oczywiście, marzenie. Jesteśmy społeczeństwem na dorobku, a literat jest nawet niejako na peryferii tego dorabiania się. Wierzę jednak, że przyszłe pokolenia naszych kolegów będą się miały lepiej”.

Gdy po Powstaniu Warszawskim, ominąwszy szczęśliwie Pruszków, znalazłem u znajomych w Milanówku dach nad głową, postanowiłem odwiedzić Hulkę-Laskowskiego w Żyrardowie, aczkolwiek w tym czasie roło się od „łapanek” na całej podmiejskiej trasie kolejowej. Wypatrzyłem jakiś spokojniejszy dzień i wyprawiłem się do Żyrardowa. Było to chyba w pierwszych dniach stycznia 1945 roku. Pisarza znalazłem w łóżku. Leżał od kilku tygodni. Ciężko chory na serce, zbiedzony i pół żywy, wyglądał jak legendarny Łazarz. Posunął się dobrze w latach, co uderzyło mnie z miejsca, bo choć nie widziałem go dziesięć lat z okładem, nie przypuszczałem, że zastanę go tak zmienionego. Po wymienieniu serdeczności rozpoczęła się żmudna rozmowa za pośrednictwem cłwka i wodzenia palcem po dłoni chorego. Opowiadał z przejęciem o tych kilkudziesięciu znajomych i przyjaciółach, co się przewinęło przez dom jego. Pomieszkałi parę dni, a niektórzy nawet parę tygodni, i ruszali dalej, bo w Żyrardowie nie uczynić dla nich nie było można. Pewnego dnia było aż jedenaście osób. Jak się nocowało, nie trudno się domyśleć. Zakłady Żyrardowskie zwalniały w tym czasie pracowników i ewakuowały maszyny. Tak zwani „moźniejsi” zamykali drzwi przed bezdomnymi. Biedakom pomagali tylko biedacy. Ciężko ranny Irzykowski przebywał w towarzystwie córki początkowo w mieszkaniu Hulki-Laskowskiego, zanim dostał się do szpitala, w którym pobyt przypieczętował śmiercią. Wspominał Hulka-Laskowski o kolegach po piórze, mieszkających w okolicy, którym wiodło się dobrze, a którzy uchylili się od udzielenia pomocy śmiertelnie choremu Irzykowskiemu i dodał: — To pewne, że poszedł do szpitala prosto w objęcia śmierci! Istotnie, ówczesne szpitale przyfrontowe typu cywilnego pracowały w warunkach niewymownie ciężkich. Odczuwano nie tylko brak doświadczonych lekarzy, ale i niezbędnych środków opatrunkowych, zastrzyków i wszelkiego rodzaju leków. Chory był zdany na własne siły. Organizm

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ Droga do Kazimierza

To o mnie myśleli
Przed trzytysią laty,
Ci co sadzili
Topole przy drodze —

To o mnie myśleli
Przed wiekami ludzie,
Kiedy budowali
Kościoły wieżaste —

To o mnie myśleli,
Ci co prowadzili
Te drogi jak strzały,
Te drogi pokretnie,
Od domu do domu,
Od chaty do chaty,
Od drzewa do drzewa,
By prosto jechać
Przez te lat kilkadziesiąt
Do karczmy pachnącej
Starym winem trumny.



młody przewycięzał w wielu wypadkach chorobę, ale Irzykowskiemu, który przekroczył siedemdziesiątkę i był poważnie ranny, trudno było liczyć wyłącznie na siebie. Nikt z pomocą nie pośpieszył. Irzykowski dokonał życia na szpitalnym łóżu w Żyrardowie. Przy rozstaniu obdarował mnie Hulka-Laskowski czym tylko mógł, dzieląc się ze mną swą chudością. Znalazła się jakaś ciepła bielizna i wiele innych drobiazgów, które pomogły mi przetrzymać okres najgorszy. Zegnaliliśmy się, nie przypuszczając, że za dwa tygodnie hitlerowcy opuszczą ten teren pod naporem wojsk polsko-radzieckich.

Ostatni raz widziałem się z Hulka-Laskowskim w dniu 31 marca 1945 roku. Była to Wielka Sobota. Ministerstwo Kultury i Sztuki, gdzie od trzech tygodni pracowałem, przyznało szereg skromnych nagród pisarzom, a między innymi i Hulce-Laskowskiemu. Z Mieczysławem Wallisem, ówego czasu urzędnikiem Ministerstwa, pojechałszy do Żyrardowa samowtór, jakimś dychawicznym samochodem tej instytucji, aby wręczyć pisarzowi niewielką, piętnastotysięczną kwotę. Pamiętam, było mroźno i śnieg ubity leżał grubą warstwą na drogach. Podróż, która w normalnych warunkach nie powinna trwać w jedną stronę dłużej niż trzy kwadranse, przeciągnęła się do kilku godzin. Samochód ministerialny okazał się gratem najgorszego gatunku, stał co parę minut, dyszał astmatycznie i trzeba było nie lada umiejętności szoferkich, aby dojechać nim wreszcie do Żyrardowa.

Gdyśmy się znaleźli w mieszkaniu państwa Laskowskich, powitanie nie było końca. Przyjmowano nas jak ludzi opatrnościowych, którzy zjawiają się w porę z dobrze nabitą korbą, aby ulżyć w codziennych kłopotach. Złębniętych, podejmowano nas gościnnie, jak na to stać było gospodarzy, nie żalowano niczego, a przy odjeździe wniesiono do samochodu pakunek okazałych rozmiarów, w którym — jak się wyjaśniło — znajdował się przewidziany dla mnie koc z najprawdziwszej wełny. Gospodarze dowiedzieli się od kol. Wallisa, że nie mam koldry i nakrywam się paltem i to ich skłoniło do obdarzenia mnie tak hojnym na owe czasy upominkiem.

Od tej pory nie widywałem się już z Hulka-Laskowskim. Kontakty nasze ograniczyły się do wymiany listów. Trwała ona bez przerwy do śmierci pisarza, która nastąpiła 29 października 1946 roku. Listy jego są niewyczerpaną kopalnią wiadomości o czasach ówczesnych i roją się od wnikliwych uwag na temat ludzi, obyczajów i zchodzących wypadków. Wypowiedzi te są cennym uzupełnieniem sylwetki pisarza, którą odtworzyłem z okrucich wspomnień i stanowią dokument o nieprzemijającym znaczeniu.

Edward Kozikowski

W przyszłość

ADOLF LEKKI

Ojciec: mężczyzna średniego wzrostu. Twarz pociągła o ostrych rysach. Długi, lekko zgięty nos. Na czole, akurat nad lewym okiem, w formie konstelacji Oriona, usiane niebieskie ziarnka niespalonego prochu — znak górnika nieostrożnie obchodzącego się z materiałami wybuchowymi. Figura, niegdyś prosta, po czterdziestce zaczęła się zaokrąglać, a przy pięćdziesięciu latach brzuch trzeba nosić na szerokim pasku. Cechy wewnętrzne ojca: „Pamiętaj synu, że pieniądze nie leżą na ulicy. Ja przeżyłem pół wieku, nie lajdaczylem się, nie piłem. Grosz do grosza, grosz do grosza... Tak trzeba. Pamiętaj również, że na miejscu kamień obrasta. Trzymaj się jednej roboty. Poznasz ludzi, będzie ci łatwiej. Przełożonemu uklon się nisko, słabszemu od siebie podaj laskawie rękę. Ludzie będą ci szanować, a jak jeszcze poczęstujesz majstra kieliszkiem, to zarobek pewny. Ja sam kiedyś w kopalni — jeszcze byłem ładowaczem — postawiłem wódkę dozorczy. Następnego dnia dał mi do „zamułki”. Rano pod spodem mojej łopaty zrobił kredą krzyż. Przepracowałem dniówkę, wychodzę na podszybie, a dozorca mnie łapie: „Pokaż no łopatę”. Oglądamy ją, a na drugiej stronie krzyż jeszcze znać. Innemu by się nie upiekło, a mnie co? Wypił? Wypił. Nawet mi słowa nie powiedział. Tak trzeba. Delikatnie, a z głową. I jeszcze jedna przestroga. Nie mieszaj się do polityki. Ja zawsze byłem od tego z daleka i dlatego przeżyłem cara Mikołaja i Hitlera. Tylko w ten sposób. Pamiętaj, że „każdy sobie rzepkę skrobie”. Myśl najprzód o sobie, a potem o innych”.

Cechy dodatkowe: bujna fantazja, fenomenalna wprost pamięć nawet najdrobniejszych szczegółów, despotyzm.

Matka: wyższa o głowę od ojca. Szczupła, twarz okrągła, drobna i porznięta zmarszczkami. Ręce splekane od pracy. Od pozostałych żon górników można ją odróżnić tylko po oczach. W oczach jest ona cała. Te oczy są przeważnie smutne. Cechy wewnętrzne: „Pamiętaj dziecko, że ludzi trzeba szanować. Nie jesteś na świecie sam. Masz tylko jedno życie i nie wolno go zmarnować. Nie licz na żadne znajomości. Lepiej mieć mniej, ale zarobione własną pracą. Trzeba się dużo uczyć. Tak bardzo bym chciała, żebyś miał w życiu lepiej”.

Cechy dodatkowe: pod osadem wieoletnich trudów, pod pozorną szorstkością — gorące serce.

On: dwudziestoletni dryblas. Z wyglądu podobny do ojca, lecz jeszcze wyższy od matki. Chodzi z nisko spuszczonej głową, nachmurzony. Pozornie uległy i posłuszny syn, a w rzeczywistości: „Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo moje, a ja jestem tylko człowiekiem. Stać mnie na wszystko. Dlaczego się sprzeczasz? Przecież ja już powiedziałem jak powinno być. Ja to jestem ja. Starzy mogą sobie mówić co chcą, a ja wiem swoje”.

Dodatkowo: „Wstydzili się tak mówić o rodzicach. Wychowali cię ładnie im się odplacasz... A jednak ułożę sobie życie tak jak będę chciał. Matka jeszcze może coś mówić, ale innym waram. Jasne?”

Wszystkie cechy dostępne człowiekowi były w tej rodzinie. Może nie wykształcone w najwyższym stopniu, ale odgrywające w jej istnieniu niepoślednią rolę. Aż dziw, że trwała ona tak długo. Zawdzięczać to trzeba chyba matce, najbardziej wyrozumiałej i naj-

bardziej ludzkiej w tym małym światku.

Gdy syn osiągnął wiek dojrzały i po raz pierwszy wrócił do domu z wynagrodzeniem za pracę, ojciec z poważną miną wydobyl z kieszeni papierosy, a z kredensu butelkę wódki.

— Pracujesz już na siebie, możesz więc zapalić sobie przy mnie i wypić jeden kieliszek wódki. Jesteś już mężczyzną. No bierz, nie wstydź się... Jak dają, to trzeba brać, a jak biją, to uciekać. Wykierowałem cię na ludzi...

Wypili. Ojciec z powagą, podobnie jak przy spełnianiu obrzędu religijnego, syn zastaniając dłonią usta. Potem zapalili papierosy. Matka spoglądała na nich i uśmiech — rzadki gość — pojawił się w jej oczach. Ten świąteczny nastrój zepsuł się szybko. Zaczął ojciec:

— Dużo dostałeś? Pokaż...

Syn ociągając się wysuplał z kieszeni tysiąc złotych i położył na stole. Ojciec starannie przeliczył pieniądze, potem schował do bocznej kieszeni.

— A gdzie koperta? — zapytał podejrzliwie. — Nie próbuj mnie oszukiwać... Wiedz o tym, że ja nie potrzebuję twoich pieniędzy. Schowałem je dla ciebie...

— Świątecznych butów nie mam... — wtrącił syn pochmurnie.

— A po co ci nowe buty. Te, co masz, jeszcze na długo mogą wystarczyć. Tylko trzeba szanować. Pamiętaj, że co dzisiaj zaoszczędzisz, to ci na starość zostanie.

— Niech mi ojciec da spokój — wybuchnął syn. — Przestałem już być dzieckiem.

Sytuację pozornie uratowała matka. — Zawsze jesteś i będziesz dzieckiem swoich rodziców. A ty, stary, też mógłbyś dać mu spokój. Powinien mieć parę złotych przy duszy. Przecież to już kawaler.

— Kawaler... kawaler — przedrzeźniał ojciec. — Albo to nie widzisz, co się dzieje z tymi kawalerami, co pieniądze mają. Nic tylko wódka i birbantka. Jak mu potrzebne są pieniądze, to niech powie na co i ja mu dam.

Syn podniósł się jakby z wysiłkiem, spojrzął na ojca a potem sięgnął do bocznej kieszeni i rzucił na stół ponad dwieście złotych.

— To wszystko — powiedział i wyszedł.

Od tego wypadku zapanowała ciężka atmosfera. Matka w tajemnicy przed ojcem wsuwała synowi do kieszeni parę złotych, aby miał na papierosy i inne drobne wydatki. Tłumaczyła mu przy tym często:

— Jesteś już dojrzały i powinieneś rozumieć, że ojciec pragnie tylko twojego dobra. Może ma trochę ciężki charakter, ale to przecież ojciec.

Syn przyjmował pieniądze i nauki w milczeniu. Chodził nachmurzony, z nisko pochyloną głową. Matka, znająca go bardzo dobrze, wiedziała, że w jego duszy trwa walka. Wychowany w poczuciu bezwzględnej posłuszeństwa rodzicom, wyliczał się z każdej wypłaty, ale uważał obserwator — a takim przecież jest matka — wiedział, że musi przyjść do starcia między ojcem i synem. Matka strzegła całości rodziny, jak tylko zdołała, lecz było to lekarstwo, które mogło powstrzymać proces chorobowy, lecz nie likwidowało go.

Nadszedł wreszcie dzień, gdy zerwanie stało się nieuniknione. Była właśnie niedziela. Matka strzegła całości pokoju na kanapie, ojciec śleczął w kuchni nad gazetą.

— Niech mi ojciec da dwieście złotych — poprosił go syn, który wszedł do kuchni z papierosem w ustach i rękami w kieszeniach. Zachowywał się wyzywająco, ale głos mu drżał i zdradzał, że takie zachowanie jest tylko pozą, mającą zamaskować zdenerwowanie i obawę.

Ojciec przerwał czytanie i podniósł wzrok. Spojrzenia ich spotkały się na moment. Syn natychmiast opuścił wzrok.

— Na co ci tyle pieniędzy? Bój ty się Boga...

— Umówiłem się na popołudnie... Potrzebuję kupić bilety na zabawę... Chyba ojciec rozumie.

— Z dziewczynką? — zapytał ojciec, przymrużając filuternie oczy.

— Z dziewczynką. Ojciec nie zmużał już oczu. Patrzył na syna z politowaniem.

— Aleś ty jeszcze głupi! Najprzód

ANTONI MADEJ Stokrotki jesienne

Wśród rdzawej traw zieleni,
gdzie zwidłe mlecze i tymotki,
w późnych grudniowych dniach jesieni
kwitną stokrotki.

Piątego grudnia, dziesiątego,
choć mroźne, ostre jest powietrze,
i mija nawet płtnastego,
a one kwitną jeszcze.

Podziwu godzien jest ten kwiatek
w uporze trwania i kwitnienia,
jakby nadzleł wąty płatek
wśród cierpień i nieszczęścia.

Nad smętnym ziół i traw ementarzem
płonie stokrotek biel samotna,
jak płoną blade wierzniów twarze
wśród niemych na spacerze spotkań.

MAREK ADAM JAWORSKI Italia

Błękitne jest niebo, mroczna jest Italia:
jak można wargom błękitu uchylić,
jak można w dłoniach unieść błądy oblok,
jak można...
gdy usta stygną, nie rozgrzane chlebem,
gdy ręce nawet oddechu nie dźwigną,
gdy oczy patrzą i przez lzy nie widzą?

Błękitne jest niebo, mroczna jest Italia:
Włoszko zrodzona w dwudziestym wieku,
w dwudziestym wieku zabito ci matkę,
kochala wolność więcej niż dolary,
kochala słońce, wierzyła w człowieka.

Błękitne jest niebo, mroczna jest Italia:
w dwudziestym wieku zabito ci ojca,
kiedy z fabryki wybiegł na ulicę
i przed parlamentem
szłandar czerwony na wiehrze rozwinął

Błękitne jest niebo, mroczna jest Italia:
słońce nie zbłądzi do śliskich suterren,
a tylko dłonie robotnicze
silniej się zamkną na drzewcu szłandaru —
jutra czerwieni.

Od Malmaison do Puław czyli Odyseja polskiej Korynny

ANNA
JAKUBISZYN-TATARKIEWICZOWA

Jak jubileusze, to jubileusze, jak rocznice, to rocznice: naszym artykułikiem „odfajkujemy” aż dwie, co prawda nie najważniejsze i po części spóźnione. A mianowicie w ubiegłym roku minęło dokładnie sto lat od ukazania się polskiego przekładu „Korynny” pani de Staël, a w tym roku mija lat sto sześćdziesiąt od urodzenia się pisarki, która przekładu te-

SKARBIEC ARCYDZIEL PISMENNICZYCH EUROPY.

KORYNNA

CZYLI

WŁOCHY

przez Panią de Staël.

..... L O G O W

ILLUSTRACJA G. STAALA



WARSZAWA

Wydawnictwo S. H. MIERZWAŁA, 1922.

go dokonała — Lucji z Gedroyców Rautenstrauchowej*).

Rautenstrauchowa nie cieszy się zbyt dobrą opinią u polskich historyków literatury (o czym niżej), ma za to wcale chlubne miejsce w dziejach stosunków kulturalnych polsko-francuskich doby romantyzmu.

Przyszła baronowa Rautenstrauchowa urodziła się w 1798 r. w Bobcinie na Litwie w książęcej rodzinie Gedroyców. Ojciec jej, Romuald Gedroyć, był dobrym patriotą i dzielnym wojakiem; nie zabrakło go w walkach niepodległościowych, których widownią był tragiczny dla Polski schyłek XVIII i początek XIX wieku. W 1798 roku, bawiąc w Paryżu, Gedroyć poznał bliżej Józefinę de Beauharnais, a za jej pośrednictwem — generała Buonapartego. Jak głosiła legenda rodzinna (oczywiście rodziny Gedroyców) należał ponoć do ludzi, którzy zachęcali piękną kreolkę do posłubienia niepozornego Korsykańczyka. W 1812 roku Cesarz Napoleon, przybywszy do Wilna, wezwał Gedroycia i polecił mu organizację polskich oddziałów; jako dowódcą jednego z nich, generał Gedroyć wziął udział w kampanii rosyjskiej. Gdy w czasie odwrotu w 1813 roku dostał się do niewoli, żona jego wraz z dziećmi wyjechała do Paryża; starsza córka, Kunegunda (późniejsza Białopiotrowiczowa), powołana była już dawniej w poczet dam dworu cesarzowej Józefiny. Józefina, która mimo rozwodu zachowała przywileje cesarzowej, miała w Malmaison swój dwór. Panny Gedroyć poznały tam członków rodziny Bonaparte; młodzianka Lucja bawiła się najczęściej z mało rozgarniętym chłopakiem, który na wszystkie pytania odpowiadał: „oui-oui”: ten — jak go nazywano — księżę Oui-oui wyrósł potem na niefortunnego władcę Francuzów, Napoleona III.

Ze śmiercią Józefiny zakończył się pierwszy pobyt Lucji we Francji; generał Gedroyć został szybko zwolniony i przywrócony do łask przez Aleksandra I; połączona znów rodzina zamieszkała w Warszawie. Gedroyć, zwolennik wszechstronnego kształcenia kobiet, zaprowadził kiedyś córki na odczyt Osiańskiego. Obecność dwu przystojnych i eleganckich panien na poważnym odczytynie wywołała ogólną sensację. W rezultacie wywiązała się bliższa znajomość z Osiańskim, który zaczął bywać u Gedroyców. W ślady słynnego obrońcy klasycyzmu poszli inni przedstawiciele warszawskiej literatury i w domu Gedroyców powstało coś w rodzaju salonu literackiego. W tej sprzyjającej atmosferze szybko zadeklarowały się skłonności pisarskie młodszej córki. W 1812 roku Lucja zadebiutowała powieścią pt. „Emmelina i Arnolf”. W tymże czasie Lucja posłubia znacznie starszego od siebie wdowca, generała Rautenstraucha, spowinowaconego z Czartoryskimi. Nie musiał to być jegomość niezbyt czarujący. Odynieć, który był częstym gościem w pałacyku

* Postać Rautenstrauchowej — o ile nam wiadomo — nie była dotychczas bliżej opracowana; fakty i anegdoty podane w naszym artykule zaczerpnięte zostały z własnych wspomnień Rautenstrauchowej i ze wspomnień jej współczesnych.



Pluskwa i literat

Skarżyła się pluskwa ścianie:
„Co to za boskie skaranie.
Prześladuje mnie ten literat,
tetryk i gderacz.
Chociaż to jest paradoksem,
goni za mną z Azotoksem...
A sam przecie zmarłby z głodu,
gdyby nie pił krwi narodu,
nie żywił się jego życiem,
jak ja za ściany obiciem
(gdy mi się to zrobić uda!)
pijąc z jego psiej krwi źródła...”

Byłaby bardziej rozległa
skarga ta, lecz tutaj skarżąca poległa,
co fortunne jest, bowiem zanadto się
mnoży
poniektóry posożył.

KAZIMIERA IŁLAKOWICZÓWNA

Z cyklu: POZNAŃSKIE SZWARGOTKI *

Żona klasyka

Rzekła żona do męża: „Co mi po Senecie,
kiedy mi cukru zbrakło i po masło lecę.

Wszystkie twoje Scypiony tudzież Hanibale
— nie warte wiązki drzewa, którym piec rozpale.

Daj mi pokój z Kalpurnią, Volumnią i Porcją
i lepiej od piekarza przynieś żuru porcję”.

„O tempora, o mores”, westchnął biedny klasyk,
i poszedł do piekarza, bo takie są czasy.

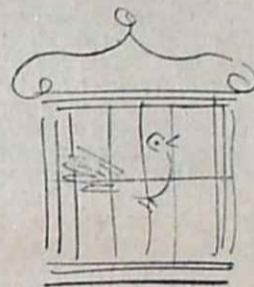


Romantyczność

Rozmyślał poeta nad chuliganem
Zabijakiem
jako takim
i jego życiem złamanem...
I że to pewno talent,
lecz nie zrozumiano go weale;
że chodzi — wyklęty jak Demen
lub Korsarz, czy kapitan Nemo,
albo malowniczy Beduin.

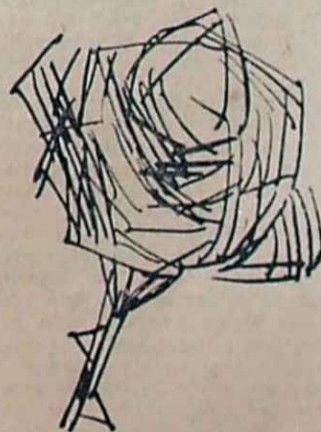
Tak rozmyślał błądząc wśród ruin
i nie odgadł nigdy poeta,
gdy dostał przez łeb kastetem
jako takim,
że się spotkał dnia tego
właśnie z Zabijakiem.

Pieszczoch i prostak



Zjadł głodny Burek padłe mięso
— struł się.
Kanarek w klatce na swym przecie
dziwi mu się.
„Głupie psisko”,
pieszczoch pisnął,
„to mi wety!
Tacy jak on — łapezywi
byle padłem się żywią...
Ja bym tego nie tknął.”

Róża



„Niech będzie jak kto chce”,
rzekł raz Helliodor do Piotra,
„byłoby się ot w tym szkle
bezczenna róża nie zgniotła”.

I było, jak kto chciał,
a gdy znów porządek nastał,
i ślad zaginał po tamtych
— została róża i basta.

Barok

Kolumna wymawia poręczy,
że zbyt podobna do tęczy;
krata docina kolumnie,
że krzywa i że lada chwila runie;
rozeta pogardza kratą
za ozdoby jej — sute nadto.

Co u licha z tym barokiem,
że tak w nim niepokój?
Trochę tak — dajmy na to —
jest i u literatów.



JERZY MIECZYŚLAW RYTARD

Braterstwo

Zielony cień zalega trakt rozliskrzony.
Do wyciągniętych dłoni tuł się szalejące
stada istot jaskrawych.
W górze, w szkarłatnych promieniach, pędzą
roześmiane zwierzęta.

W
P
R
Z
Y
S
Z
Ł
O
Ś
Ć

Adolf Lekki

*) Cykl ten wchodzi do zbioru, mającego wyjść
w „Czytelniku”, pt. „Lekkomyślne serce”.

W MROKU GWIAZD*

WACŁAW GRALEWSKI

— Wodociągi zepsute, nie ma wody, niech to szlag trafi — rzucał się ma-
lutki, ale niezmiernie zwinny i ruchli-
wy porucznik Wyrwicz.

— Dokola ani studni, ani żadnego
strumyka, a zresztą kto by w takich
ciemnościach chciał szukać wody. La-
two wleźć na jakąś skurwysynską mi-
nę i polecieć do aniołków. Trzeba bę-
dzie o suchym pysku czekać do rana
aż się rozwidni, może wówczas znaj-
dzie się trochę wilgoci. Brr, od dwóch
dni nie myłem się, nie goliłem i w gę-
bie nie mokrego nie miałem.

Ostatnie słowa nerwowego monologu
porucznik wymówił tonem skargi.

Rzeczywiście sytuacja była nieszcze-
gólna. Dywizja nasza osiągnęła Gross-
born, miejscowość położoną w lasach.
Znajdował się tu duży obóz jeniecki,
w którym przebywali oficerowie jugo-
słowiańscy i polscy, a wśród tych
ostatnich znaczna liczba powstańców
oficerów z Warszawy. Natknąłem się
nawet na kilku znajomych. Ale na
dłuższe rozmowy nie było czasu. Szyb-
ko rozstaliśmy się. Oni pomazzerowali
w kierunku stolicy, a my kontynu-
owaliśmy naszą robotę. W różne strony
ruszyły patrole, aby nawiązać kontakt
z nieprzyjacielem i wykryć jego sta-
nowiska.

— Bez jeńców nie pokazujecie się na
oczy, bo będzie krewa — otrzymali
poczenie na drogę.

Rozbite hitlerowskie zgrupowania
cofnęły się bezładnie, ale w gęstych
lasach i w znanym sobie terenie na
pewno pozbierały się do kupy i zorga-
nizowały jakieś punkty oporu.

W danym momencie byliśmy jak ta-
baka w rogu. My również, pospiesznie
idąc naprzód, porzucialiśmy swe od-
działy. Trzeba je było podciągnąć
i uporządkować. Odpowiednie rozkazy
zostały wydane. Teraz trzeba zaceka-
kać na meldunki patroli. Oczekiwanie
było niecierpliwe. Ostatecznie nie wie-
dzieliśmy, czy nieprzyjaciel ma tutaj
odwody czy też nie. Jeśli ma, to może
skorzysta z zasłony leśnej i ciemności
nocnych i uderzyć na nas zniecka.
Choć na ogół w tym okresie naszej
ofensywy nie notowaliśmy niemieckich
akcji zaczepnych. Niemcy w ciągłym
odwrocie wyraźnie zdemoralizowali się
i mimo pozorów pewnego ładu i por-
ządku, jaki zachowywali cofając się,
naprawdę byli moralnie przetręceni.

Jednak mimo wszystko należało za-
chować czujność i nie dać się w głupi
sposób zaskoczyć. Bo teren aż prosił
się o taką niespodziankę.

Wykonywaliśmy nasze czynności w
napieciu nerwowym, które wyrażało
się zwielokrotnieniem słów, jakich po-
denerwowany żołnierz chętnie używa.

A na dobitkę jeszcze ten brak wody.

Obóz w Grossborn był solidnie zbu-
dowany. Obszar skanalizowany i za-
opatrzony w wodociągi. Ale hitlerow-
cy, opuszczając go, zniszczyli pompy
i inne urządzenia. Pospieszne poszuki-
wania nie dały rezultatu. Nawet szta-
bowi różdkarze, co to trofeje potra-
fili dosłownie spod ziemi wyciągać, za-
wiedli na całej linii.

Baraki ustawione były na dużej be-
tonowej płycie, poza którą rozciągał się
już tylko gąszcz leśny. W nocnych
ciemnościach niebezpiecznie było za-
puszczać się w niego.

ACHACZE**), tak z rosyjska nazywa-
liśmy naszą intendenturę, do której
obowiązków należało zaopatrywanie
nas w gorącą strawę, od czterdziestu
ośmiu godzin było niewidoczne. Po-
dobno za szybko maszerowaliśmy na-
przód i oni nie mogli nadążyć...

Wiadomo, kuchciaki od chwili przy-
jścia na świat mają żyłaki na nogach
i ta okoliczność ogromnie zniechęca ich
do wysuwania się na pierwszą linię...

Znakomita część żołnierskich sloga-
nów rzucała była pod ich adresem.

W jednym z baraków znalazłem wy-
godną i dobrze położoną izbę i tu po-
stanowiłem przesłuchać jeńców, któ-
rych zapewne wkrótce dostarczą zwi-
adowcze patrole. Zainstalowany telefon
polowy raz po raz dawał znać o sobie,
to dowództwo armii niecierpliwiło się,
żądając dostarczenia jak najprędzej
szczegółowych informacji o położeniu.

*) Opowiadanie powyższe wyjęte jest
z tomu pt. „Pięść Herostratesa”, który
ukazuje się nakładem Lubelskiej Spół-
dzielni Wydawniczej.

**) Administratiwno-choziajstwienna
czast'

Ale na razie ich nie miałem. Trzeba
było czekać.

Głuche detonacje, dochodzące z pra-
wego skrzydła (tam gdzie front zaj-
mowały sześcioręczne z nami oddziały
radzieckie), wskazywały, że bitwa to-
czy się nadal, że Niemcy stawiają opór.

Przycupnąłem na lewka połamanym
krzeselku i postanowiłem na chwilę
przymknąć jedno oko, czyli inaczej
mówiąc, odrobinię się zdrzemnąć. Dwie
nieprzespane noce dawały mi się moc-
no we znaki.

Spokój trwał jednak krótko. Nagle
rozległ się tupot i hałaśliwie wtargnął
do izby Wyrwicz.

— Hop, hop — wołał — zwycięstwo!
Jest wilgoć i to przednia!

W rękę trzymał powyginaną konew,
w której coś obiecująco chlupało.

— Patrz, tegoś się zapewne nie spo-
dziewałeś.

Zajrzałem do wnętrza. Przy skąpym
blasku małej świeczki zobaczyłem gę-
sty, ciemny płyn.

— Co to jest? — spytałem.

— Wino, czerwone dobre wino, na-
chlałem się do syta, pij!

Przytknąłem usta do banki i pocią-
nąłem. Rzeczywiście było to wino. Cien-
kie, bo cienkie, ale wino.

— Sprawdziłem — ciągnął dalej —
jest tego kilka kadzi. A w magazynie są
worki z cukrem. Można wino pod-
grzać i osłodzić. Wcale niezły napój.

Ale mnie wpadł inny pomysł do gło-
wy. Rozejrzałem się dokoła. W kącie
stało coś w rodzaju prymitywnej umy-
walki z blaszaną starą miednicą.

— Wiesz co, Wyrwicz — rzekłem —
pić będziemy później. Teraz umyjemy
się. Nie ma wody, no to winem. I ogo-
limy się. Może zdążymy, nim patrole
wrócą.

Napełniłem miednicę czerwonym
płynem i szybko i sprawnie dokona-
liśmy zabiegów kosmetycznych.

Po kilkunastu minutach byliśmy od-
świeżeni. Zabieg taki w naszych wa-
runkach miał duże znaczenie psychicz-
ne. Poczuliśmy się pewniej i jakby
mniej zmęczeni. Teraz dopiero zauważy-
liśmy pod ścianą nieduży żelazny pie-
cyk. Postanowiliśmy wykorzystać go
i podgrzać wino z cukrem. Połamałszy
stołek na małe kawałki. Wkrótce żywo
płonął ogień.

Gorące wino z cukrem dodało nam
wigu.

— Dobrze by było przespać się —
powiedziałem przyciągając się i zie-
wając. — Dwie doby bez przerwy
jesteśmy w akcji.

Niestety, rzeczywistość przemówiła
do nas licznymi i ciężkimi odgłosami
kroków. Drzwi się otworzyły. Stał
w nich dowódca pierwowzoru patrolu,
jaki został wysłany, sierżant, którego
zwiadowy przewalili, z nieznanymi
bliżej powodów, Kapiszonem.

— Panie poruczniku — zameldował —
są jeńcy. Jeden oficer, jeden podoficer
i dwóch szeregowych. Nakryliśmy ich
jakieś trzy kilometry stąd za błotnistą
rzeczką. Zdaje się odbili się od swego
oddziału. Oficer jest kiepski.

— Wprowadź ich — dałem rozkaz.
Za chwilę w drzwiach ukazało się
czterech ludzi. Dwaj z nich podtrzy-
mywali trzeciego, który zwisał im pra-
wie w rękach, trzymając się mocno za
brzuch. Czwarty, ten właśnie wymie-
niony przez Kapiszona podoficer,
wszedł ostatni. Był to kępny, dobrze
zbudowany osobnik o ciemnych nie-
spokojnych oczach. Stał, wyprostow-
wał się służbiście, stuknął w obcasy
i wyrecytował:

— Melduję posłusznie, Unteroffizier
Kurt Schneider z III batalionu piechoty
morskiej. Niech piorun trzaśnie Hi-
tlera!

— Skąd się tu wzięła piechota mor-
ska? — spytałem. — Dajcie Wasz Sold-
buch.

Schneider szybko wyciągnął z kie-
szeni i podał żądany dokument. Rze-
czywiście potwierdził on jego słowa.
Podoficer miał przydział do wymie-
nionej jednostki.

— Tu walczą cała Brygada Piechoty
Morskiej łącznie z grupą szkół arty-
leryjskich, które stacjonowały w Gross-
born.

Schneider udzielał szybko i dokład-
nie informacji, uprzedzając pytania.
Widocznie uważał, że w ten sposób
asekuruje swą skórę... We wszystkim
co mówił starał się okazać użyteczny
i zyskać nasze uznanie.

W chwili, gdy chciałem mu zadać
następne pytanie, rozległ się głośny

jęk i podtrzymywany przez towarzy-
szy żołnierz osunął się na kolana.

— Co mu jest i co to za jeden? —
spytałem.

— To kapitan Jaenicke — lekarz ba-
talionowy. Jest ranny — informuje
usłużny podoficer.

— A ci dwaj?

— Szeregowcy z mojej kompanii.

W tym momencie ranny kapitan za-
czyna robić ruchy, jakby chciał pod-
nieść się. Żołnierze pomagają mu
wstać. Zwolna prostuje się i podnosi
głowę. Widzę szaro-żółtą twarz, przy-
gasłe oczy i wykrzywione drgające
wargi. Zaczyna coś mówić. Początkowo
bardzo niewyraźnie. Twarz ożywia mu
się nieco. W oczach migoczą szkliste
błyski. Wygląda jakby miał gorączkę.
Wyschnięty język w wyschniętym gar-
dle źle się porusza. Obraca powoli
głowę. Chwilę patrzy na miednicę.
Wyciąga rękę i pokazuje na nią.

Nie mam czasu na dalsze obserwacje.
Lada chwila zacznie dzwonić telefon.
Dowództwa będą żądać informacji.
Trzeba z jeńców wydobyć co się tylko
da. Oficer, choć lekarz, może wiedzieć
więcej. Podchodzę do stołu, biorę kubek,
napełniam go do połowy winem, zbli-
żam się i wyciągam rękę. Jeden z żoł-
nierzy bierze ode mnie kubek i przy-
tyka kapitanowi do ust.

Ranny chciwie pociągnął, ale kon-
wulsyjnie zadrzał. Kilka razy zaczął
gwałtownie. Potem znów pociągnął gło-
wę do kubka i głośno pociągnął. Czer-
wona ciecz spływała mu po brodzie.

— Dziękuję — powiedział po polsku,
acz z wyraźnym obcym akcentem —
bardzo dziękuję.

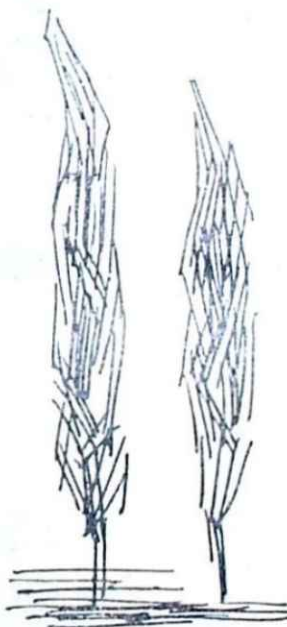
Wzrok jakby mu na chwilę przejaśnił
się. Spojrzał przytomnie.

— Mówi pan po polsku? — spytałem.

— Tak, znam polski język. Mówię
niezbyt dobrze, ale rozumiem wszystko.
Literatura... Poezja... To bardzo lubię.
Umiem dużo wierszy polskich... Młoda
Polska...

Urwał i jęknął głęboko.

— Jest pan ranny? — spytałem.



WŁODZIMIERZ
SŁOBODNIK



Topole stoją smutne,
Smutne i wysokie
Pod siwym zmrokiem.
Cisza brzmi głośniejsz
od przyplwy fal.
W sadoch już wkrótce biela
Garbate jabłonki wystrzela,
Wiatr mazowiecki poszerza dal
O jeden wielki żal.

ANNA KAMIENSKA

Na przedmieściu

Toczą się kęzi, obrzece
chodnikami, strychami.
Pędzą je chłopy boso.
Każdy kamień jak klawisz
pod piętmą oddzwania,
brzęczą świetliste obrzece,
bija skrzydłami pyłu.
W bramie zakochani bezdomni
wymienają blaznane obręzki.
Osłabym, oślepiłm łzami
cudze schody grają marsz weselny.

Otworzył szeroko usta, ale nie wydo-
było się z nich ani jedno słowo. Znow
wolno wyprostował się i powoli za-
czął otwierać zaciśnięte dłonie. Unosił
z lekka połową wiatrowkę, w którą był
ubrany. Spodnie na brzuchu były silnie
zakrwawione. Gdy odjął od nich jed-
ną rękę — rozchyliły się i zobaczyłem
na brzuchu dużą szarpaną ranę, z której
wysuwały się jelita.

Mdły, a zarazem przenikliwy zapach
rozszedł się dokoła.

— Jestem ciężko ranny — wyszeptał
— nie wiem, czy będę żył. Gdyby tak
można szybko do szpitala...

Wciągnąłem głęboko powietrze i za-
cząłem lekki wydmuchiwać, wydo-
mając przy tym policzki. Ten gest, choć
był odruchem, opanował inne odruchy.
Chwilę patrzyłem w stronę drzwi
a potem zacząłem mówić monotonna

— Czy pan będzie żył, nie wiem. Nie
jestem lekarzem i nie znam się na tym.
Nie mamy również w tej chwili tutaj
żadnego patrolu sanitarnego, ani żad-
nych środków opatrunkowych. Posta-
ram się jednak pomóc. Ale przede
wszystkim muszę pana przesłuchać...
W tej chwili toczy się bitwa. Muszę
mieć informacje o położeniu waszych
jednostek.

Jaenicke zaczął nerwowo poruszać
głowę. Tak — tak. Rozumiem. Powiem
wszystko. Ale błagam... potem... do
szpitala.

Nie odpowiedziałem. Przysunąłem do
stołu jedyne krzesło, jakie było i da-
łem znak żołnierzom, aby go posadzili.

Uczynili to ostrożnie i z pieczołow-
tością. Widocznie lubili go.

— Proszę o papierosa — wyszeptał —
będę mógł łatwiej mówić...

Wyrwicz spojrział na mnie, po czym
sięgnął do kieszeni, wydobył papierosa,
wziął jednego w palce i wetknął mu
do ust.

Ranny silnie zaciągnął się dymem
i westchnął lekko, ale z wyraźnym
uczuciem ulgi.

EUGENIUSZ ŻYTOMIRSKI Oleandry i krew

Fragmenty poematu

I na cóż się przed prawdą bronić?
Nie nas nie łączy, wszystko dzieli.
Obcy mi dotyk twojej dłoni
i biel mnie mrozi twej pościeli.

Dobrego — coraz mniej w pamięci,
ciebie zaś nawet głos mój drażni...
Nie nie pomogą dobre chęci:
nie ma miłości ni przyjaźni.

Ale wśród dróg nie widząc drogi,
próbując czas zatrzymać siłą —
szukam w twoich oczach niegdys drogieb
tego, co było... czy nie było?

Oddaj mi moje święty,
oddaj mi moje zmierzchy,
nie wyszeptane szeptu,
nie napisane wiersze.

Oddaj mi dni jałowe,
samotne moje noce,
uśmiechy, które zmarły,
i łzy nie wyplakane.

Oddaj mi wiarę młodą
i młode moje serce —
a wtedy, wtedy może
uwierzę w miłość twoją!

WITOLD ZECHENTER

Wiosenny wiersz

I znów jest wiosna ta sama,
ta sama jak z dawnych lat
i delikatnych drzew plama,
i ten sam nieśmiały kwiat.

I znów jest księżyc ten sam,
jakby go grał Debussy
i jakby pisał go Staff,
ten sam wiersz w powietrzu drży.

I znów to samo wrzucenie
bez treści, bez sensu, bez słów
i na tę samą znów ziemię
śpiew płaków spada wśród snów.

Tą samą zieloną bramą
wychodzę na wiosnę popatrzyć —
tak, wszystko, wszystko to samo,
tak, wszystko, wszystko inaczej...

KAZIMIERZ ANDRZEJ
JAWORSKI

HEINE i GLOSY

(Adaptacje i marginalia)

* * *

Rybaczko, dziewczę słodkie!
Zbliż łódź ku mej ustroni!
Choć tutaj, usiądź przy mnie,
pogwarzmy z dlonią w dloni.

Złóż główkę na mym sercu,
nie lękaj się mnie wcale!
Wszak płyniesz bez obawy
na dzikie morskie fale.

Me serce też jak morze,
przypluwa i odpływa
i wiele pięknych pereł
na jego dnie spoczywa.

Glosa

Rybaczko! Nie wierz słowom
poety i szaleńca.
Nie ufaj tym namowom,
nie szukaj przy nim wieńca.

Syrenie to są glosy,
uwodzicielskie śpiewy!
Raczej na fal pokosy!
Raczej na wichru gwiewy!

Zapomni jutro wszystko
przy boku mojej pani.
A tobie wód otchlisko!
A tobie mrok otchlani!

Kobieta

Serca ich w jeden biły ton,
ona — kokotka, złodziej — on.
Gdy on wytrychem sprytnie działał,
ona się w łóżku głośno śmiała.

Dzień jak radosny pędził koń.
Nocą na piersi czuł jej skroń.
Gdy do więzienia straż go brała,
ona się w oknie z niego śmiała.

Zza krat jej przysłał krótką wieść:
„Tak strasznie tęsknię. Jak to znieść!
Wołam cię, pragnę twego ciała”.
Ona się, kręcąc głową, śmiała.

O szóstej kark mu skreślił stryk,
o siódmej już pod ziemią znikł;
ona o ósmej sobie wstała
i pijąc wino wciąż się śmiała.

Glosa

Jakim prawem, gorzki Heine,
tytuł wiersza brzmi: „Kobieta”?
Skąd to przyszło, że poeta
utożsamia różę z lajmem?

Nazbyt wiele w tym ironii,
wiem — pisał wiersz ten złością;
stary ból ci świat zasłonił
i sztyłem w serce kłuł cię.

Glosa

Śmierć to chłodnej nocy cień.
Życie — duszny letni dzień.
Zmierzcha już i noc się święci.
Dzień mnie znużył, sen mnie nęci.

Nad mym łóżem rośnie dąb,
słowik śpiewa w nocy głąb,
o miłości kładka pieśni,
które słyszę nawet we śnie.

Glosa

Jeszcze mnie dzień nie znużył
i snu nie pożądam,
a gdy oczu twych gwiazdy
nabożnie oglądam,
chciałbym patrzeć w nie zawsze,
nim na tamym brzegu
zaświecą mi gromnice:
Antares i Wega

STEFAN WOLSKI

Smutek

Myśli moje muszą być smutne,
myśli moje muszą być smutne...
Znow człowiek wynalazł
bombę,
misterna, nową maczugę;
takich kilka ma siłę wybuchu
wszystkich
czasu wojny mojej młodości.
Moje myśli muszą być smutne.

A rakietą
o głowicy atomowej
może nieść żniwo,
na sierpce śmierci nagłej
na drugą półkulę.
Moja mowa musi być smutna.

Ludzie z minami apostołów
lub pustelników,
świętych
i dobrodziejów tej ziemi
odprawiają obrzęd zabójstwa
narodów,
białych i kolorowych.
Moje serce musi być smutne.

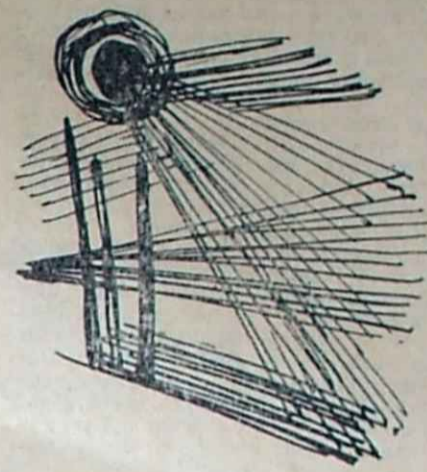
Moje słowa są nagie i proste
jak prawda człowieka
obnażonego na stole chirurga,
w reflektorach,
z których jeden pyta:
„czym jesteś, ty?...”
a drugi krzyczy:
„dokąd?...”
Mowa metaforyczna byłaby zdradą.
Ten smutek każdy musi zrozumieć.

Widziałem sztuki Becketta,
Ionesco i Dürrenmatta.
Prosta dziewczyna w teatrze
szepotała: „Boże... Boże...”
i oczy jej otwierały się,
otwierały się,
aż stały się wielkie
jak zgroza.
Przez jej trafione serce,
zrozumienie
i lęk
moje wiersze muszą być smutne.

Dlatego
wy,

którzy budujecie dramaty,
nowele i powieści,
którzy wiążecie mowę
w bukiety metafor i syntez,
kładźcie się na szynach czasu,
na drodze,
która świat pędzi
do czarnej pięści nieszczęścia.
A dotąd
zbyt niepewni
gotowicie umrzeć.

Ale teraz,
gdy trzeba nam mówić
o bezsensie istnienia,
moje wiersze muszą być smutne,
muszą być smutne,
choć
ja
nie chcę,
nie chcę.



RYSZARD LISKOWACKI

Zabłąkani

Będziemy się szukać długo
po tym ranionym lesie —
nasze glosy już nie są smugą
światła.

Przejdziemy obok siebie
ślepi jak krety w słońcu.
Porani nam twarze grzebień
gałęzi.

W jednym źródle zwilżymy
nasze lękające wargi,
lecz dla każdego będzie inny
smak wody.

Znajdą nas ludzie wreszcie,
poznają po ślepych oczach,
lecz nikt nas nie wyprowadzi
na ścieżki
powrotu.

JAN NAGRABIECKI

Ziemio

Janowi Parandowskiemu

Ziemio koloru zielonego
koloru porywistych obłoków
ziemio dymiących traw
palących się kości pni borów
ziemio siewooka
ziemio sypiących się barw
żarzących się jesienią barw
sypiących się na życie
jak liście miedziane
na chodnikach

Ziemio milknącej symfonii
która rozlata swoje kruźganki
wije doryckie kolumny
fontanny deszczu
mieniące się w pawie ogon
ziemio wielkanocna pisanka
ziemio potykająca rozumy
ziemio ziemio kto wie
jaka jeszcze

Ziemio moja kolebko
mój fundamento
moja trumna
mój pokarmie
przemijanie wieków
plonący okręcie
ziemio na czterech kolumnach
czterech stron świata



Wacław Grąlewski

Jego towarzysze pociągnęli pożądliwie
nosami.

Zbadawszy dokumenty i wszystkie
papiery, jakie miał przy sobie, zaczął
zadawać pytania. Z kolei rozłożył
przed nim mapę. Lekarz świetnie
orientował się w topografii. Wprawnie
wskazał punkt, w którym znajdowa-
liśmy się, po czym określił przypusz-
czalne stanowiska swoich oddziałów.
Potwierdził obecność Brygady Morskiej
i zgrupowania szkół artyleryjskich
z Grossborn.

Dowiedziałem się następnie, że na
północ-zachód od linii głównego oporu,
jakieś 10—12 kilometrów stąd, był
szpital polowy w miejscowości Ditter-
dorf. Tam też stała jakaś jednostka
pancerna i grupy Volksturmu. O jak-
imkolwiek przeciwdzierzeniu mowy
być nie mogło.

— Wiem, jaki panuje nastrój.
Wszystko się rozlaźni. Tworzenie punk-
tów oporu ma wyłącznie charakter
obronny i opóźniający. Oddziały w tym
rejonie mają umożliwić wycofanie się
sąsiednim dywizjom...

Wyczerpany daniem informacji,
zgiął się na krześle i głowę oparł o stół.
Z czoła spływały zawiesziste krople
potu.

Po upływie pewnego czasu znowu ją
podniósł. Twarz miał jeszcze bardziej
szarą i cierpiącą. Szklisty połysk oczu
wskazywał na wzrost gorączki.

— Nie mogę więcej mówić — wyszeptał
urywanymi słowami. — Chcę żyć...
Szpital... to nie jest źle... to można...
leczyć. Tylko trzeba prędko... —

Zaterkotał telefon. Mówił szef wy-
wiadu, pułkownik D.

Zameldowałem, że mam jeńców
i streściłem informacje.

— Kapitan wie dużo o położeniu
wojsk własnych, ale jest ciężko ranny.

— Jeśli wie dużo, to zaraz przyślę
po niego. Niestety sanitarki nie mamy.
Mogę posłać zwykłą ciężarówkę. Wy-
trząś go trochę, ale później odpočinie
sobie w szpitalu. Diabli go nie wezmą.
A resztą nie czas na ceregiele!

Rozmowa się urwała.

Zwiad armii znajdował się o kilka-
nastu kilometrów od miejsca naszego
postępu. Ciężarówka mogła przyjechać
najwcześniej za pół godziny.

Zakomunikowałem lekarzowi, że i on,
i towarzysze przewiezieni zostaną do
dowództwa armii...

Popatrzyli na mnie niespokojnie, jak-
by chcąc się upewnić, że nie spotka ich
żadna niespodzianka...

Uporządkowawszy notatki, zatelefono-
wałem do dowództwa własnej dywizji.
Z kolei zaczęły dzwonić zwiady pułko-
we. Informacje potwierdzały się. Bryga-
da Morska, szkoły artyleryjskie i jak-
ieś luźne oddziały.

Sytuacja zaczęła rysować się wyraź-
niej. Akcji zaczepnych ze strony nie-
przyjaciela nie należało się spodziewać.
Można było odetchnąć.

Spojrzałem na kapitana. Patrzył u-
ważnie na mnie. W jego skupionym
wzroku tkwiła jakaś jedna uparta
myśl.

— Aha — zacząłem — mówił pan o
pewnej znajomości literatury polskiej.
Zanim nadjedzie auto, możemy na ten
temat słów kilka zamienić. Zdaje się
wspominał pan o Młodej Polsce. Jakich
poetów tego okresu pan zna?

Zanim odpowiedział, zaczął mu
drgać powieki. Upięknęła dłuższa chwi-
la.

— Wyszpiński i... i... drugi, lubię
go... Myszynski.

— Myszynski, nie słyszałem o ta-
kim?

Znowu zapadło milczenie. Widziałem,
że Jaenicke robi wysiłki, aby sobie coś
przypomnieć. Wreszcie zaczął mówić.
I o ile zorientowałem się, że wymawia-
nie nazwisk robi mu trudności, wypadł
tekst, który zaczął przytaczać, wypadł
bardziej poprawnie.

Gwiazdy... nade mną... wydały... są...
wieczna... jest ciemność... wieczny jest
błąd...

Tylko słowo ciemność wymówił jak
czernoszcz.

— Aha — to Miciński, Tadeusz Mi-
ciński. „Ananke”!

Na twarzy niezwykłego recytatora
zajaśniał mdły uśmiešek. Ale szybko
zgasł. Znowu mu głowa opadła na stół.
Zacząłem chodzić po izbie. Miarowo,
tam i z powrotem. Pragnąłem, żeby
ciężarówka przyjechała jak najszybciej.
Ale nic nie wiadomo. Kierowca mógł
zabłąkać się na leśnych drogach albo
i „wyskoczyć” na jakieś minie. Prze-
dużyłoby to trochę sprawę i opóźniło
wytransportowanie jeńców.

Znowu obok baraku rozległy się kroki.
Wrócił drugi patrol i przyprowa-
dził dwóch jeńców. Byli to zwykli sze-

regowcy, woźnice z taborów. Ci nie-
wiele wiedzieli, ale także potwierdza-
li obecność Brygady Morskiej i artyler-
zystów.

Właśnie skończyłem badanie ich, gdy
nadjechała ciężarówka. Do izby wszedł
podoficer z dwoma żołnierzami.

— My po jeńców i po tego kapita-
na — pokazali odpowiedni dokument.

Lekarz wstał z trudem. Widać było
wyraźnie, że stan jego pogorszył się.
Żołnierze, jego towarzysze, tak jak i
poprzednio z dużą troskliwością wzięli
go pod rękę.

Ranny patrzył na mnie uparcie.

— Czy będę żył... czy będę...?

— Aha — pomyślałem — boi się, że
go rozwalimy. — Teraz zrozumiałem
jego pytanie i tę upartą jakąś myśl,
jaka wyzierała z jego spojrzenia.

Skinąłem tylko głową i dałem znak.
Cała grupa ruszyła ku drzwiom. Posze-
dłem za nimi. Zwolna przekroczyli próg
i powoli podeszli do samochodu. Jeń-
com pomogli nasi żołnierze. Rannego
podniesiono do góry na rękach.

Zajrzałem do wnętrza ciężarówki. W
kącie ułożona była duża ilość słomy
przykrytej kocami.

— Przynajmniej to... — pomyślałem
i odetchnąłem z pewną ulgą. Samochód
ruszył i zaczął się oddalać. Kilka ra-
zy podskoczył. Widocznie trafił na wy-
boje.

Spojrzałem w górę. Niebo było wy-
gwieżdżone i plonęło głęboką granato-
wą jasnością. Na chwilę przymknąłem
oczy, a potem otworzyłem. Przez mo-
ment wydawało mi się, że niebo moc-
no pojaśniało, a gwiazdy pociemnia-
ły, tak jakby w jasną powierzchnię
wszechświata wbito liczne czarne kółki.

Ale trwało to tylko chwilę.
Z nastroju wyrwał mnie głos Wyrwi-
cza, który hulaśliwie mnie wzywał.

— Gdzie jesteś, chodź tu. Rewelacyj-
ne odkrycie!

Wolno wróciłem do izby. Okazało się,
że Wyrwicz w magazynie wymyszkował
korzenie.

— Ha, teraz dopiero będzie picie.
Wino nie tylko z cukrem, ale i cyna-
monem! Pycha nie z tego świata!

Patrzyłem, jak nalewa wino do kub-
ka i czułem, że powieki mimo wysił-
ków opadają jak żelazne kurtyny, od-
działając mnie od otaczającej rzeczywi-
stości.

Stoczone boje*

WŁODZIMIERZ CHELMICKI

Troje przyjaciół wyruszyło do pobliskiego lasu. Wyglądem bardzo się różnili. Łączyła ich żyłka myśliwska i coś więcej jeszcze, co wynikało z potrzeby wspólnej istoty niewyżytych, żądnym przygód. Na przedzie biegła Muszka, mała, czarna, podpalana jamniczka o delikatnej, połyskującej sierści i oczach świadomych wielu spraw ludzkich. Za nią kroczył czternastoletni wyrostek z flowerkiem na ramieniu. Szedł lekkim krokiem, a to dzięki harmonijnej budowie i suchości kończyn. Pochód zamykał drugi czworonóg — Darek. Gdyby nie proste nogi i dobrze odkryte zęby, można by dopatrzeć się w nim protoplasty buldoga. W jego nieco przekrwionych oczach nie dostrzegało się łatwo ujawnianego wesela. Krótko trwające bliski w tych wymownych ślepiach i parę poruszeń przyciętego ogona zdradzały jednak, że nie obce mu były radości tamtej, bardziej dziecięcej w swych objawach pary. Pies ten nigdy nie szczekał, jakby przekładając milczenie nad tak niegodny sposób manifestowania swych uczuć. Była to w swoim rodzaju powaga bez tej napauszonności, jaka cechuje często w powagę strojących się ludzi.

Jaś przyjeżdżał przed pierwszą wojną światową na wakacje do wuja, nadleśnego lasów państwowych na Podlasiu. Wuj nie miał dzieci i bardzo lubił siostrzeńca, a sam będąc zawołanym myśliwym i miłośnikiem natury, podzielał upodobania chłopaka.

Młody myśliwy, marząc o fuzji, na razie musiał zadowolić się 9 mm flowerem. Można było z niego uśmiercić nawet koziołka, którego miękki żywot idzie w parze, jak to zwykle bywa, z łagodnością charakteru. Na szczęście dla zwierzęcego moment pociągnięcia za cyngiel połączony był u młodego strzelca z emocją, a wynikiem emocji — pudło!

Było lato. Na piękno świata w pełni jego dojrzałości człowiek „roboczy”, umęczony pracą i upałem, patrzy nie „widzącymi” oczyma, artysta czasem esencję tego piękna wykorzystuje — chłopię przybyłe na krótko z dusznej ciasnoty miejskiej czuje jego odczucie.

Jerzyki, niby jaskółki, pędząc z piskiem w zawrotnym tańcu, upojone lotem, szalały z uciechy. Na niebie ostrodziobe drapieżniki, zataczając wielkie koła i kwiląc przeciągle, głośno zalekniomym ofiarom panowanie bru-

talnej siły, przedziwnie pogodzonej z harmonią świata.

Ładny kraj to Podlasie, ładny dla podlasiaka, bo nie oceni jego urody mieszkaniac ziem rodzących pszenicę. Sosna jest tu główną częścią składową pejzażu. Rośnie kępami w lesie i na polu jako szanowana pamiątka po wielkich borach. Z sosny powstaje chata, łożo i trumna. Gdzieniedzie szumią wrażliwe na najmniejszy wiatr przydrożne topole-olbrzymy, znaki dawnych królewskich szlaków. Obfite są wody, płynące i zastygłe, o kolorze nieba albo czarne z nadmiaru pochłoniętych istnień. O pociągającej sile tej ziemi (mimo zdawałoby się nie „widzących” oczu) świadczy fakt, że emigracja mało stąd porwała ludzi.

Nasza hultajska trójka rażno się posuwała brzegiem wielkiego stawu, porośniętego sitowiem i ozdobionego wysepką — miniaturą dżungli. Słońce jeszcze z wysoka spoglądało na świat: dopiero obniżywszy się miało rozpocząć swoją kąpiel, powtarzaną każdego ranka i wieczora.

Wrona ostrzegła leśne stworzenia przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. Wiedziała ona dobrze, czym jest broń palna w rękach człowieka. Weszli do lasu starając się czynić jak najmniej wrzawy. Las był mieszany: sosna walczyła o lepsze z grabiną i dębiną. Gęste podszycie stanowiło dobrą ochronę dla zwierzęcy.

Wiele tu było jam, w których futerkowy zwierzę, nie posiadający ludzkich zdolności przewidywania, czuł się bezpieczny.

Wtem szszuur... mignęło coś koło nogi Jasia! Muszka w ogromnym podnieceniu, wyskakując ponad niższe krzaki i poszczekując, popędziła tajemniczego miészkańca gęstwiny. Darek porzucił minę lorda. Mocną pierśią prul krzaki. Milczkiem. Nie dał się wyprzedzić Jasiowi, który ogarnięty szaleem opętańczym pędził dosłownie na złamanie karku, potykając się i waląc na ziemię, by, nie czując na obrażenia ciała, zerwać się i pędzić dalej. Zapędzony dojrzał w końcu Darka zastygłego nad jamą i z natężeniem wsiłuchującego się w odgłosy walki, ostro prowadzonej przez Muszkę. Sytuacja obu gapiów stawała się groteskowa: mała psina zdana była na własne siły. Jaś, zaniepokojony chrapiwym tonem znanego mu tak dobrze głosu, zaczął nawoływać: „Mucha, Muszka, wróć!”. Rozwścieczony w walce pies nie zważał na to — atakował dalej. Zwierzę przyparte do kończącej

się ścianą bronilo się zaciekle przed zębami wroga. Pies uważał za swój psł obowiązek prowadzić walkę do końca, bez pardonu. Las rozbrzmiewał od doremnych nawoływań: „Mucha, Muszka!” Przechuł chłopiec zbliżające się nieszczęście. Rozległ się pisk, który przeszedł w przeciągły, stłumiony skowyt. Darek rzucił się do rozkopywania jamy. Pomagał mu w tej beznadziejnej pracy chłopiec, drapiąc jak pies pazurami ziemię. Dojmująca psia skarga nie cichła. Stawała się coraz bliższa. Widocznie uchwycyony za pyszczyk jamnik wycofywał się z jamy pociągając za sobą swego prześladowcę. W pewnej chwili Jaś, który zdążył już zapanować nad sytuacją, wsunął rękę jak mógł najdalej rękę do jamy, uchwycił za zadnie nogi biedną psinkę. Ciągnął zdając sobie sprawę z bólu, jaki zadaje swemu ulubieńcowi, ciągle trzymanemu przez nieznanego wroga. Przez Jasia przemówił teraz zdecydowany mężczyzna: natężył siły i pociągnął. Pies ukazał się na wierzchu, a za nim u pyska uczeplony ni to wijący się w splotach wąż, ni to zły i ciemny twór podziemi. Zerwał się Jaś i porwał broń, lecz tu już zabrakło mu męskiego opanowania: przyłożywszy niemal lufę do ciała zwierzęcia — spudłował. Wtedy wstąpił do boju Darek, który spokojnie czekał na swoją kolej. Rozpoczął się bój, a dramatyczny jego przebieg na zawsze utrwalił się w pamięci myśliwego. Tchórz-olbrzym, on to był bowiem, odskokzył po strzale od okaleczonego jamnika (który z podwinętym ogonem usuwał się z pola walki) i błyskawicznie oceniwszy sytuację, nie stehóżył jak należało przypuszczać, lecz wysunął pazury i długie, ostre jak szpilki, kły i skoczył do oczu groźnego przeciwnika wydając okrzyki, na jakie tylko tchórz było stać. Można by sądzić, że potwórty się historia Muszki. Tymczasem Darek, ten ocieżyła na pozór pies, okazał się mistrzem walki wręcz. Błyskawiczna szybkość uderzeń obu godnych siebie partnerów dumiewała człowieka, niezdołnego do podobnej sprawności w walce. Zachwycała zwinność tchórza i umiejętność zadawania ciosów, jak i uchylenie się od ciosów przy ekonomicznym użyciu siły — psa. Unikając w jemu tylko wiadomy sposób pierwszego uderzenia, Darek pochwylił w pół zwierzaka i uchyliwszy się od groźby drugiego ciosu giętkiego, jakby bez kości, przeciwnika, momentalnie wyrzucił go na dwa metry w górę, spadającego z rozczapierzonymi łapami znów uchwycił z dala od mordy i pazurów i znów wyrzucił — a potem już tylko miażdżył w straszliwej mordzie i podrzucił słabnące ciało, by w końcu zniechęcić nad rozciągniętym trupem wroga i śledzić jeszcze, czy nie przyciąła się w nim jaka iskra życia. Tchórz, długości ręki Jasia, leżał martwy. Tak poległ w przeświadczeniu chłopca wódz zażywających zlej sławy tchórzów, ratując honor plemienia. Chłopiec w porywie wdzięczności i zachwytu gaskał łeb wspaniałego psa, stojącego spokojnie bez śladu przeżytej emocji i uszkodzeń ciała. Mały człowiek przemawiał do Darka. — Skąd posia-

dlę tę umiejętność walki? — pytał zdumiony. Pies w odpowiedzi machnął tylko ogonkiem, a potem z niechęcią odwrócił oczy, jakby go drażniła ta ludzka ciekawość.

Jaś zwrócił się do Muszki, smętnie stojącej na uboczu z okaleczoną mordą, na szczęście bez okaleczeń mogących w przyszłości utrudnić pieskowi wypełnianie jego misji na ziemi. Tuląc ją do piersi, szedł młody rycerz ze wspaniałą zdobyczą, chełpliwie przewieszoną przez ramię. Powróciwszy do dawnej skromnej roli, jaką mu wyznaczono — zamykał pochód Darek. Pierwszy miał wyglądał tryumfatora, drugi — tylko psa.

Pogaduszka

(Dokończenie ze str. 10)

Czekał tylko na koniec tej hecy i coraz niespokojniej myślał o zaliczce. Toteż odetchnął pełną pierśią, gdy redaktor, uśmiechając się laskawie, powiedział:

— Dzisiaj dostanie pan pieniądze, 25% honorarium. Wyniesie to wcale ładną sumkę...

— Ile? — wykrztusił przez zacisnięte gardło.

— Pięć tysięcy! Zaraz pójdziemy tam, gdzie należy. Podpisze pan umowę, no i podejmie gotówkę.

Gdy liczył w kasie pieniądze, ręce mu drżały. Był zły i potę. W ustach mu wyschło. Prędko zbiegł ze schodów, a zatrzymał się dopiero na ulicy. Przy stanął na chodniku i wzrokiem objął cały gmach zajmowany przez Spółdzielnię Wydawniczą „Akropolis”. Wstrząsnął nim dreszcz. Miał wrażenie, że wymknął się z więzienia i teraz chciał jak najbardziej oddalić się od tego przekłętą miejsca. Na piersiach czuł pękaty, banknotami wypchany portfel, ale i to nie zdołało wypogodzić jego pochmurnej, zasępionej twarzy.

Przechodził obok podrzędnej jadłodajni, skąd zalały zapach duszonego mięsa i kapusty. Znów odezwał się ból w dołku. „Jestem głodny”, stwierdził i bez żadnego namysłu wsunął się do półmrocznego wnętrza. Zbliżył się do bufetu, zamówił zupę i dwie porcje wieprzowiny, a następnie rozejrzawszy się po dwu ciasnych salkach, zajął miejsce w drugiej, tuż przy oknie wychodzącym na ulicę. Z sąsiedniego stolika wziął kilka dzienników i zaczął je przeglądać. Ale nie rozumiał treści czytanych artykułów, bo w uszach miał ciągle piskliwy głos redaktora Szumskiego: „Co to jest czeremszyna?”

Józef Nikodem Kłowski

MICHAŁ LERMONTOW

Śmierć poety

Przełożył: BOGDAN ŻYRANIK

Padł wiesz — cześć jeniec — legł w krwi gęstej,
Obmowy znieważony słowem,
Z ołowiem w piersi, z żądzą zemsty,
Skłoniwszy nisko dumną głowę...
Nie mogła dusza znieść skrzydłata
Hańby małego jadłowitych,
Powstał przeciwko prawom świata,
Sam, jako zawsze — i... zabity!
Zabity!... Na cóż dziś westchnienia,
Jalowych pochwał chór zbyt czyny
I nędzny bełkot tłumaczenia:
Los wydał wyrok ostateczny!
Nie wyścież wpięć prześladowali
Swobodny, śmiały dar natchniony
I dla uciechy podsycałi
Pożar zaledwie przytłumiony?
Cóż? cieszenie się... cierpienie co dnia
Znieść męki nie mógł już fatalnej:
Zgasł boski geniusz jak pochodnia,
Uwiednął wieniec tryumfalny.

Zabójca wzrok weń chłodny wpije,
Zmierzy... ratunku nie masz więcej;
Spokojnie serce puste bije,
Pistolet ani drgnął mu w ręce.
I cóż za dziw? Już który z rządu
Ze zbiegów z cudzoziemskiej strony,
Wola przetrwać tu rzucony
Na łów fortuny i urzędów,
Drwiąc, gardził obcej mowy dźwiękiem,
Zwyczajem obcej ziem prawem:
Nie mógł on szczerze naszej sławy,
Nie mógł on pojąć w chwili krawej
Na co, szalony, podniósł rękę!...

I padł — i zeszedł w głąb mogiły,
Jak pieśniarz ów, nieznany nam a miły,
Zawiści głuchej lup żalony,
Śpiewany przezeń z tak przedziwną siłą
Rażony, jak i on tu, z ręki bezlitosnej.

Czemuż od sielskich cisz i od przyjaźni jasnej
Na ten nasz wstąpił świat, zawistny tak i ciasny
Dla wrzących żądź i serca, które technie swobodą?
Czemuż swą podał dłoń potwarcom tym wytrawnym,
Czemuż uwierzył słowom i czułościom kłamnym,
On, który ludzi przejrzał już za młodu?...

I wieniec zdjąwszy dawny, inny już, cierniowy,
Laurami wity, włożą nań pospołu:
Lecz kolce skryte w wieniec nowym
Ranly wzniosłe jego czoło;
Ostatnie jeszcze mu zatruto życia technienie
Szepkami zdradzieckimi szyderczych balwanów
I umarł — z zemsty daremny pragnieniem,
Z oszukanych nadziei gorczą skrywaną.
Umilkły dźwięki cudnych pieśni,
Nie zabrzmiały więcej w dni szeregu:
Pieśniarza schron — w ponurej cieśni,
I pieczęć już na ustach jego.

A wy, chełpliwi dziś potomki
Ojców, podłością śliską w świecie rozslawionych,
Stopą słuźalcza deprecyją utomki
Rodów, grą szczęścia ślepą pokrzywdzonych!
Wy tłumem chełwym stojący u tronu,
Katy Wolności, Sławy i Geniuszu!
Pod prawa ukrywacie się osłoną,
Przed wami sąd i prawda — milceć muszą!...
Lecz jest, jest boży sąd, o rozwiązłości raby!
Jest groźny sędzia, który czeka;
Za nie mu złota są powaby,
I myśli i uczynki napróżd zna człowieka.
Wtedy za oczernianiem chwycił się — na darmo:
Już mu wam pomóc nie jest dane,
I nie zmyjecie już wszystką krwią waszą czarną
Poety krwi nieskalanej!

SEWERYN POLLAK

Rozmowa

Ten wieczór zapadł cicho niby echo dnia
i miękko się położył na gzymsach i dachach.
Z otwartych okien światło przełamane łukiem
spłynęło koncertem Dworzaka.
Lecz to tylko sceneria, która gra
liryką malarskiego miasteczka —
ja
na co innego tu czekam.
Chodzę tu zagubiony w czasie i w białości,
nade mną pełne niebo z listowiem się mieszca,
i straszno mi, i radość, że znowu z młodości
jakaś wieść zapomniana pośpiesza.
No i cóż, bogonośco, cóż, Nepomucenie,
dawne przypomniałeś mi lata.
Tobie krzyż połamali, łuskami ci spada odzienie,
nie już nie chcesz od tego świata.
Ty stoisz tutaj, od samego początku
w zgodzie ze sobą i z niebem twoim —
czekaj na łaskę niebios, najcierpliwszy świętku.
jeszcze kilka wieków tu postoisz.
A ja zniebaczylem. Mieszkaniec tej ziemi,
pełnej światła, powietrza i dźwięków —
niepogodzony — póki myślami żywymi
wdzieram się w rytmy koncertu.

Kontakty

MARIA BEHCZYC-RUDNICKA

Świątą prawdę powiedział Gombrowicz o cząstkowości wzajemnej asymilacji ludzi. Wiadomo — arcyprawdę. Lecz kiedy jedną z nieco lepszych twoich „części” poznaje jedną z najlepszych „części” drugiego człowieka, może nie jest jeszcze tak źle?

Pod dwunastym na Buczka wchodziło się do ich biura wprost z ulicy. Wyglądało owo locum raczej jak sklep, prawdopodobnie było nim kiedyś. Tyle że lada, ten łącznik między kupującym a sprzedawcą zastąpiono długą barierką, która miała zapewnić pracownikom administracyjnym trochę roboczego skupienia — w normalnym lokalu biurowym wszyscy oni znaleźliby się całkowicie poza zasięgiem niecierpliwego interesanta. Wszyscy — prócz pana Prędkiego, bo jego przeznaczeniem był właśnie bezpośredni kontakt z klientką drukarni.

Pan Franciszek Prędko, posadzony celowo tuż u drzwi wejściowych, a z konieczności — przy sąsiadującym z nimi oknie, zabierał kolegom swoją postać — choć pilnie pochyloną nad biurkiem — sporą dozę światła, sączącego się przez jedyne okno wąskiej izby. Oczywiście szczegół ten wcale nie obchodził zaferowanego przybysza z ulicy, ale dziś, wspominając opłakaną „topografię” ówczesnego kantoru Lubelskiej Drukarni Prasowej, muszę retrospektywnie podziwiać pogodę oblicza pana Prędkiego, widomy znak wyrozumiałości jego kolegów dla pochłaniacza światła.

A może pogoda jest po prostu niezniszczalnym elementem charakteru samego pana Franciszka? Poznałam go w październiku 1944 roku z racji afiszy koncertów organizowanych przez nowopowstały wojewódzki wydział kultury i sztuki i odtąd zawsze było tak: mówię „dzień dobry”, pan Prędko odrywa wzrok od papierzyk, trochę nieprzytomne spojrzenie błąka się przez chwilę po mojej twarzy i nagle akustyka triumfuje nad oporem psychicznym — „doszło”! „Dojściu” zaś towarzyszy przyjazny uśmiech, taki naturalny, bez zalecenia „keep smiling”.

To był kontakt zupełnie bezkonfliktowy! Pan Franciszek Prędko przyjmował, kwitował, rejestrował zamówienie, a co do terminu — „proszę uzgodnić z panem Pliszczyńskim”.

„Uzgodnić”? W tym momencie klient dostawał tremy. Pan kierownik Pliszczyński nie może sobie pozwolić na zbyt łatwą zgodę, choćby nie wiem jak chciał. Tej obiektywnej niemożliwości my, laicy, w pierwszej fazie kontaktów często nie rozumiemy. Dlatego też moja wymiana zdań z p. Pliszczyńskim odbywała się przeważnie w nerwowym napięciu:

Ja: Ten materiał trzeba złożyć na piętnastego.
Kier. Pliszczyński: Nie da rady... Mamy mało linotypów.

Ja: Ależ „Ruch” musi zabrać dwudziestego ósmego... Poniósłoby straty!

Kier. Pliszczyński: Trudno, nie przyrzekam. Maszyny będą zajęte... druki akcydensowe... normy... godziny nadliczbowe...

Ja (nie słuchając): A więc znów opóźnienie! „Kamena” jest jedynym pismem literackim lubelszczyzny... sprawy kultury... waszą ambicją powinno być...

To się nazywa w teatrze racją postaci. I ponieważ ze względów literackich nie wolno mi robić z nikogo bohatera pozytywnego, wyznam otwarcie, iż moja racja wchodziła często w dość ostry konflikt z racją pana kierownika. Zwłaszcza że znaleźliśmy się początkowo tylko z obcych komentarzy. Ale w miarę tego, jak wzrastały obszary wzajemnego poznania się, dialogi nasze stawały się coraz bardziej bezkonfliktowe. Dziś, kiedy pojęcie „plan pracy zakładu” dotarło lepiej do mej świadomości, wszystkie kanty już się wygładziły, tak że zawsze spodziewam się po panu Eugeniuszu Pliszczyńskim życzliwej pomocy — w rozsądnych granicach możliwości drukarni.

Oczywiście *ultima Thule* klienta był i jest p. Dyrektor W. Jakubowski. Zdumienie mnie ogarnia na myśl, że miałam odwagę, w latach 1952—56, nazbyt często nachodzić dyr. Jakubowskiego, znakomitego fachowca i notabla Lublina. Prawdopodobnie ośmielił mnie do namolności arcskromny wygląd przytuliska (bo gabinetem coś takiego trudno nazwać), które dyr. W. Jakubowski dzielił, na Buczka, ze swym zastępcą, dyr. Galbarczykiem, też nieraz przeze mnie molestowanym... z bardzo dobrym skutkiem. Docierało się do izby dwóch dyrektorów poprzez labirynt miniaturowych korytarzyków i różnych zakamarków. Zaiste było to wysocę nieodpowiednie sanctuarium dla Zeusa gromowładcy, jakim musi być z natury rzeczy dyrektor wielkiego zakładu pracy.

W numerze 10 „Kamena” r. 1956, z okazji przeprowadzki Lubelskiej Drukarni Prasowej do nowego gmachu przy ulicy Unickiej, jeden z moich kolegów literatów zamieścił artykuł pt. „Fabryka drukowanego słowa”, w którym podał nader dokładnie w liczbach kubaturę całego budynku, powierzchnię niektórych hal oraz wydajność produkcji w tysiącach wydrukowanych arkuszy i cm² klisz siatkowych czy kreskowych. Zainteresowanych odsyłam do tego numeru, wyznając ze wstydem, iż nie potrafię zaktualizować owych liczb. Trzeba byłoby odrywać ludzi od pracy, wypytywać i notować, jakież to kłopotliwe! Zresztą liczby słabo działają na moją wyobraźnię. Prawdę powiedziawszy, czułam się zrazu trochę wyobcowana z drukarni w nowym wspaniałym gma-

chu, jeszcze nieco pustawym. Wydaje mi się, że i pracownicy zakładu ulegli początkowo podobnemu nastrojowi. Na rozum biorąc, niewątpliwie — postęp wraz ze wszystkimi jego dobrodziejstwami. Ale co tu dużo gadać, zarówno drukarze, jak i ja, byliśmy związani ze starymi ruderami na Buczka jakowymś romantycznym sentymencikiem, nie dającym się zlikwidować na poczekaniu. Melancholia musiała jednak ustąpić miejsca powszechnemu zadowoleniu. Okazało się bowiem, że centralne ogrzewanie działa sprawnie, że dogodne pomieszczenia dla potrzeb technicznych, sanitarnych itp. składają się istotnie na znacznie lepsze warunki pracy, że, wreszcie, bardzo wygodnie jest poruszać się w przestronnych halach nie przedzierając się między maszynami z narażeniem na szwank odzieży.

Niebawem oswoiłam się z gmachem-gigantem.

Wobec zbliżającego się Jubileuszu naszego pisma sfotografowaliśmy jego najbardziej trwale i regularnie aktywnych współpracowników drukarskich. I oto, patrząc na zdjęcie, robię obrachunek sentymentalny...

Tuż przy uczynnym (choć niekiedy pozornie groźnym!) dyr. W. Jakubowskim stoi, noszący kitel jak toge, kierownik introligatorni, A. Bukowski. Z introligatornią nigdy nie miałam zatargów — po r. 1952, kiedy to obcięła mi krzywo „Niedorostka” w wydaniu „Biblioteki Kamena”. Teraz żyjemy w najlepszej zgodzie. Cześć introligatorni!

Obok p. Bukowskiego — majster z chemigrafii, Roman Linkowski, „po cywilnemu”, bez kitla. Pana Linkowskiego parę razy zdenerwowałam, ale szybko się udobruchał. Ściskam zawsze z wdzięcznością jego wprawna dłoń, bo robi nam klisze na czas, chociaż częstokroć dostaje termin niepokoju blisko.

Dalej (od prawej ku lewej) widzimy p. Tadeusza Siczka. Współpraca z majstrem Siczkiem była szczególnie bogata w emocje. Z przyczyn obiektywnych. Ktokolwiek ma ścisły kontakt z drukarnią, wie doskonale, że koniec końców punktualność ukazywania się periodyku zależy od linotypów i hal maszyn. Właśnie pracę maszyn organizował przez wiele lat doświadczony mistrz drukarski pan Siczek. A drukarnia pracuje stale nad wielotysięcznymi nakładami. Dzień w dzień — „Kurier Lubelski”, co tydzień „Głos...”, a gazetki zakładów, ciągle wydawnictwa okolicznościowe, a książki, a jakież tam nalepki!

Dawniej wchodziły nam najczęściej w drogę wydawnictwa UMCS — żywiłam do nich wściekłą nienawiść. Potem pałałam nie mniej żywą nienawiścią do „Medycyny” — tym żywszą, że ciesząc się tak zwanym końskim zdrowiem, nie korzystałam osobiście z jej odkryć...

Drugą centralną postacią na zdjęciu, obok Siczka, jest majster Władysław Sykut, stary zecer, błędy jeszcze w składzie ręcznym. Tego człowieka trudno wyprowadzić z równowagi, aczkolwiek, będąc łącznikiem pomiędzy linotypami, zecernią a halą maszyn, mógłby mieć tysiąc powodów do irytacji. Najbardziej dopiękły mu chyba telefony klientów (z moimi włącznie!).

Sympatyczna postać pana Sykuta zawsze pozostanie w mej wdzięcznej pamięci.

Obok niego na fotografii — król linotypistów, Józef Wilkosz. Wiem jak niesmaczne jest żonglowanie dosłownym znaczeniem nazwisk, ale, wybacząc, tym razem trudno mi się powstrzymać... *Nomen omen*, tylko wyobraźmy sobie, proszę, nieco dziwnego wilka, który sieje postrach w otoczeniu, lecz nikogo nie pożera. A nawet z reguły lubi robić miłe niespodzianki! Taki jest pan Wilkosz — bardzo go lubimy, ja i mój młody kolega Stefan Zarebski, czuwający razem ze mną w drukarni nad realizacją numerów „Kamena”.

Zbliżam się do końca naszej listy zasłużonych. Spójrzcie jeszcze na zdjęcie... Pomiędzy Sykudem a Wilkoszem stoi, skromnie cofnięty do drugiego rzędu, p. kier. Pliszczyński, o którym była mowa na początku tych wynurzeń. A pierwszy z brzegu od lewej strony to metrampaż Błażej Sagan, stale łamiący „Kamena”. Z panem Saganem troszkę od czasu do czasu dyskutuję — ilekroć mój dyletantyzm natknie się na niezłomne zasady jego fachowej wiedzy. Przeważnie rację ma pan Sagan, zdarza się jednak, że ja nie bez słuszności upieram się przy naruszeniu ustalonej konwencji. A z tym wszystkim współpraca nasza układa się dobrze i przyjemnie.



(Fot. K. Olender)

J. W. GOETHE

Obecność

Przełożył: ZBIGNIEW BIENKOWSKI

Wszystko zwiastuje mi ciebie,
Olsnąwający wschód słońca
Mówi mi, że jesteś blisko.

Gdy się pojawiasz w ogrodzie,
To pośród róż jesteś różą
I lilią jesteś wśród lili.

Masz w tańcu tak lekkie ruchy,
Jakby z tobą wokół ciebie
Tańczyły gwiazdy niebieskie.

Noc! O niechby noc już była!
Blask, który bije od ciebie,
Jest czystszy niż blask księżycy.

Urokiem jesteś, powabem!
Kwiaty, księżyc, gwiazdy, słońce
Wielbią ciebie — tylko ciebie.

O, bądź i dla mnie łaskaw!
Nie szczędź mi pięknych dni, słońce,
Stwórczo życia i wieczności.

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

Piosenka

już nawet bez żalu

Jest nas na świecie dwie: ja i moja młodość
stoimy oparte o chmury, przed wiosennym
progrem,
przykryte słońcem jak słomą dachy wiejskich
stodół
i mniejsze od komarów znad dalekich bagien.

Splata nam ręce słony wiatr,
wieją nad ziemią jak ocean,
myślimy — smutny byłby świat
gdyby nas dwu złączonych nie miał.

Moja młodość ma oczy pochmurne i ciężkie,
w których żołnierzy milion na polu upadło.

Ja mam oczy tak samo ciemne i pochmurne
odchodzącym umarłym służące za lustro;
niosąc w rękach latami napelnioną urnę
smutnego kraju jesień dorzucę tam szóstą.

We mnie i w mej młodości splątała się wojna,
żołnierskich kroków obłąkany kierat —
tuż obok mego serca przechodzi historia,
w której i ja zostałam — małoletnich cela.
(1944 r.)

1 czerwca trzech pracowników z opisanej grupki poszło na emeryturę. W myśl nowej ustawy. Byli doświadczonymi fachowcami, którzy nie szczędzili sił na swych stanowiskach. Widziałam ich w przeddzień odejścia. Objawiali cierpienie każdy na swój sposób: jeden w słowach pełnych gorczy i troski, drugi — kryjąc ból pod uśmiechem... Trzeci przedwcześnie emeryt błąkał się jeszcze nazajutrz po zakładzie. Udawał przed sobą, że ma tu coś do załatwienia.

Drodzy Panowie z Drukarni Prasowej, wszyscy z nami współpracujący lubelscy realizatorzy szaty graficznej „Kamena”! W dniu jej uroczystego święta należało się Wam dobre słowo. Sądzę, że tak właśnie odbierzecie sens tej mojej wypowiedzi, która dotrze do czytelnika przechodząc przez Wasze pracowite ręce.

Od Malmaison do Puław czyli Odyseja polskiej Korynny

(Dokończenie ze str. 16)

„na Faworach”, gdzie zamieszkiwali Rautenstrauchowie, twierdził, że ptaszki w ogrodzie nawołują panią domu jak siostrzyczkę: Lu-cie, Lu-cie, natomiast żaby skrzeczą wieczorami: Rau-ten-strauch, Rau-ten-strauch. W 1836 roku Rautenstrauchowa wyjeżdża na dłuższy pobyt do Francji, gdzie po śmierci ojca zamieszkała na stałe jej matka z bratem. Pisarkę styka się w Paryżu ze światem literackim, polskim i francuskim: poznaje Niemcewicza, Zaleskiego, Norwida, Mickiewicza. Temu ostatniemu ma za złe zamilowanie „do drobnej szlachty i kwaszonej kapusty”; ostatecznie nie po ukazaniu się „Pana Tadeusza” poeta ofiarował egzemplarz dzieła — garderobianej pani generalowej.

WRAŻENIA z pobytu we Francji zamknęła Rautenstrauchowa w dwu książkach: „Wspomnienia o Francji” (1839) oraz „Ostatnia podróż do Francji” (1841). W 1844 r. umiera Rautenstrauch, co nie zmienia specjalnie trybu życia niestarej jeszcze wdowy. Kolejna podróż, podjęta dla poratowania zdrowia synowca, prowadzi ją przez Niemcy i Szwajcarię do Włoch; owocem tych peregrinacji jest znów książka „W Alpach i za Alpami” (1845), mała encyklopedia wiedzy o Włoszech, a więc coś w rodzaju polskiej „Korynny”. Pasja krajoznawcza Rautenstrauchowej nie ograniczała się zresztą do zagranicy; w innym dziele: „Miasta, góry i doliny” (1844) opisuje m. in. wycieczkę do „Zakopanej”, nad Morskie Oko i do Czarnego Stawu oraz doznane przy tej okazji wstrząsające wrażenia; można ją więc zaliczyć w poczet odkrywcoń Tatr.

Schyłek długiego życia spędziła Rautenstrauchowa w Puławach, gdzie zmarła w 1886 roku; do końca zachowała staromodny strój i obyczaje, łącząc z nimi młodzieńczą żywotność umysłu i zainteresowania literaturą. Jak pisze współczesny świadek jej ostatnich lat:

„Pod koniec życia wyznawała niejednokrotnie, że jest samolubną. Tłumaczyła, że inaczej nawet być nie może. Proszę sobie wyobrazić — mówiła — wszystko, co kochałam, ceniałam i znałam, co mi było drogim na

ziemi, opuściło mnie. Otoczenie moje składa trzecia generacja. Pojęcia, uczucia, dążności i cele nasze różnią się w zupełności, oni gonią za swymi nadziejami, ja im jestem obca. Toż nie dziw, że osamotniona, muszę uwagę moją na siebie zwracać”. Na przekór tym wyznaniom, była podobno pełna uwagi dla otoczenia i słynęła z dobroczynności; współcześni z owej „trzeciej generacji” wspominali ją z sympatią i szacunkiem.

JAK powiedzieliśmy, Rautenstrauchowa nie cieszy się względami historyków literatury; większość jej dzieł poszła w ogóle w zapomnienie. O „Emmelinie i Arnolffie” pisał Konstanty Wojciechowski: „Przeciwko autorce i powieści przemawia jeden fakt bardzo dosadnie. „Emmelina i Arnolff” jest ostatnim z rodzaju sentymentalnych romansów. Rautenstrauchowa powieścią swą ośmieszyła cały kierunek”. Po „Emmelinie i Arnolffie” znać, że autorce nie obcy był Werter i Osjan, ale nade wszystko króluje w tej powieści wpływ pani Cottin, zapomnianej dziś autorki późniejszych „bestsellerów” epoki preromantyzmu. W dziele Rautenstrauchowej egzaltacja uczuć, doprowadzona do śmieszności, idzie o lepsze z nieprawdopodobieństwami psychologicznymi i sytuacyjnymi. Nie podobnego natomiast nie znajdziemy we wspomnieniach z podróży, które dziś jeszcze stanowią wcale czytelną lekturę, świadczą o rozległych zainteresowaniach autorki. W swych wędrowkach po Paryżu lat czterdziestych zeszłego wieku Rautenstrauchowa odwiedzała zarówno salony jak teatry, nie pomijając nawet sal sądowych; daje na przykład szczegółową relację o procesie słynnego Lacenaire’a, przypomnianego naszym czasem w znakomitym filmie Carné’go „Komedianci”.

Trwałym osiągnięciem Rautenstrauchowej jest na pewno przekład „Korynny”, dokonany wspólnie z Karolem Witte. Nie było przypadkiem, że Rautenstrauchowa podjęła się tłumaczenia tego właśnie dzieła. W życiu obu pisarek były pewne analogie i stąd może wynikać swoiste powinowactwo duchowe, o którym tak pisała Rautenstrauchowa w swej książce o Włoszech: „Byłam przekonana, pierwszy raz panią de Stael zabierając się czytać, że dziesiątej części z niej nie zrozumiałam. Jakież było moje podziwienie gdy, nie tylko żaden jej wyraz myśli nie wstrzymałam, lecz owszem ją rozszerzyłam, rozjaśniłam. Zdawało mi się, że ona wszystko właśnie mówi, com ja od pierwszej jej myśli pomyślała, od pierwszego uczucia w sercu doznała, ale to wszystko przedtem splecione, zmącone, niewyklarowane, ciężko na dnie leżało, drzymało. Ona dopiero wszystko wzbudziła, na każdy odcień wrażenie właściwie odgadła”.

Nie dziwnego, że ożywiona takimi uczuciami wobec pani de Stael pisarka nasza dała przekład bardzo ładny, który do dziś nie zatracił swych walorów — wznowienie „Korynny” w tłumaczeniu Rautenstrauchowej ukaże się prawdopodobnie niedługo w „Bibliotece Narodowej”.

Anna Jakubiszyn-Tatarkiewiczowa

ALFRED DE MUSSET

Smutek

Przełożył
STEFAN ZARĘBSKI

Straciłem życie — straciłem swą siłę,
Brakło przyjaciół, i radosnych wzruszeń;
Nawet i ową dumę utraciłem,
Co mi kazala mienić się Geniuszem.

Gdym odkrył prawdy złotodajną żyłę —
Na nią liczyłem w naiwnej otusze,
Lecz po wnikięciu w jej sprawy zawile —
Już goręz tylko napelniała duszę...

A jednak ona trwałaś ponad skałę —
I dla tych wszystkich, kto się jej wyrzeka,
Nie tu na ziemi nie jest zrozumiałe!

Bóg pyta i Bóg na odpowiedź czeka,
Cóż mi zostało w tym bycie człowieka?
Dobro jedyne: że czasem płakałem...

STEFAN ZARĘBSKI

Wiosna

Jakbym miał znowu piętnaście lat —
Za miasto z teczką waleć!
Niechby tak dyrek na mnie wpadł:
„A dokąd to kawaler?”

Zaraz by zaczął: „Disce puer...”
Znam, znam już: „...ego te faciam...”
Ha, ha! I jakoś dziwnie w górę
Skoczył mi bas... No tak — mutacja!

Do diabła, skąd ten szron naprószył,
Co skroń zieloną pobiera?...
Tu zapłonilem się po uszy,
Bo piękna szła puella.

Szybko ruszyłem za nią w krok —
Zerknięciami łapiąc ukośne:
Może ją spotkam jeszcze za rok?
Na pewno spotkam. Na wiosnę.

Bo wtedy znów się za miasto kopnę —
Zachłystnę — i w głos zadziwię:
„Ze co? Matura? Ze słabe stopnie?
Było też czego osiwieć!...”

Stawek Staszica wysechł. Po głazach, które dno jeziora stanowiły, a dziś tylko pływającego namuliu osadem wody wladztwo wspominają, przechodzę pod Miedziane.

Wynurzają się turnie po turniach, dotąd Mnichem i stokami Cubryny tajone. Wschodzi na koniec Czarny Staw, tuż po nim Morskie Oko. On, posępny i cieniawy wieczornymi opierzony, dwój niewyraźnie łona gór, ono, mazi zielenistej podobne, niesie na zbrzdżonym grzbiecie nabitą ludźmi łódź. Jakże nikła jest i niepotrzebna wśród szeroko rozpostartej, ciszą wielką i spokojem w płytę przemienionej topieli.

W schronisku tłok, pod schronieniem ruch i gwar. Samochody, dorożki, dużo znużonych ludzi.

Należałoby tu przenocować. Pora późna: godzina siódma niedaleko. Lecz rano muszę być w Zakopanem. Puszczam się tedy gościem w rażny marsz. Póki widno, będę wyzyskiwał skrót. Może się po drodze nadarzy sposobność i pojedę. Tymczasem samowystarczalność.

Dzień w Tatrach

TADEUSZ BOCHEŃSKI

Po kąpeli w Koprowej Wodzie opuszczam schronisko i ruszam ku Ciemnym Smreczynom. Czwarty dzień dopisuje, nie, szaleje pogoda. Niebo czyste, słońce ogniste, las wonny, że aż odurza. Gdzie rozchył, gdzie bezdrzewie polanki, tam trawa bujna i głęboka, stopom — zwierzętom nurawisko. Piecze się w upale kosówka, żar i zapach swoisty bije od kamieni. Gdy znowu las, to i on tak w słońcu zatopiony, jak w bursztynie. Na koniec mlaki. Grząskie, parne, owadami rozcyrkane, pierwotne.

Pośredni Wierszek z dała okrążając i Siklawę Ciemnosmreczynską mając przed oczyma, zbliżam się do Niżniego Stawu Ciemnosmreczynskiego. Już mię skały ogarniają potężnymi ramionami: Pośredni Wierszek od prawicy, Kotelnica i Liptowskie Mury od lewicy. Wyżej, nad piargami Doliny Piarzystej, buja w błękitach Cubryna.

Lecz oto staw. Opiszesz taką wodę? Bywa niebieska, bywa grantowa i zielona, a słońce po niej skacze, na gwiazd rozstrzaskane fajerwerk, a krążki po niej płyną brunatne albo fioletowe, brzegiem białe, pelzakom o niestałym kształcie podobne, w lawicę gęstą zbite, migotliwe i ruchliwe jak ogień. Gdy wiatr nieco silniej powieje, mrowi się to dopiero bez opamiętania.

Trzy godziny spędziłem nad jeziorem. Nacieszyłem się kąpielą, słońcem, chłodem wiatru i swawolą nagiego ciała. Jakże przykro było nadziewać w końcu grube, sztywne buciska!

Popołudnie zległo ciężkie i świetliste, jak mosiądz. Zegnam wodę i odchodzę. Świat surowieje. Góry podstępują coraz bliżej i kurczą dolinę. O ileż dziśszy jest ten Wyżni Staw Ciemnosmreczynski od Niżniego. Tenie, niemal pionowe ściany skalne i obrzymie rumowisko Doliny Piarzystej zieją martwością księżycową. Liczne, a wielkie i bliskie platy śniegu zabijają w pamięci sielanę.

(Fragment „Dziennika tatrzańskiego”)

Wydatne siodło Wrót Chalubińskiego i trawiasta ubocz, która się pod siodłem zieleni, sprzeciwiają się srogiej dolinie spokojem i gościnną łaskawością. Jakies stamtąd schodzi towarzysstwo. Światak się opodal zdenerwował i gwizdże.

Strome, zrujnowane zakosy niosą mię na przełęcz. Oleiste słońce usmażyłoby tu człowieka, lecz wiatr powiewa i rozkosznie chłodzi. Nad Cubryną i Koprowym Wierchem zbierają się chmury. Wyżni Staw ułożył się i udobruchał: wygląda teraz jak puszyste, niejaskrawe, w barwach ciemnych utrzymane skrzydło wielkiego motyla. Niżniego nie widać. Nad Pośrednim Wierszkiem ukazała się wytworna grań Hrubego.

Za kwadrans staję na przełęczy. Prawdziwe Wrota: otworzyły się szeroko na pustą, kamieniami zasypaną głąb Doliny za Mnichem, na lesiste stoki Zabiego, na szczytniasty parów Doliny Mickiewiczza, na dalekie widły Hawrania.

Opuszczam się w Dolinę za Mnichem, w cień.



Zenon Wasniewski: Na hali (linoryt) Nr 58/60 „Kamery”, 1939

HELENA PLATTA

Wypadek na ulicy

Motor grał po spadającej jezdni,
ścierając z bruku chłód —
Obłoki weszły do kościoła
i zaraz mały klakson obwołał
wschód.

Ulicą Lubartowską szedł kaleka,
— w kieszeni szamotał się rękaw pusty,
gdy pęd motora nagle ustal
niedaleko.

Tłum otoczył mniejsze
i ciągle rósł:

— On, jedną ręką
dźwignął tamtego

i niósł.

ANNA MARKOWA

Prośba o niepokój

Muzyka
Jest jedwabna i gładka
Gdy czytam traktat
O spokoju —

O spokoju
Tłustym i krępkim
Który ścieka
Jak oliwa z palców

Z pajęczyny gładkiej
Ocal mój niepokój
Jak busole serca
Krzyk odbity wśród gór

Róża wiatrów
Wibrującym słowem
Nazwę Ciebie
Najpiękniejsza

Litanijna
Różo wiatrów
Różo niepokój
Który jest z naszej krwi

Z GŁOSÓW KRYTYKI I PRASY O PRZEDWOJENNEJ „KAMENIE”

„Poetów, którzy drukowali w zeszytach „Kamieni”, wyliczyć wszystkich niepodobna, ani też niema potrzeby. Wystarczy ich ugrupować „regionalnie”, a wtedy przekonamy się, jak znaczny jest zasieg tej owocnej inicjatywy, jak wielka i coraz bliższa zachodzi potrzeba zjednoczenia tych wszystkich sił świeżych, często jeszcze surowych, stworzenia placówki szerszej i na trwalszej budowanej bazie, a nie podtrzymywanej wyłącznie groszową, a zatem heroiczną niemal ofiarnością samopas błędzących jednostek, przekopania pojemniejszego koryta, gdzie złączy się mogły i w bezstronnym współwładnictwie wyklarować realnie, nadto rozwiłające się prądy. Jeśli strugi te nie uchodzą w posuchę, jeśli naprzekór niesprzyjającym warunkom tu i ówdzie tętni źródło, to w znacznej mierze jest to zasługa wydawców takich jak „Kamena”. Zyste poczucie całego przebiega z zamiarów „Kamieni”; nie zapominajmy, że obowiązkiem naszym jest podtrzymać ten wysiłek, kiedy w oczach naszych idzie się — w szczytnym choćby zakresie — jeden z zasadniczych postulatów Zeromskiego, budowniczego kultury polskiej.

może wyłącznie Polakowi — chrześcijanowi mogącemu wykazać swoje pochodzenie polskie... 2. w Lublinie okazuje się, że komunikujące pismo literackie wychodzące w Chełmie „Kamena” jest subsydiowane a przynajmniej popierane moralnie przez Lubelski Związek Pracy Kulturalnej, instytucję niemal półurzędową, subwencjonowaną przez samorząd... Nie znamy literatów wydających „Kamencę”, znamy za to ich oblicze ideowe, wiemy, jaki dorobek wnoszą do ogólnego dorobku kulturalnego. Ta cała literatura „proletariacka” pachnie z daleka wschodem i zalatuje prądem ideaowym wywołującym się na Polskę z Nalewkiem... Przed literaturą tego typu już nie tylko społeczeństwo, ale państwo broni się jak może. „Kamena” jest oczywiście cenzurowana i cenzuralna. Ale jej kierunek ideowy i rodzaj wartości, jakie tworzy, nie kwalifikują jej bynajmniej do subwencji czy tylko poparcia moralnego Lubelskiego Związku Pracy Kulturalnej.

Stefan Napiercki, „Droga” Nr 9 r. 1934

W r. 1933 zaczęła wychodzić w Chełmie „Kamena”, miesięcznik poetycki, pod każdym względem typowy, z wyjątkiem regularności wzorowej dzięki ofiarnym redaktorowi i wydawcy... (Redaktor w piśmie swem stara się skupić wszystkich młodych poetów Polski; oczywiście przeważa awangardizm, całkowicie, a zwłaszcza połowicznie, któremu i sam redaktor teoretycznie hołduje... Absolutnie cennym działem jest obfity dział przekładów poetyckich z literatury słowiańskiej głównie, ale i z zachodnich, z francuską na czele. I wybór i tłumaczenia są wysokiego gatunku.

„Głos Lubelski”, 21 marca 1933

Neue russische Dichtung in polnischen Uebersetzungen bringt Nr 8-9 der literarischen Monatschrift „Kamena” (Chełm Lubelski, Reformacja 43), und zwar je ein Gedicht von Nikolaj Ascejev und Iija Selvinski und zwei Gedichte von Boris Pasternak...

K. W. Zawodziński, „Rocznik Literacki”, 1934

„Prager Presse”, 5.VII.1936

Eine kleine Anthologie moderner tschechischer Lyrik hat Antoni Madej... in Nr 8/9 der literarischen Monatschrift „Kamena” zusammengestellt. Der Uebersetzer schickt der Sammlung eine Knappe über die einzelnen Autoren orientierende Einleitung voraus...

Czerwcowy numer „Kamieni” kończy dwuletni okres działalności tego pisma, które pierwsze budziło u nas poezję po długiej spłazie i halucynacjach w zamkniętych ogródkach wybrańców. „Kamena” pierwsza zerwała w 1933 roku ze sztucznym elitaryzmem grup poetycznych, które przy pomocy nieodpowiedzialnych krytyków przez długie lata monopolizowały i kompromitowały poezję polską.

„Prager Presse”, 9.VII.1936

Nr 1 (31) miesięcznika literackiego „Kamena” rozpoczął czwarty rocznik wydawnictwa... Gdyby jakiś antolog zainteresował się trzema rocznikami „Kamieni”, mógłby z powodzeniem skompiłować antologię poezji europejskiej. Każdy numer bowiem przynosi kolumnę poezji obcej... Jeżeli chodzi o twórczość oryginalną, spotykamy tu niemal wszystkich poetów polskich, zarówno najmlodszych, jak i starszych, przyczem podobnie, jak „Okolica poetów”, „Kamena” również zerwała z „systemem” mafii kapliczek i klik literackich, otwierając swoje łamy dla wszystkich niemal poetów, biorąc pod uwagę poziom ich utworów, a nie firmę i nazwisko...

Zainicjowane przed rokiem w Chełmie Lub. czasopismo literackie pt. „Kamena” wytrzymało próbę czasu i rozpoczęło już cztery numerami drugi rok swego życia. Liczne głosy pochlebne, jakie pod adresem „Kamieni” ukazywały się i ukazują, świadczą dobitnie o tem, że „Kamena” mimo niektórych wyraźnych wad spełnia dobrze podjęte przez siebie obowiązki. W „Kamieniu” spotykamy nazwiska autorów nie tylko lubelskich, ale z całej Polski.

Jerzy Kamil Weintraub, „Nasz Wyraz”, nr 10, 1936

„Miesięcznik Literatury i Sztuki” Nr 5

„Piękny dorobek na zapadłej prowincji. „Kamena” była przez rok ostatni jedynym poetyckim miesięcznikiem w Polsce. Drukowali tu najmodalsi poeci Wilna, Krakowa, Warszawy, Lublina, Łodzi, a bodajże Poznania. Zabrakło Lwowa... „Kamena” może śmiało zaprezentować się całej Polsce i z rzucić politykę zasklepiającego jej możliwości regionu, nieciekawego zresztą. Druk bardzo nieporządną. Rozumiemy, że w warunkach, w których się znajduje, ciężko o lepszą szatę graficzną i lepsze maszyny. A szkoda, bo obniża to reprezentacyjną, zewnętrzną szatę poważnego i potrzebnego, a coraz lepszego pisma.

„Nasz Wyraz”, kwiecień 1937

Już czwarty rok już z godną podziwu regularnością ukazuje się w Chełmie Lubelskim pod redakcją K. A. Jaworskiego miesięcznik „Kamena”. Oprócz poezji znajdujemy tu prozę, artykuły teoretyczne czy sprawozdania. Szeroki zakres ma stały dział przekładów poetyckich z chorwackiego, rzyckiego, rosyjskiego, czeskiego, słowackiego, francuskiego i niemieckiego. Prowadzona jest stale „Kolumna słowiańska”... Poza tym trzeba dodać, że ukazują się również „Biblioteka Kamieni”, licząca obecnie już dziewięć tomów poezji...

„Sygnały” Nr 8/9

„Dwie cechy charakteryzują poetów, zgrupowanych w „Kamieniu”: akcenty radykalizmu społecznego o sympatiach socjalistycznych oraz intensywne kulturowanie problematyki estetycznej, np. roztrząsanie zagadnień treści i formy... Rządzący dzieł lubowicy wierszy, miłośnicy piękna i poetyckiego kunsztu znajdują na łamach chełmińskiego miesięcznika poważną kolekcję klejnotów, rzeźbionych w polskim słowie.

„Kultura”, 2 maja 1937

Słowackiemu numerowi „Kamieni” poświęcił dłuższe omówienie bratysławski „Slovak” z dnia 8 lipca. Słowackie pismo zwraca uwagę na ostatnio przejawiający się duży ruch na polu zacienienia polsko-słowackich stosunków kulturalnych. Omówiłszy treść numeru, wspomina i o działalności Towarzystwa Przyjaciół Słowaków im. L. Sztura w Warszawie, „Slovak” zaś

„Wieś — jej pieśń” Nr 10

„Pismo omawia w krótkich, syntetycznych notach ostatnie zdarzenia z zakresu kultury, zamieszcza artykuły krytyczne, niepomnie pokazywał dział poetycki oraz dział przekładów z literatury obcej. Istnienie „Kamieni” jest ewenementem w życiu prowincji. Już nietylko literackim. Miesięcznik, redagowany żywo, czujnie, ze smakiem, ba — na swoim odcinku — wszęchnie, wielce dodatnio charakteryzuje kulturalne poczyny prowincji.

„Walka”, 14.I.1934 r.

To nie poezja, a choroba umysłowa, mania pisania i mania zostania wielkim. Całe szczęście, że nasza „stolica” posiada odpowiedni zakład, który w razie przybrania niebezpiecznej dla otoczenia i samych pacjentów formy może przyjąć na kurację tych nieszczęśliwych, chorujących na „odrodną poezję polską”. Oczywiście, że dołączyć jeszcze ta grafo- i megalomania nie jest niebezpieczna. Jednakże uważamy za obowiązek publicznie zwrócić uwagę na tę rzecz i nazwać ją właściwym imieniem. Nie trzeba się bowiem ludziom myślicyom balażać samym i pozwałać świadomie na balażenie młodzieży... „Poetom” z pod firmą „Kamieni”... radzimy nabyć umiętności ustalonej przez całe wieki, przez wielkich poetów, sposobu jasnego i zrozumiałego wypowiedziania swych myśli.

„Kronika Nadbużańska”, (Chełm Lub.) Nr 71

„Dwa mamy fakty do zanotowania: 1. w Łodzi większość Hady Miejskiej uchwała, że odtag nagroda literacka miasta Łodzi w wysokości 10.000 zł przynależna być

żość przedwojennych powieści i opowiadań Szelburg-Zarembiny, a z utworów powojennych cykle „Ziarno gorczyczne”, „Spotkania” i „W cieniu kolumny”. Z dramatów zamieszczono „Ecc homo”, głośną sztukę, zakwalifikowaną do wystawienia w teatrze Ateum, której cenzura w r. 1933 nie pozwoliła ukazać się na scenie. Szkoda, że do tomu nie weszła druga interesująca sztuka o zabarwieniu społecznym — „Sygnały” (1937).

NARESZCIE! Nakładem „Iskier” (tylko dlatego w sensacyjnym cyklu kryminalnego Klubu Srebrnego Klucza) ukazała się znakomita, dziś jeszcze bardziej niż przed laty aktualna i nie taka znów fantastyczna powieść H. G. Wellsa „Wojna światów”. W dobie cybernetyki i sztucznych satelitów, jak młoda wydaje się ta licząca sobie 60 lat księżka! Obraz zniszczonej przez najście Marsjan miasteczka żywo przypomina dekadę wstępną wojny, w której paniczna uciezka zagrożonej przez działania najeźdźców ludności — nasz wreszcie 1939 r., a okrutni ludzie-maszyny to przecież prototyp hitlerowców

MIŁOŚNIKOM TWÓRCZOŚCI EWY SZELBURG-ZAREMBINY miłą niespodzianką spotował „Cytelnik”, wydając po wznowieniu „Wędrowni Joanny” i „Ludzi z wosku” 300-stronicowy tom „Wyboru utworów” mało dotrzonej w okresie przedwojennym pisarki. Znajdujemy w nim więk-

znacza, że jest to nowy krok do wzajemnego zbliżenia i poznania.

„Kurier Poranny”, 13 lipca 1937

„Teraz, kiedy zamilkły pisma literackie „kierunkowe” w rodzaju „Zwrotnicy”, „Linii”, „Lewaru”, „Lewego Toru” — „Kamena”, daleka od jakiegokolwiek określonego kierunku, doktryny literackiej czy społecznej, w sposób rzeczowy i przedmiotowy informuje o różnych nastawieniach teraźniejszego oblicza literatury zarówno polskiej jak i obcej.

„Polski casopis Kamena, który wychodził w Chełmie za redakcję basnika a ucitele K. A. Jaworskiego, i w nowym, już piątym roczniku zastawa veren ceskoslovenske literatury. V prvym čísle otiskuje v preklade J. Wjelezynske basen Ad. Cerneho „Masyrkovi-Osvoboditeli” a basen V. Nezvala „Z predmesti” v preklade K. A. Jaworskeho. V druhem čísle jsou opte preklady K. A. Jaworskeho z Vit. Nezvala a J. Smreka. V zadnem čísle nechyby prehled slovankeho literarniho zivota...”

J. J., „Rozhledy”, 9.XII.1937

„Ale właśnie te najskrajniejsze osiągnięcia nadrealistów, uznane dawno w oficjalnej krytyce francuskiej, powinny się stać dla nas przykładem konsekwencji i bezkompromisowości. Nie wozem, lecz przykładem, jak należy realizować własne założenia twórcze. O inności poezji francuskiej w stosunku do tego, co się pisze w Polsce, łatwo się przekonać, czytając numer francuski „Kamieni”, w którym zgrupowano najbardziej reprezentacyjne nazwiska nowatorów od Lautréamonta do Marca...”

„Kurier Wileński”, 27 lutego 1938

„Kamena” dobrze służy sprawom literatury polskiej, lecz z niezrozumiałych przyczyn bez łączności z ogólnym tonem i treścią pisma ukazuje się tu i ówdzie inteligencko-marxistowski ogonek, doprawdy nie wiadomo po co. Może to prowincjonalizm tak właśnie się ujawnia... Podwójny francuski zeszyt „Kamieni” (43-44) wypełniają przekłady od Lautréamonta poczynając, na Lannesie Manoliu kończąc. Jako tłumacze wystąpił Brzękowski, Jaworski, Napiercki, Przybos, Ważyk oraz bracia syjamscy Bieńkowski i Rogoziński... „Ateum”, marzec 1938

„La revue littéraire polonaise „Kamena” vient de consacrer son dernier double fascicule (de mai-juin) à la littérature bulgare. Ce numéro contient plus de vingt-cinq poésies... deux nouvelles de Jordan Iovkov et A. Karalytehev.”

Miesięcznik literacki „Kamena”, wychodzący od sześciu lat w Chełmie Lubelskim pod redakcją Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, obchodzi swego rodzaju jubileusz: ukazał się 50 numer tego pisma, co stanowi jak na nasze stosunki swego rodzaju fenomen. Pismo poświęcone wyłącznie sprawom literackim, a w szczególności poezji, nie może liczyć nigdy na trwały żywot — tymczasem „Kamena” dokazała tej sztuki. Ponadto „Kamena” wydała 14 publikacji poetyckich w tzw. „Bibliotece Kamieni”. Poza zamieszczeniem oryginalnych utworów poetyckich „Kamena” zasłużyła się wydatnie w dziedzinie tłumaczeń, wydając specjalne numery poświęcone obcej poetyce, przeważnie słowiańskiej twórczości. Najnowszy numer miesięcznika przynosi obok obszerny oryginalnej twórczości poetyckiej przekłady z Apollinaire’a oraz poetów słowackich, czeskich, białoruskich i ukraińskich.

„Dziennik Ludowy”, 27 listopada 1938

NOTY ■ NOTY ■ NOTY

ROK 1933 miesiąc po miesiącu ostania ciężka żałoba literaturę czeską. Po Piotrze Bezručzu i Vitezslawie Nezvalu 19 maja odeszła Maria Pujmanova, świetna powieściopisarka i poetka, obdarzona zaszczytnym tytułem artystki narodowej, znana dobrze i u nas ze swych powieści: „Ludzie na rozstaniu”, „Igranie z ogniem”, „Życie zwyciężca śmierci” i in. Pujmanova była szczerą przyjaciółką Polski, którą odwiedziła parokrotnie, i wśród wierszy jej są utwory o tematyce polskiej. Niedawno napisała większy poemat o Marii Curie-Skłodowskiej.

ZGON LIBUSZY HALASOVEJ, popularnie przez bliskich i przyjaciół zwanej Buńką, (23 maja) boleśnie dotknął tych, którzy znali pełną uroku towarzyszkę życia i inspiratorkę świętego poety, a po jego śmierci pieczołowitą opiekunkę schedy duchowej matronka. „Chodzi Buńce słońce po twarzy” — pisał o niej Gałczyński. „Pan w słońcu obcuje z wiatrą żywym poetą” — zauważył w wierszu autor tej noty, który trzykrotnie miał sposobność zetknąć się w różnym okolicznościach z gwiazdą po Halasie na nych okolicznościach, która zrodziła całodzienną przy jego zrodzeniu podług ciałodzienną wycieczki do Czeskiego Raju i w jej mieszkaniu. Bogata osobowość tej niezwykłej kobiety, jej pietyzm dla meza i dzieła jego życia, niestanna troska o synów, wdzięczność dla przyjaciół, prostota i serdeczność — wszystko to jedna jej sympatie nawet u dalszych znajomych. Halasova była historykiem sztuki i m. in. autorką monografii o Antonim Prochazce i A. Kosarku.

MIŁOŚNIKOM TWÓRCZOŚCI EWY SZELBURG-ZAREMBINY miłą niespodzianką spotował „Cytelnik”, wydając po wznowieniu „Wędrowni Joanny” i „Ludzi z wosku” 300-stronicowy tom „Wyboru utworów” mało dotrzonej w okresie przedwojennym pisarki. Znajdujemy w nim więk-

„Jeśli weźmiemy pod uwagę, że często pisano to okazuje się na prowincji, z dala od centrów ruchu umysłowego... to uświadomimy sobie nie tylko doniosłość tego wysiłku, ale i wzbudziły w sobie podziw dla wytrwałości i uporów... „Kamena” była zresztą redagowana nie przypadkowo, szereg specjalnych numerów, szczególnie z zakresu literatury słowiańskiej, dowodził planowego wysiłku redakcji. Podobnie rzecz się ma i ze sprawą przekładów, w których zakres wiele włożono pracy. Przez pięć lat istnienia czasopisma przewinęło się niemal wszystko co w tym okresie czasu w Polsce miało coś do powiedzenia w dziedzinie poezji. Być może wiele tam rzeczy drukowano zbyt liberalnie, zbyt wyrozumiale, ale niewątpliwie z wielką zawsze przychylnością i ludzkim szacunkiem. Noty redakcji zawsze nosiły wszelkie cechy szlachetności i poczucia godności pisarza oraz człowieka. Ostatni zeszyt (2-4), roku VI wydawnictwa, został poświęcony literaturze lubelskiej...”

„Tygodnik Ilustrowany”, 13 stycznia 1939

„Ikarowy trud — to określenie nie jest w stosunku do „Kamieni” pochwałą, jedynie kwalifikacją rzeczy, jej charakterystyką. Pismo walczące z trudnościami technicznymi, ubogie, nie placące honorariów, a mimo to posiadające wyraźny charakter — to nie było co. Dodajmy jeszcze, że z numeru na numer „Kamena” stara się utrzymać kontakt z „wielkimi parkietami Europy”, poświęcając sporo miejsca twórczości słowiańskiej i pierwszym rzędzie twórczości słowiańskiej, że jest wolną trybuną, i to naprawdę wolną, wszelkich wypowiedzi artystycznych, a obraz będzie zupełny.”

W nr. 187 „Czasu” pojawiła się notatka „Sprawa Funduszu Kultury Narodowej”, poruszająca kwestię rozdziału funduszy i stypendiów w tej instytucji. „Czas” pisze: „W ostatnim numerze miesięcznika literackiego „Kamena”, poświęconym w całości górom, czytamy, że trzykrotnie zwracanie się do Funduszu o niewielki zasiłek spotykało się z odmową. Rola „Kamieni” w życiu kulturalnym nie tylko Lubelszczyzny jest znaczna; w ciągu 6 lat działalności wydawniczej żywo redagowany miesięcznik przyniósł niejedną wartościową pozycję. Odmawianie setek na kontynuowanie wydawnictwa, przy jednoczesnej hojności, wyrażonej tysiącami złotych dla osób często na to nie zasługujących, mówi samo za siebie.”

Trudno odmówić słuszności tym uwagom. Jesteśmy przeciwnikami tworzenia pism za pieniądze państwowe, ale obowiązkiem powołanych do tego instytucji państwowych jest popieranie pism, które już zdążyły egzamin, które wykazały swoją żywotność. Do nich należy właśnie „Kamena”, sympatyczny miesięcznik regionalny, wydawany w najtrudniejszych warunkach z podziwu godnym uporem, przepojony szlachetnym i czystym umiłowaniem poezji.

„Wiadomości Literackie”, 20.VIII.1939

KSIEGARNIE nowaliki

Jak na jubileuszowy numer naszego czasopisma — nowaliki, nie można narzekać, dopisywały — to znaczy, że wiele interesujących nowości zobaczymy w najbliższych dniach w księgarniach. Rozpoczniemy ich wyczerpanie od książek autorów polskich.

Listę nowości otwiera bardzo oryginalne dzieło Jana Dąbrowskiego „Z ANGLIKAMI NA CODZIEN” (W. Lit., opr. płóc. + obw., cena zł 55, nakł. 5.000), interesująca lektura dla każdego intelektualisty. Książka ta jest zbiorem wysoce inteligentnych felietonów i esejów, obejmujących szeroki wachlarz zjawisk kultury społecznej i osobistej brytyczek, z którymi autor (inżynier z zawodu) spędził długie lata rzucony na wyspy Albionu zawierającą wojenna.

Drugą kapitalną pozycją jest książka J. Starzyńskiego „LUDZIE I OBRAZY — OD DAVIDA DO PICASSA”, wydana przez PIW (opr. płóc., cena zł 50, nakł. 5.000), a ujmująca retrospektywnie rozwój malarstwa nowoczesnego od epoki klasycyzmu począwszy. Oczywiście, przy charakterystykowaniu każdego z nowych kierunków autor omawia jedynie czołowych jego reprezentantów (ilustrując jednobarwnymi wprawdzie, lecz dobrymi reprodukcjami ich dzieł), książka nie jest więc encyklopedią malarstwa nowoczesnego dla zaawansowanych znawców sztuki, lecz cennym compendium dla laików, które wypełnia odczuwając dotkliwie ostatnią lukę w naszym piśmiennictwie traktującym o malarstwie.

Podobną rolę dla młodzieży odegra pożyteczna i starannie wydana książka E. Siermińskiego pt. „MŁODOŚĆ — TALENT — ANIMUSZ” — „OPOWIADANIA O MALARZACH POLSKICH” (NK, opr. półpł., cena zł 23, nakł. 30.000), popularyzująca sylwetki czołowych naszych malarzy XIX w. (P. Michałowski, H. Rodakowski, A. Grottger, J. Matejko, A. Kotsis, J. Kossak, W. Gerson, J. Siermiński, M. i A. Giermscy oraz J. Chełmiński) i dobrze zilustrowana (pojedynczymi reprodukcjami ich najciekawszych dzieł).

Nie mniej cenna pozycja dla miłośników muzyki nowoczesnej stanowi obszernie studium B. Schäffera pt. „NOWA MUZYKA — PROBLEMY WSPÓŁCZESNEJ TECHNIKI KOMPOZYCYJNEJ”, wydane przez P. Wyd. Muzyczne (opr. brosz., zł 32, nakł. 2.000).

Kompletujących „KRONIKI” B. Prusa uciechy wiadomości o ukazaniu się siódmego ich tomu (PIW, opr. płóc., zł 54, nakł. 2.000), zawierającego kroniki tygodniowe i miesięczne, korespondencje z Warszawy, publikowane w r. 1934 w „Kurierze Warszawskim”, „Tygodniku Ilustrowanym” i „Petersburskim „Kraju”. Również i miłośnicy Orzeszkowej będą mogli nabyć wkrótce kolejny czwarty tom „LISTÓW ZEBRANYCH” tej pisarki (Dss., opr. płóc., zł 50, nakł. 5.000) w opr. E. Jankowskiego.

Epikę reprezentują w dzisiejszych „nowalijkach” najnowsze porcje J. Krzyżanowicza, F. Fenikowskiego i A. Laszowskiego. Powieść pierwszego z tych auto-

—kaj—

(Dokończenie na str. 34)

Z okazji 25-lecia „Kamena”, pisma literackiego środowiska lubelskiego, jego chlubnej służby dla Lubelszczyzny, Egzekutywa KW PZPR w Lublinie, doceniając rolę pisma oraz olbrzymi i ofiarny wkład Zespołu redakcyjnego, składa Kolegium i współpracownikom „Kamena” serdeczne życzenia dalszych owocnych osiągnięć w dziele podniesienia znaczenia środowiska kulturalnego Lubelszczyzny i popularyzowania osiągnięć literackich i kulturalnych naszego terenu.

EGZEKUTYWA KW PZPR
W LUBLINIE

DO
REDAKCJI „KAMENY”
LUBLIN

Z okazji Jubileuszu 25-lecia „Kamena”, Wydział Kultury PWRN w Lublinie składa Zespołowi Redakcyjnemu wyrazy uznania i gorące podziękowanie za dotychczasową działalność, oraz życzenia dalszej owocnej pracy nad upowszechnieniem Kultury i twórczości literackiej.

WYDZIAŁ KULTURY
PREZYDIUM WRN

KSIAŻKI NADESŁANE

- Franciszek Fenikowski: „Zapady zamek”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1958.
- Zygmunt Lietz: „Plebiscyt na Powiślu, Warmii i Mazurach w 1920 roku”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1958.
- Władysław Gołabek: „Boryna”, „W oddziałach batalionów chłopskich na Kielecczyźnie”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1958.
- Stanisław Pięta: „Białowiejskie noce”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1958.
- Jan Bolesław Ożóg: „Kula”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1958.
- Gustaw Morcinek: „Szeruda”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1958.
- Kazimiera Zawistowicz-Adamska: „Spółczesność wiejska”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1958.
- Józef Stompor: „Leśne noce”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1958.
- Stanisław Łukasiewicz: „Okupacja”, PIW, 1958.
- Jarosław Iwaszkiewicz: „Stawa i chwala” t. II, PIW, 1958.
- Jean Paul Sartre: „Drogi wolności”, t. I, II, III, przełożył Julian Rogoziński, PIW, 1958.
- Julian Przybóś: „Narzędzie ze światła”, PIW, 1958.
- Mieczysława Buczkówna: „Wigilie”, PIW, 1958.
- Antoni Słonimski: „Liryki”, PIW, 1958.
- Włodzisław Garszyn: „Czerwony kwiat”, PIW, 1958.
- Louis Aragon: „Dzwony Bazyli”, przełożył Wacław Rogowicz, PIW, 1958.
- Jan Dobraczyński: „Klucz mądrości”, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa, 1957.
- Edwin Jędrkiewicz: „Świątki i centaury”, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa, 1958.
- Maria Kuncewiczowa: „Dylżans warszawski”, Instytut Wydawniczy „Pax”, Warszawa, 1958.

„Ruch” informuje

Z dniem 1 lipca 1958 r. „Kamena” będzie rozprowadzana w prenumeracie oraz w wyznaczonych punktach sprzedaży, tj.:

1. w kioskach w punktach centralnych miast powiatowych,
2. w kioskach w miejscowościach wczasowych i uzdrowiskowych,
3. w kioskach przy Uniwersytetach, Bibliotekach, Zakładach naukowych, Związkach Literatów Polskich
4. przy KW PZPR, PWRN, teatrach,
5. przy hotelach reprezentacyjnych,
6. w kioskach dworcowych większych miast.

W związku z powyższym zakłady pracy i instytucje zamawiają prenumeratę w Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”, a odbiorcy indywidualni mogą zamawiać w Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”, bądź też bezpośrednio w Przedsiębiorstwie Upowszechnienia Prasy i Książki „Ruch” w Lublinie wpłacając na konto PKO w Lublinie Nr 2-6-544, względnie zamawiać u listonoszy wiejskich lub w placówkach pocztowych.

Z OSTATNIEJ CHWILI

DEPEZA
DO
REDAKCJI „KAMENY”
W LUBLINIE

Z okazji Jubileuszu 25-lecia istnienia i pracy czasopisma literackiego „Kamena” oraz dużych zasług położonych dla rozwoju polskiej poezji przesyłam na ręce założyciela i wieloletniego redaktora Kazimierza Andrzeja Jaworskiego serdeczne gratulacje i życzenia dalszej owocnej pracy.

TADEUSZ ZAORSKI
WICEMINISTER KULTURY
I SZTUKI

REDAKCJA
„KAMENY”
LUBLIN

Z okazji 25-lecia istnienia dwutygodnika „Kamena” Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie składa Zespołowi Redakcyjnemu serdeczne gratulacje i życzenia dalszych sukcesów w upowszechnianiu kultury i twórczości lubelskiego środowiska literackiego.

PREZYDIUM
WOJEWÓDZKIEJ
RADY NARODOWEJ

Księgarskie nowalijki

(Dokończenie ze str. 23)

rów „KAMIENNE NIEBO” (Iskry, opr. brosz., z 12, nakł. 10.000) podejmuje temat przemian psychicznych przypadkowo dobranej grupy ludzi odciętych od społeczeństwa wewnątrz zawalonej w wyniku działań powstańczych warszawskiej piwnicy, tracących stopniowo nadzieję na powrót do życia.

Stanisław Czernik: „Wichura”, Wydawnictwo Łódzkie, 1958

Walter Scott: „Kenilworth” cz. I. „Tajemnica opactwa”, tłum. Erazm Rykaczewski, Wydawnictwo Łódzkie, 1958.

Walter Scott: „Kenilworth” cz. II. „Na zamku”, tłum. Erazm Rykaczewski, Wydawnictwo Łódzkie, 1958

J. A. Cronin: „Gwiazdy patrzy na nas”, tłum. Józef Szpecht, Instytut Wydawniczy „Pax”, Warszawa, 1958

Bolesław Mrówczyński: „Dutur z rajskego ogrodu”, Nasza Księgarnia, Warszawa, 1958

M. Hjin: „Czarno na białym”, tłum. Janina Dziarnowska, Nasza Księgarnia, Warszawa, 1958

Michał Rusinek: „Królestwo pychy”, PIW, 1958

Wiech: „Śmieję się pan z tego” — 2 tomy, PIW, Warszawa, 1958

Stanisław Dygat: „Podróż”, PIW, Warszawa, 1958

Gillaume Apollinaire: „Heretyk i Ska”, przełożył Adam Ważyk, PIW, 1958

Edward Ligocki: „Drogi ludzi bezdomnych — Francja 1939—40”, PIW, 1958

Wacław Borowy: „Od Kochanowskiego do Staffa” — antologia liryki polskiej, PIW, 1958

Artur Oppman (Or-Ot): „Wiersze wybrane”, PIW, 1958

La Fontaine: „Bajki”, PIW, 1958

Jerzy Paczkowski: „Poezje i satyry”, PIW, 1958

*odpowiedzi
redakcji*

P. P.
Leopold G. w Lublinie. Dziękujemy za materiał poetycki z emigracji. Wiersz Pański zatrzymujemy.

Zofia Semp. we Wrocławiu. Z całą pewnością — warto pracować dalej. Prosimy o nas nie zapominać. Chcemy w przyszłości dać debiut.

Dionizy Mal. w Ostrołęce. Zatrzymujemy „Baśń prowincjonalną”. Wypadnie Panu długo czekać.

Iks. „Liryczny kramik” niezły w pomysłach, ale rozgadany.

Dan. Mł. w Łodzi. Miłe. Przy następnej porcji prosimy o adres i trochę informacji: jak z tą maturą i co dalej?

Karol D. w Krakowie. Z uprzejmie nadesłanych fraszek nie skorzystamy.

Obóz jeńców w Ostrzeszowie

Instytut Zachodni w Poznaniu, Chelmońskiego 1, przeprowadził na terenie m. Ostrzeszowa (Wlkp.) badania w sprawie dziełowej tamtejszego obozu jenieckiego w latach 1939—1945. W badaniach uwzględniono również akcje pomocy społecznej zorganizowanej na rzecz jeńców ze strony mieszkańców Ostrzeszowa.

Instytut zwraca się do byłych jeńców, w szczególności lekarzy i sanitariuszy, z prośbą o podawanie informacji w tej sprawie względnie porozumienie się celem uzupełnienia materiałów.

Fenikowskiego „REKOPIS Z GOSPODY POD LOSOSIEM” (W. Mors., opr. br., z 22, nakł. 10.000) stanowi jeszcze jedną wersję modnego ostatnio u naszych marynistów tematu — wielkich wyczynów na morzu naszej pierwszej „armady”, dowodzonej przez dzielnego admirała Dykmana za czasów króla Władysława IV. Bohaterem książki jest tym razem pachołek usługujący w gdańskiej gospodzie, który poprzez romantyczne przygody zdobywa dzięki uśmiechowi fortuny rękę i wiano córki swego zamożnego chlebobdawcy oraz pozycję i dobre imię w gdańskim społeczeństwie. Książka napisana językiem archaizowanym, pełnym wyrazów z ówczesnej gwary marynarskiej i kaszubskiej wzbogacą z pewnością nasze słownictwo, lecz za wysoką cenę trudności jej czytania.

Historyczna również powieść Alfreda Łaszewskiego „NOC MEDIOLANSKA” (Pax opr. brosz., z 35, nakł. 5.000), pokazuje nam ujęte nader ludzko życie św. Augustyna na dobrze zarysowanym tle jego burzliwej epoki.

Innej zupełnie lektury dostarcza książka S. Sebyłowej pt. „MOJA MATKA OPOWIADA” (Czyt., opr. brosz., z 9, nakł. 5.000), będąca zbiorkiem autentycznych wspomnień zdeklasowanej szlachcianki z okresu od powstania styczniowego po początek XX wieku, stanowiących cenny przyczynek do charakterystyki owego okresu przemian społecznych w b. Królestwie Polskim.

W najaktualniejsze natomiast zagadnienia doby współczesnej wprowadza nas S. Brodzkiego zbiór reportaży z podróży odbytych w latach 1953, 55 i 57, wydany pt. „PAGODY, SMOKI I LUDZIE — REFLEKTOREM PO AZJI” (KIW opr. brosz., z 22, nakł. 4.000).

Najlepszy rodzaj literatury reprezentuje nowy tomik W. Brudzińskiego pt. „MINIATURA” (opr. brosz., z 13, nakł. 5.000) wydany w „Bibliotece Satyry” Czytelnika, a ilustrowany przez J. Srokowskiego, oraz pierwsza z kryminalna powieść J. Putramenta „STRACHY W BIESALU” (MON, opr. brosz., z 10, nakł. 30.000).

Ze wznowień autorów polskich wypada za sygnałować drugą edycję wydanego przed przeszło dwudziestu laty tomiku opowiadań S. Flukowskiego pt. „PADA DESZCZ” (Czyt., „Bibl. XX-lecia”, opr. brosz., z 15, nakł. 10.000) ponowne wydanie powieści A. Krechowickiego o słynnym „diabie lańcuchkim” — Stadnickim — pt. „STAROSTA ZYGWULSKI” w serii „Biblioteka Powieści i Romanów” LSW (opr. brosz., z 27, nakł. 12.000) oraz reedycję tomiku fraszek J. Sztudyngera „KRAKOWSKIE PIORKA” (WLit., opr. brosz., z 10, nakł. 10.000).

Na pierwszym miejscu nowości z działu literatury przekładowej postawić muszę naukowe i bardzo staranne opracowanie najstarszych dzieł Hellady przez G. Thom-

Konkurs „Karuzeli”

Redakcja „Karuzeli” ogłasza konkurs otwarty na opowiadanie satyryczne lub humorystyczne. W konkursie może każdy wziąć udział i nadesłać dowolną ilość utworów. Opowiadanie nie może przekraczać dwóch i pół kartek maszynopisu (na kartce maksimum 32 wiersze po 60 znaków piersiastych).

Redakcja „Karuzeli” przeznaczyla dla zwycięzców konkursu trzy nagrody pieniężne, a mianowicie: 3.000 zł i 1.000 zł. Niezależnie od tego redakcja zakupi wszystkie prace, które będą odpowiadały wymogom pisma.

W skład jury wchodzi, poza przedstawicielami redakcji „Karuzeli”, literaci: Jan Huszcza, Horacy Saffrin i Jan Sztudynger. Prace konkursowe należy nadesłać do dnia 15 sierpnia 1958 r. pod adresem „Karuzeli”, Łódź, Piotrkowska 96, w kopercie z napisem „Konkurs literacki”. Na maszynopisie musi być podane nazwisko i adres autora. Wyniki konkursu będą ogłoszone do dnia 20 września 1958 r.

W imieniu Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Lublinie składam, z okazji 25-lecia istnienia, zespołowi redakcyjnemu, współpracownikom i czytelnikom „KAMENY” najserdeczniejsze gratulacje i życzenia jak najlepszego rozwoju, stałego podnoszenia poziomu pisma i szerokiej poczytności.

„KAMENA” w czasie swego 25-letniego istnienia dobrze wykonywała swoje zadania.

Zyczę, by w przyszłości spełniała je jeszcze lepiej, służąc w ten sposób rozwojowi życia kulturalnego Lublina i Lubelszczyzny.

ZA PREZYDIUM
MIEJSKIEJ RADY NARODOWEJ
ARTUR ISKRZYCKI
Z-CA PRZEWODNICZĄCEGO

REDAKCJA
„KAMENY”
LUBLIN

Z okazji 25-lecia istnienia i działalności tak cennego w życiu kulturalnym naszego miasta czasopisma, jakim jest „Kamena”, proszę zespół redakcyjny, współpracowników i sympatyków o przyjęcie najserdeczniejszych gratulacji i najszlachetniejszych życzeń coraz lepszych osiągnięć w pracy redakcyjnej i wszelkich pomyślności w życiu osobistym.

KIEROWNIK
WYDZIAŁU KULTURY PMRN
W LUBLINIE
BOLESŁAW RESCH

sona pt. „EGEA PREHISTORYCZNA” (PWN, opr. brosz. + obw., z 70, nakł. 4.000) w tłumaczeniu A. Dębickiego.

Z nowości beletrystycznych ujrzymy wkrótce romantyczną powieść rumuńskiego pisarza R. Tudorana pt. „WSZYSTKIE ZAGLE W GÓRĘ” (Iskry, opr. brosz., z 23, nakł. 10.000), spolszczoną przez J. Wrzeskowską. Książka przedstawia dzieje żałogi żaglowca „Nadzieja” rozpoczynającej w końcu XIX w. startem z delty Dunaju burzliwą karierę jednego z ostatnich statków pirackich w historii żegluga.

Znacznie więcej historii i autentyzmu znajdziemy w ciekawej książce T. Pliwiera pt. „CESARZ ODSZEDŁ — GENERALOWIE ZOSTALI” (KIW, opr. brosz., z 18, nakł. 10.000), która, choć wydana u nas z blisko 40-letnim opóźnieniem, będzie chętnie czytana przez starszą generację ze względu na bogaty obraz przedstawionych w niej Niemiec z okresu przełomowych dni listopada 1918 r. i początkowego etapu Republiki Weimarskiej.

Ze wznowień klasycznych dzieł literatury obecnej na pierwszym miejscu wysuwa się reedycja „BIESÓW” F. Dostojewskiego (PIW, opr. brosz., z 35, nakł. 10.000), w tłumaczeniu pierwotnym T. Zagórskiego według pierwszego wydania w „Roju” w r. 1923.

Z kolei zaawizować wypada kolejny (szósty) tom „KOMEDII LUDZKIEJ” H. Baisaca (Czyt., opr. płóc. + obw., z 24, nakł. 20.000), zawierający następujące tytuły: „Kurakownik Chabert”, „Msza ateusza”, „Kurakowicz”, „Kontrakt ślubny” i „Drugie studium kobiety” — wszystkie w tłumaczeniu T. Boya-Zeleńskiego.

Na zakończenie zapowiedzieć pragnę piękne wydanie tomu wybranych utworów J. Racine’a pt. „TRAGEDIE” (PIW, opr. płóc., z 30, nakł. 3.000), zawierającego cztery najbardziej cenione dzieła tego pisarza: „Berenike” (tłum. K. Brończyka), „Fedre” (tłum. Boya), „Ifigenię” (tłum. M. Wronekiewicz) i „Brytannika” (tłum. K. Brończyka), a poprzedzonego wstępem M. Brahmiera, o czym zawiadomiam Wasz

Nowinkarz

Rysunki w numerze:
MARIH HISPANSKIEJ-NEUMANN
Winieta czołowa:
EUGENIUSZA POLA